

Deborah Smith

Słodka zemsta

Przełożyła Małgorzata Zieniewicz

PROLOG

– Zaczekaj, dziecko, zaczekaj! Muszę ci coś powiedzieć. Nadchodzą kłopoty!

Zaskoczona Thena Sainte-Colbert podniosła srebrzyste oczy i osłoniła je ręką przed intensywnym słońcem Georgii. Od razu zauważyła żylastą, starą, czarną kobietę szybko maszerującą w jej stronę po nierównych deskach głównego mola w Dundee.

Poławiacze skorupiaków i rybacy z rozbawieniem przyglądali się energicznej małej kobiecie. Wyblakła drukowana sukienka zafalowała wokół jej chudego ciała, gdy zatrzymała się nagle na skraju skrzypiących desek i spojrzała w dół. Widać było, że jest zdenerwowana.

– Zawsze się o mnie za bardzo martwiłaś, Benebo – powiedziała Thena z niedostrzegalną wymówką w głosie.

Wyszła z otwartego kokpitu łodzi i wdrapała się na pokład. Poruszała się z gracją i pewnością nabytą przez lata pływania. Uśmiechnęła się.

– Wybieram się jutro do St. Andrews zobaczyć nowe molo – powiedziała Thena. – Zrobiłabym to dzisiaj, ale pelikany zjadły pięć krzaczków pomidorów i chciałam dziś rano dosadzić kilka roślin. – Rozejrzała się. – Gdzie zostawiłaś łódkę?

– Nie zmieniaj tematu, dziecko. Nie mów do mnie tak, jakbym była starą wariatką – powiedziała Beneba Everett łamiącym się głosem.

Thena spojrzała na nią ze zdziwieniem. Szybko przeszła pomiędzy skrzynkami z warzywami i innymi rzeczami zgromadzonymi na przednim, skrzypiącym pokładzie łodzi i przeszła nad poręczą na dziobie. Beneba wyciągnęła wychudłą rękę. Thena chwyciła ją, marszcząc brwi. Starsza pani nie żartowała. Była rzeczywiście zdenerwowana.

– Nadchodzą kłopoty! – powtórzyła Beneba.

Thena wiedziała, że Beneba posługuje się starym dialektem wybrzeża Gullah tylko wtedy, gdy jest naprawdę przejęta.

– Kłopoty dla mnie? – zapytała Thena, potrząsając głową. – Może gdybym mieszkała na łądzie. Ale na wyspie jestem bezpieczna, babciu.

Nie miało najmniejszego znaczenia, że miały inny kolor skóry, a ich rodziny nie były spokrewnione. Beneba zawsze była dla niej babcią.

– Wiedziałam to, dziecko. Zmiana wiatru. Nadchodzą kłopoty. Nie tak, jak kiedyś, gdy znalazły cię na łądzie. Teraz dotrą aż do wyspy. Śniłam to.

Pochodząca od niewolników z Jamajki i Indian ze szczepu Greek, Beneba odziedziczyła wiarę w mistycyzm. Urodziła się w czepku. Rozmawiała z duchami. Potrafiła również przepowiadać przyszłość, czasem z przerażającą dokładnością. Thena wcisnęła luźną koszulę pomiędzy kolana i zwiesiła gołe nogi nad zielonymi wodami Atlantyku.

– Jakiego rodzaju kłopoty, babciu?

– Nie jestem pewna. We śnie słyszałam mężczyznę o głosie jak grzmot. Mężczyznę z daleka. Może skrzywdzić ciebie i wyspę. Nie wiem, czy to zrobi. Nie umiem powiedzieć.

Thena roześmiała się, aby ukryć dreszcz strachu, który przebiegł jej po plecach.

– Naznaczę mu plecy śrutem, a psy poszarpią mu skórę. Wszyscy wiedzą, że umiem

zadbać o siebie i wyspę. Spójrz, babciu! – Wyjęła z kieszeni koszuli zwitek banknotów. – Sprzedałam dziś turystom cztery akwarele. Dwa tysiące dolarów. Mam szczęście, a nie pecha.

Ciężkie deszczowe chmury zasłoniły lipcowe słońce i cień spłynął na ocean. Thena spojrziała na horyzont i nagle zapragnęła znaleźć się z powrotem na wyspie leżącej poza zasięgiem wzroku. Dziwny krzyk mewy wywołał gęsią skórkę na jej opalonym ciele.

– Dziecko, boję się – ostrzegła Beneba.

Jej śnieżnobiałe włosy splecione były w warkocz upięty dookoła głowy. Gdy kiwała głową w rytm wypowiedzanych słów, warkocz niemal spadł jej na plecy.

– Znaki mówią, że może nadjeść zło, dziecko. Zmiana. Mężczyzna przyjdzie i zmieni wszystko. Uważaj. Pilnuj plaż i zatok, aby w porę go dostrzec.

Ciemne, mahoniowe rzęsy przykryły zwężone oczy Theny.

– Nikt nie może mnie skrzywdzić – powiedziała surowo. – Kiedy jestem na wyspie, jestem bezpieczna.

Mewa znów zakrzyczała.

– Nie będziesz bezpieczna przed tym człowiekiem – szepnęła Beneba.

– Taa... to jest właśnie to, czym jest Sancja. Nawiedzona wyspą czarownicy.

– No, nie.

Jed Powers zimno spojrział na posiwiąłego Farlo Briggsa, który odpowiedział mu zdziwionym wzrokiem. Farlo spokojnie kierował rybacką łódź w stronę zielonego klejnotu rosnącego na horyzoncie. Nagle powiedział głośno, przekrzykując szum silnika i uderzenia wody o burty łodzi.

– Panie Powers, powiedział pan, że nie jest ona nawiedzona lub że nie należy do czarownicy.

– I to i to.

– Jak to? H. Wilkens Gregg z cholernego Nowego Jorku był właścicielem Sancji, ale nie widzieliśmy go ani nie słyszeliśmy o nim od czterdziestu lat. Wszyscy tutaj uważają, że należy ona do tej czarownicy, Theny Sainte-Colbert.

– H. Wilkens był moim dziadkiem. Zostawił mi tę wyspę gdy umarł rok temu.

Jed niemal uśmiechnął się, widząc powątpiewające spojrzenie, którym obdarzono go w zamian za tę informację.

Oczy Farla przenosiły się ze spracowanych rąk Jeda na jego twarz, spłowiale dzinsy i kraciastą koszulę.

– Nie wyglądasz na tak bogatego jak Gregg, synu. Nie wyglądasz również na cholernego nowojorczyka. I powiem ci coś jeszcze. Kowbojskie buty nie są dobre do chodzenia po wyspie.

– Rzeczywiście, to prawda.

Farlo czekał na wyjaśnienia, które nie nadeszły. Ostre oceaniczne powietrze wpadało przez duże okna nadbudówki łodzi, silnik mruczał pod ich stopami. Był to lipcowy dzień, ale wiatr czynił go chłodnym.

– Nie lubi pan paplaniny, panie Powers, czyż nie? To nie moja sprawa, co pan tu robi.

– Nie.

– Dziwnie pan mówi. Skąd pan jest?

– Wyoming.

– Czy kiedykolwiek wcześniej widział pan ocean?

– Nie.

– Jest pan pewien, panie Powers, że chce pan biwakować na tej cholernej wyspie trzy dni? Mogę przyplłynąć wcześniej.

– Taa... Chcę mieć dość czasu, żeby dobrze obejrzyć miejsce. Nie chcę tu wracać. Zamierzam sprzedać wyspę.

– Jeżeli spotka pan tę czarownicę niech się pan przeżegna i niech jej pan nie patrzy prosto w oczy, żeby nie mogła rzucić na pana uroku. Wchowała ją stara Beneba Everett, a Beneba jest czarownicą. Nauczyła ją wszystkiego, co sama wie.

Jed oparł się w ulubiony sposób – rozluźniony, a jednocześnie gotowy na wszystko co może nadejść – o metalowy słupek podtrzymujący nadbudówkę łodzi. Wysoki na sześć stóp, miał twardą, wyrobioną przez pracę posturę, bez śladu tłuszczu. Jego wygląd świadczył o dużej sile ciała i charakteru.

Spojrzał na zbliżającą się wyspę i lekko uśmiechnął się. Prawnicy powiedzieli mu, gdy odziedziczył to zesłane przez los miejsce, że gdy oficjalny zarządca, Lewis Simmons, umarł w 1950 roku, jego rodzina przywłaszczyła sobie prawa do Sancii.

Da Thenie kilka tysięcy dolarów, aby mogła poszukać sobie innego miejsca, na pewno perspektywa wyjazdu bardzo ją ucieszy.

Przepity głos Farla przerwał jego myśli.

– ... a ten duch jeżdżący konno po plaży, to duch Sarah Gregg, jeżdżący tak, jak czterdzieści lat temu, gdy została zabita przez huragan. Pana babka, Sarah, była piękną kobietą.

Farlo przerwał, żeby sprawdzić efekt swoich słów, a piaski i bujne lasy Sancii przybierały na ich oczach dziwne kształty. Jed był zaskoczony jej wielkością. Zachodnia plaża rozciągała się na co najmniej kilka mil.

– Jak ją pan zobaczy, niech pan powie kim pan jest, a na pewno zostawi pana w spokoju.

Jed uniósł do góry jedną brew.

– Nie wierzę w duchy. Nie sędzę, żeby jakiś duch z rodziny Greggów chciał ze mną rozmawiać.

Potrząsnął głową. Pracownicy powiedzieli mu, że Sancia znaczy po łacinie” sanktuarium”. Dla niego nie było żadnym sanktuarium. Była tylko pamiątką po rodzinie matki, która wyrzekła się jej, gdyż wyszła za ubogiego kowboja. Jego ojca. Jed chciał uporać się z przeszłością, a wyspa Sancia była środkiem do tego.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jed nie był poetą i męczył się, starając się opisać to, co czuł, patrząc na tonące w oceanie słońce otoczone karmazynowo-złotą mgłą.

„Sprawia mi to przyjemność, ale czyni smutnym” – pomyślał. Potem wykrzywił się z naganą. To nie miało sensu. A może miało, a on tylko czuł się głupio, starając się zanalizować odczucia. Myślał o sobie jako o prostym człowieku z prostymi uczuciami i nie lubił, gdy odczuwał zmieszanie, a było to to, co czuł teraz. Jed nie kochał wyspy, ale jej piękno sprawiało mu ból, pomieszany z cierpieniem i radością.

Pokiwał głową nad swoją słabością. Buldożery. To jest to, czego potrzeba temu miejscu. Buldożery i ekipy budowlane i kondominia dla grubych, bogatych, głupich ludzi.

– Stój, stary – powiedział głośno. – Dostałeś piętnaście milionów kawałków i wyspę, więc przestań gadać o bogaczach. Zwłaszcza, że gadasz akurat głupoty.

Wypowiedziane słowa porwał wiatr i Jed miał dziwne wrażenie, że coś lub ktoś podsłuchał go. Będąc w wyjątkowo wrażliwym nastroju, zamknął usta i wsłuchał się w szum fal uderzających o piasek sto jardów dalej. Wysokie piaszczyste wydmy zasłaniały mu widok, a wysokie trzciny szumiały jak trawa w Wyoming. Trzciny sprawiały, że czuł się trochę jak w domu.

Mewy – najhałaśliwsze i najdziwniejsze ptaki jakie widział – krążyły i zniżały lot nad falami, zasłaniając błękitne niebo. Para brązowych pelikanów pruć fale jak małe łódki. Owiewana bryzą twarz Jeda miała wyraz szczęścia.

Przeszedł go dreszcz, właściwie bez powodu, poza tym, że wyobraził sobie piękną, dostojną babkę, Sarah Gregg, jadącą konno po białej plaży ciągnącej się przed wydmami. Jed przymknął oczy. „To cholerne miejsce działa hipnotycznie – pomyślał z niesmakiem. – Duchy, co za bzdury opowiedział ten rybak... „

Odgłos tętentu galopującego konia zmusił go do otwarcia oczu.

Jed skulił się, gotowy do szybkiej reakcji, cokolwiek mogłoby nastąpić. Nie wiedział, co zrobi, gdy zjawisko wyłoni się zza wydm, ale z pewnością coś wymyśli. „Czyste wariactwo” pomyślał szybko. Nie ma duchów. Ale czuł, że jego serce łomocze w rytm zbliżającego się tętentu.

To, co wyłoniło się zza wydm, istotnie było zjawiskiem, ale z krwi i kości. Jed usłyszał świst powietrza uchodzącego mu z płuc z westchnieniem ulgi.

– Co za... – zaczął i przerwał.

Wszystko zatrzymało się – jego oddech, jego myśli, świadomość tego co jest dookoła niego. W ciągu trzydziestu dwóch lat nigdy nie widział kogoś tak pięknego.

Siedziała na oklep na ślicznej małej klaczy, kierując nią delikatnymi ruchami ciała i linką przytwierdzoną do kantarusa założonego na głowę konia. Cienka biała sukienka bez rękawów i z dużym dekoltem odsłaniała jej szczupłe ręce i śliczne ramiona. Sukienka była niedbale owinięta wokół złotych, silnych nóg przyłożonych do boków klaczy.

Trzy psy z wywieszonymi językami, jeden mały i dwa duże, biegły obok konia.

Wytworny jastrząb z ciemno-rudymi skrzydłami, o prawie tym samym kolorze co błyszczące włosy kobiety, unosił się nad nią, po czym usiadł na piasku, zwijając skrzydła.

„Sen, mam sen” – pomyślał Jed z lękiem. Nie chciał się obudzić.

Zsunęła się z konia i zakręciła się radośnie z rękami rozrzuconymi na boki i głową odrzuconą do tyłu. Zachodzące słońce tworzyło jej błyszczącą ramę. Psy poszczekiwały wesoło, klacz dreptała tam i z powrotem po plaży, potrząsając głową i parskając. Jastrząb leniwie dziobał muszlę pobrzeżka i machał skrzydłami z niezadowolaniem z tak marnej zdobyczy.

– Thena Sainte-Colbert? – szepnął Jed. – Czy to jest mój intruz? Boże wszechmogący.

Przechylił głowę, rozchylił usta, jego twardy wzrok złagodniał, patrzył z oczarowaniem. W chwilę później poczuł gęsią skórę na całym ciele. Rozbierała się.

Biała sukienka upadła jej do stóp, stała nad brzegiem oceanu naga, piękna, tyłem do niego. Ze swobodą kogoś przywykłego do całkowitej prywatności przesuwiała dłońmi po włosach spływających po plecach. Męska reakcja ciała Jeda powiedziała mu, że dziewczyna jest bez zarzutu.

– Dzięki Ci, Boże, za ten cudowny dzień! – krzyknęła w stronę zachodzącego słońca.

Jed uśmiechnął się na dźwięk jej głosu – głosu południowca wymieszanego z ładnym akcentem, którego nie umiał umiejscowić. Weszła jak bogini do wody, a gdy fale dosięgły talii, rzuciła się naprzód i zaczęła płynąć.

Przez piętnaście minut patrzył jak zaczarowany, jak pruć wodę, łamiąc białe grzywy fal. „Coś może się jej przytrafić” – zdenerwował się. Nie lubił pływać, nawet w basenach, a już na pewno nie w tej otwartej, zielonej wodzie. „Wyjdź stąd” – rozkazał w myślach.

Kiedy to zrobiła, przyjemne, lecz niepokojące uczucie nasiliło się. Jedowi nie było obce uczucie gorącego, silnego, fizycznego pragnienia. Ale widok mokrego ciała, pełnego, wysoko osadzonego biustu, strumyczków wody spływających po pięknych kształtach do ciemnego trójkąta włosów między nogami spowodował nawrót słodko-cierpkiego bólu. Była piękniejsza niż górskie krokusy.

Jego brwi zmarszczyły się, gdy patrzył, jak utyka, idąc po plaży, chroniąc prawe kolano w sposób, który powiedział mu, że utyka już od dawna. Przez chwilę zginała kolano w przód i w tył, potem poszła dalej, słabiej utykając.

Nawet gdy założyła sukienkę, pomyślał, że jest piękna. Wyciskała wodę z włosów jak rozbawione dziecko.

– Do domu, stworzonka! – zawołała.

Jed potrząsnął głową na widok szybkiej i posłusznej reakcji na dźwięk jej głosu. Srokata klacz o białej grzywie i ogonie nieruchomo czekała, aż jej pani wskoczy na grzbiet. Jastrząb uniósł się w powietrze i poszybował z powrotem nad plażą, psy pobiegły w ślad za wolno galopującym koniem.

Jedowi wydawało się, że ściemniło się, gdy kobieta i jej zwierzęta znikły. Usiadł osłabły, i natężył słuch, aby uchwycić oddalający się tętent i uderzenia psich łap o mokry piach. Został sam na sam z oceanem i zachodzącym słońcem. Zapadał zmierzch i wiedział, że powinien wstać i wrócić do obozowiska o milę stąd w górę plaży. Musi wstać, musi.

Ale Jed Powers, urodzony w biednej rodzinie, krótko trzymany, kowboj i uczestnik licznych rodeo, którego cała wrażliwość znikła we wczesnej młodości, syn gwałtownego ojca, który uczył go nigdy nie cofać się przed niczym, zaczął kłąć, gdy zorientował się, że drży.

– Macie, *ma petites*. Śniadanie.

Thena wysypała garść nasion na spłowiały, szary, drewniany parapet. Ostrożnie odsunęła się do tyłu i patrzyła jak sfrunęła gromadka strzyżyków i dziobała jedzenie. Mówiła do nich przez kilka minut, teraz już tylko po francusku. ^s Kochała język ojca. Chciał, aby jego amerykańska żona i córka posługiwały się nim równie swobodnie jak angielskim. Jako dziecko Thena cieszyła się, że na lądzie mówią po angielsku, ale na Sancii ona i jej rodzice rozmawiają ze sobą wyłącznie po francusku. Byli wyjątkowi.

Teraz, gdy tylko posługiwała się francuskim, myślała o Glynnis i Phillipie Sainte-Colbert i czuła się mniej samotna. Dziś, zaniepokojona snem Beneby, potrzebowała obecności duchów rodziców.

Thena przeszła na palcach przez stare wschodnie dywany i podeszła do stolika z drzewa różanego, który stał przy łóżku, aby położyć na nim torebkę z ziarnem. „Weź się do pracy i przestań się denerwować” – napominała się. Musiała trochę popracować w ogrodzie, potem czekało ją malowanie, a była już jedenasta.

Nagle usłyszała stukanie zwierzęcych łap o werandę. Odgłosy powariowania i skowyty wywabily ją szybko z sypialni. Cyrano, Rasputin i Godiva stały za drzwiami, patrząc na nią ze zdenerwowaniem.

Jeżeli tylko ktoś – grupa turystów lub myśliwych szukających schronienia przed strażnikami – wylądował na wyspie Sancii, psy zawsze ją uprzedzały. Dziś, pamiętając ostrzeżenie Beneby, Thena zareagowała na tę wiadomość dreszczem strachu.

– Wezmę ze sobą strzelbę – powiedziała.

Jed przeniósł wzrok ze ścieżki na puszcę wokół niego. Z instynktem doświadczonego myśliwego zwracał uwagę na każdy odgłos i ruch. Wiewiórki skakały po sosnach; idąc śledził ich ruchy. Pomiedzy wysokimi sosnami i dębami poszycie było skąpe. Tam, gdzie padało słońce, widział kielkującą trawę.

Jeleń wyszedł na płamę słońca i zatrzymał się, obserwując go bez strachu. Zaskoczony tak niezwykłym zachowaniem, Jed także stanął. Patrzyli na siebie przez chwilę.

„Czy każde stworzenie tutaj, oprócz mnie, jest zaczarowane?” – zastanawiał się. Światło dnia wymazało z jego wyobraźni cienie nocy. Mimo tego, nie mógł zaprzeczyć pragnieniu odnalezienia kobiety na plaży. Nie może być aż tak zaczarowana, na jaką wyglądała. Spotkając, dziwne uczucie zniknie i będzie mógł ją szybko poinformować, że ma opuścić wyspę.

Szedł dalej, coraz bardziej zagłębiając się w puszcę. Ostre liście karłowatych palm chwytały go za dżinsy, grube jak ramiona pędy winnej latorośli zwieszały się z drzew tak nisko, że mógłby je dotknąć ręką.

Instynkt ostrzegł go, powodując że zastygł, o ułamek sekundy wcześniej zanim usłyszał

odgłos kopyt i szelest krzaków. Zaniepokojony szybkim zbliżaniem się, Jed odpiął kaburę, w której trzymał mały automatyczny pistolet. Z ręką na gumowej kolbie pistoletu, z lekko rozstawionymi nogami czekał. Był gotowy na przybycie ducha lub czarownicy.

Thena mocniej ścisnęła nogami boki Cendrillon, klacz przeskoczyła ostatnią przeszkodę krzaków i stanęła na piaszczystej ścieżce. Jej serce biło mocno. Zaskoczona wciągnęła powietrze na widok spokojnie stojącego i patrzącego na nią sponad chrap Cendrillon – mężczyzny.

Szybkim ściągnięciem linki, Thena zmusiła klacz do cofnięcia się o kilka kroków. Nieznajomy nie drgnął. Thena zsunęła strzelbę z ramienia, wsunęła ją pod ramię i wymierzyła w kolana.

– Czego pan chce? – zapytała.

Klacz stała spokojnie, tylko ruchy jej głowy zdradzały nerwowość. Cyrano, Rasputin i Godiva dobiegły i stanęły wokół nóg Cendrillon, warcząc na mężczyznę, który nie odrywał oczu od Theny.

– Jaka odpowiedź spowoduje opuszczenie strzelby? – zapytał po chwili, która wydawała się wiecznością.

Jego głos nie zdradzał ani odrobiny lęku. Wolno wypowiedane słowa kojarzyły się jej z melasą i starymi filmami. Nigdy nie słyszała nikogo tak mówiącego.

– Proszę nie żartować – rzekła.

Jed uniósł jedną brew. Takie słowa wypowiedziane przez każdą inną kobietę brzmiałyby dwuznacznie. W jej ustach były niewinne i śmiertelnie poważne.

– Nie mam zamiaru, nawet o tym nie pomyślałem, tak długo, jak długo celuje pani we mnie.

– Jest pan rozsądnym. Czego pan chce?

– Przyjechałem tu, aby porozmawiać z damą imieniem Thena Sainte-Colbert. – Przerwał, w jego oczach zamigotała iskierka humoru. – Czarownicą.

Obruszyła się.

– Czy to pani? – zapytał uprzejmie. Zawahała się, patrząc na niego.

– Tak! Proszę odejść, zanim zamienię pana w trąskę! Jed nie bardzo wiedział co to takiego trąska, ale przez chwilę miał wrażenie, że być może rzeczywiście może go w nią zamienić.

– Proszę odłożyć tę strzelbę zanim ją pani odbiorę – powiedział głębokim, słodkim głosem, cedząc słowa.

– Jest pan bardzo pewny siebie, jak na kogoś samotnego, na piechotę, w środku mojej wyspy. – Beneba powiedziała, że niebezpieczny mężczyzna będzie miał głos jak grzmot. Thena zadrżała. – Wdarł się pan na wyspę Sancię. To teren prywatny.

– Wydaje mi się, że nie należy do pani.

– Jest pan albo bardzo odważny, albo bardzo głupi. Milczał przez chwilę obserwując ją, zastanawiając się – a raczej usiłując się zastanowić, patrzenie na nią niemal uniemożliwiało to – nad jej akcentem.

– Kiedyś spotkałem odpustową wróżkę, mówiła podobnie do pani – powiedział, jakby chciał nawiązać towarzyską rozmowę. – Była z Luizjany. Wydaje mi się, że pani również stamtąd pochodzi. Kim pani jest, pani czarownico, kreolka?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła ją. Jed zbliżył się o cal.

– Nie. Urodziłam się tutaj. Mój ojciec był Francuzem i... Nie ruszać się! – Rozzłoszczona jego taktyką, mocniej przycisnęła ramieniem strzelbę. – Proszę nie zadawać mi pytań. To ja je będę zadawać. Niech mi pan powie, czego pan chce! Przyjechał pan polować? Zwiedzać? – Jej oczy zwęziły się ze złości. – Kraść?

– Odmawiam odpowiedzi ze względu na to, że może mnie pani zastrzelić ze strzelby na króliki.

– I tak mogę pana zastrzelić. Ty uparty szczurze lądowy, masz pięć sekund na wyjaśnienia, zanim poszczuję cię psami!

– Nie umiem mówić tak szybko – powiedział rozwlekle.

Thena pomyślała o Clincie Eastwoodzie. Ten mężczyzna ma takie same jastrzębie oczy, tak samo fascynującą twarz, tak samo lakonicznie mówi... dlaczego akurat teraz myśli o takich rzeczach?

– Twój czas się skończył – powiedziała.

– Proszę powstrzymać zwierzęta... – zaczął.

Jed zastygł z zaskoczenia, gdy klacz nagle stanęła dęba. Ciemnowłosa czarownica szybko wycelowała broń i Jed zaklął cicho, gdy zorientował się, że chce go zastrzelić. Zastrzelony i rozszarpany, trzy cholerne psy zbliżyły się do niego.

Rzucił się do przodu, aby uchwycić za strzelbę, ale za późno. Wystrzeliła głucho. Nie został trafiony bezpośrednio, ale kilka kul odbiło się rykoszetem od skał i jedna zraniła go w rękę. Jed niejasno zdawał sobie sprawę z bólu, gdy chwycił Thenę Saint-Colbert i strzelbę. Klacz uskoczyła, Jed pociągnął kobietę i chwycił ją w ramiona. Upadł, jej motające się ciało za nim.

– Przestań, ty wstrętny draniu! – krzyknęła, gdy odrzucił jej strzelbę i wykręcił ręce na plecy. – Ty okropny brutalu!

Nigdy żadna kobieta tak na niego nie krzyczała, jak na starym filmie. Jed niemal zachichotał, gdy nagle zorientował się, że klacz usiłuje rozwalić mu głowę. A sądząc po wrogim warczeniu psów, miały zamiar pomóc jej w zabiciu go.

– Do tyłu! – rozkazał zwierzętom stanowczym głosem. Oparta o jego pierś, bezradnie siedząc na nim okrakiem, Thena pomyślała, że nawet jej wierni towarzysze nie przewyciężą zimnego opanowania w głosie mężczyzny. Był silny – duchem i ciałem – i była na jego łasce.

Ale nie. Musiał ją puścić i zasłonić głowę, gdy kopyto Cendrillon świsnęło mu nad uchem. Rasputin, mieszaniec skandynawskiego psa pasterskiego z wilczurem, chwycił mocno jedną z jego rąk. Thena przeturlała się, chwytając oddech. Chwyliła strzelbę, usiadła i wycelowała w jego głowę.

– Do tyłu! – powiedziała.

Cendrillon odsunęła się, a Rasputin puścił krwawiącą rękę intruza. Jed podparł się na łokciach, dyszał ciężko z wysiłku, patrzył wzdłuż wycelowanej w niego lufy w jej stalowe

oczy. Wiedział, że jest w pułapce.

– To tutaj ma pani zamiar zostawić moje resztki myszołowom na pożarcie? – zażartował ponuro. – Chyba na tym zapomnianym przez Boga kawałku piachu są myszołowy? Nie chciałbym być zostawiony tylko tym wrzeszczącym mewom i pelikanom. No proszę mnie już zastrzelić, skoro pani musi.

Jego nonszalanckie zachowanie i opanowanie zaimponowały jej i jednocześnie rozżłościły.

– Ty idioto! – syknęła. – Wcale nie chciałam cię zastrzelić. Strzelałam do grzechotnika. Powinnam była pozwolić mu zaatakować cię, tak jak miał zamiar to zrobić. – Jed szybko odwrócił głowę, zdał sobie sprawę, że warczenie psów poza jego plecami ma inne znaczenie niż myślał. Kilka stóp dalej czekały i warczały na długiego na sześć stóp grzechotnika. Nie zwracając więcej na niego uwagi, wielki pies, który ugryzł go w rękę, całą uwagę skoncentrował na wężu.

Thena również spojrzała w tę stronę, zmarszczyła czoło z zaniepokojeniem. Wąż zwinął się w kłębek i nerwowo machał ogonem. Serce jej stanęło.

– Do tyłu! – krzyknęła na psy.

Rasputin i Godiva, kudłaty brązowy kundel, odsunęły się w podskokach od węża. Ale stary pies myśliwski, Cyrano, uważał, że wąż grozi jego pani. Warcząc przesunął się do przodu w momencie, gdy grzechotnik zaatakował.

– Och, nie, nie! – krzyknęła Thena z rozpaczą.

Wąż wpił się w gardło Cyrana i pies upadł, miotając się i skowycząc. Thena zerwała się i podbiegła, aby strzelić do węża. Nagle nieznajomy skoczył naprzód i zagroził jej drogę ramieniem.

– Proszę mnie przepuścić! – powiedziała schrypniętym głosem.

– Ciii...

Dostrzegła srebrzysty błysk, kiedy wyciągał pistolet z kabury. Thena wciągnęła powietrze, zaskoczona szybkością i celnością mężczyzny, gdy głośny strzał oznajmił koniec życia grzechotnika. Wąż puścił gardło Cyrana, a nieznajomy kopnął zwiotczałe ciało i odrzucił w krzaki.

Thena jak odurzona oparła strzelbę o drzewo i opadła koło drżącego ciała Cyrana. Wzięła go na kolano, czując rosnący ucisk w żołądku. Nadeszły kłopoty.

– Mój stary przyjacielu – szeptała urywanym głosem, głaszcząc jego głowę. – Mój kochany mały Cyrano. Kochany mały Cyrano. Myślę... czy ty... och, nie mogę nic już zrobić, tylko trzymać cię i kochać!

Jed oddychał głęboko. Krwawiąca ręka zwisała bezwładnie wzdłuż jego boku, ciągle ścisnął pistolet w twardych, spracowanych palcach. Patrząc na opuszczoną głowę Theny Sainte-Colbert i słuchając jej słów skierowanych do psa, czuł smutek i wyrzuty sumienia. Był temu wszystkiemu winny.

– Idź do światła, stary przyjacielu – powiedziała cicho. Jej czułe, proste słowa ugodziły Jeda prosto w serce i sprawiły, że zadrżał. Przysiadł na piętach tuż obok niej, czując dławienie w gardle.

– Przykro mi – powiedział w końcu. – O... Boże, naprawdę żałuję!

Jed patrzył jak delikatnie dotykała boków psa, jak coraz wolniej unosiła się jego klatka piersiowa pod jej palcami, jak czule gładziła posiwiałą głowę wiernego przyjaciela. Długie, ciemne włosy zasłaniały jej twarz przed ciekawością Jeda.

Kiedy spojrzała na niego, zobaczyła tylko kilka łez. Wyraz jej oczu, dużych, wyrazistych i tak szarych, że przypominały perły, rozdzierał mu duszę.

– Cyrano należała do mojej matki – powiedziała. – Odeszła. Wydaje mi się, jakbym traciła jej część.

– Och, dziewczyno!

Jej niespodziewane i intymne zwierzenie na sekundę sprawiło, że poczuł się potrzebny i godny zaufania. Nigdy nie przypuszczał, że jego szorstki głos kowboja może być tak delikatny. Jed wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z twarzy. Potem niezgrabnie cofnął ją i sięgnął po ciało psa.

– Proszę pozwolić mi go wziąć.

– Nie. – Jej głos był stanowczy i zimny.

Jed spojrzał jej w oczy i napotkał chłodne spojrzenie. Miała taką delikatną, inteligentną twarz, która mówiła, że serce żadnego mężczyzny nie byłoby bezpieczne, gdyby chciała je schwytać. Zorientował się, że jego było bezpieczne, przynajmniej jeśli miało to zależeć od niej.

– Sama go wezmę. Nie potrzebuję pomocy od człowieka z ładu. – Przerwała. – Wiedziałam, że pan przyjdzie. Wiedziałam, że przyniesie pan ze sobą kłopoty. Teraz proszę odejść i zabrać kłopoty ze sobą.

– Skąd pani wiedziała, że przyjdę? Kto pani powiedział?

– Druga czarownica – powiedziała ostro, patrząc na niego sarkastycznie.

Wtem jej delikatne wargi zadrżały i odwróciła głowę, patrząc na nieruchome zwierzę ha kolanach. Jed zmarszczył się ze zgrozotą, gdy usłyszał westchnienie pełne bólu. Wstała, trzymając ciało Cyrana w ramionach i ruszyła ścieżką.

Koń – jak brzmiało jego śmieszne imię? Cendrillon? – przypominał sobie Jed – ruszył za nią wraz z dwoma dużymi psami. Jed podniósł strzelbę i poszedł za nimi z ponurą determinacją.

Piętnaście minut później puszcza rozstała się, ukazując duży, dwupiętrowy, poszarzały budynek. Jed szybko objął go wzrokiem, zaskoczony jego przytulnością. Dom stał na środku piaszczystego podwórza, otoczony kwiatowym ogródkiem uprawianym wprawną ręką. Metalowy dach kończył się szczytem niknącym pod parasolem gałęzi ogromnego dębu.

Dom i otaczająca go ze wszystkich czterech stron weranda zbudowane były wysoko ponad ziemią na kamiennym podmurowaniu. Kilka drewnianych szerokich stopni prowadziło na werandę, na której stały bujane fotele. Jed patrzył jak Thena niesie ciało psa koło domu, w stronę polanki po drugiej stronie. Odwróciła się i spojrzała na niego, gdy miał zamiar pójść za nią.

– Sama pochowam mojego przyjaciela, bez pana pomocy. Proszę odejść skąd pan przyszedł.

Odwróciła się i poszła dalej. Jed zatrzymał się i skinął głową, nie miał jednak zamiaru odejść.

Gdy w godzinę później znużona wróciła na podwórze, zobaczyła go siedzącego na szczycie schodów, z łokciami wspartymi na kolanach, bawiącego się muszlą. Złość Theny za jego nieposłuszeństwo zmieszana była z ciekawością.

Jego włosy miały kolor mocnej kawy, do której dodano odrobinę śmietanki, kolor ciepłego brązu. „Są proste i krótkie, ale niesforne, tak jak ich właściciel” – stwierdziła Thena. Twarz była szczupła, tak jak i reszta ciała, nos lekko zgięty i tępo zakończony, oczy głęboko osadzone, mocna szczęka.

Był sporo wyższy od niej, miała sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Stare dżinsy i równie stara koszula z krótkimi rękawami opinały jego atletyczne ciało. Spojrzała na jego nogi i oczy otworzyła ze zdumienia. Buty kowbojskie? Włóczy się po jej wyspie zachowując się jak Clint Eastwood i na dodatek nosi kowbojskie buty?

Podniósł nagle wzrok i Thena zamknęła się w sobie. Po raz pierwszy, mimo przykrości i tego, że jego obecność była niepożądana, Thena zauważyła, że ma na werandzie bardzo przystojnego i niezwykłego mężczyznę. Wstał, kiedy szła przez podwórze. Thena usiłowała ukryć niepokój, jaki budził w niej jego badawczy wzrok. Zatrzymała się przy stopniach i spojrzała na niego.

– Dlaczego w dalszym ciągu włóczy się pan po mojej wyspie? – zapytała zimno.

Na sekundę zagryzł usta z zakłopotaniem. Rasputin i Godiva podeszły, pomrukując i szturchnęły ją nosami w nogę. Mężczyzna odezwał się głębokim, smutnym głosem:

– Gdybym mógł zrobić coś, co mogłoby wrócić pani psa, zrobiłbym to.

Thena zamknęła oczy, jego głos wywołał dreszcze.

– Ja... nie bardzo wiem jak to ładnie powiedzieć, proszę pani. Ale jest mi przykro jak to tylko możliwe. Ja... naprawdę mi przykro.

Spojrzała na niego, szukał dalej wytłumaczenia i usprawiedliwień, i zastanowiło ją, że tak opanowany mężczyzna nie może znaleźć słów. Nieśmiałość? Czyżby był nieśmiały? Thena spojrzała na niego uważnie. Jego zmieszanie zdawało się rosnać. Wzruszyło ją to, przez moment jej uczucia w stosunku do niego złagodniały.

– To nie tylko pana wina – powiedziała łagodnie. – Cyrano był upartym stworzeniem. Wiedział, że to niebezpieczne. – Przechyliła głowę na bok. – Wygląda pan na kogoś, kto nie umie okazywać tego, co czuje. Powiedzenie, że jest panu przykro, to wielki wysiłek z pana strony. Dziękuję.

Wyraz wdzięczności malujący się na jego twarzy sprawił, że poczuła zadowolenie z tego, co powiedziała.

– Powiedziała pani, że ten pies należał do pani matki. Ma pani jeszcze ojca, czy on również odszedł?

Thena skinęła głową.

– Oboje zginęli w wypadku samochodowym dwa lata temu.

Jed starał się podtrzymać rozmowę, nagle zdał sobie sprawę, że przez lata nie wypowiedział tylu słów do jednej osoby w takim krótkim czasie.

– Moi rodzice również nie żyją. Mama umarła, gdy miałem pięć lat, ojciec – gdy miałem dwadzieścia. Ale, niestety, nie zawsze byliśmy razem, kiedy dorastałem. Często mieszkałem u siostry ojca.

– U siostry ojca – powtórzyła Thena.

Dlaczego ten nieznajomy opowiada jej tak osobiste wspomnienia, jak gdyby były przeznaczone specjalnie dla niej? Ma taki dziwny sposób mówienia. Nikt wzdłuż wybrzeża Georgii nie mówi tak jak on.

– Czy ona jeszcze żyje?

– Nie. – Potrząsnął przecząco głową. – Umarła kilka lat temu. – Przerwał. – Widzi pani, usiłuję powiedzieć, że naprawdę rozumiem, co pani czuje po stracie tego psa. Miałem wiele zwierząt, które były mi bliskie, ale niewielu bliskich ludzi. Matka i ciotka Lucy były jedynymi osobami, które opłakiwałem.

– To źle. – Kiedy Jed spojrzał na nią, zobaczył łzy w jej oczach. – To znaczy, że nie miał pan kogo kochać.

Wstrząśnięty Jed patrzył na jej łzy i przez chwilę myślał, że ta kobieta, którą dopiero co spotkał, płacze nad nim.

– Raczej nie.

Thena rzeczywiście płakała nad nim. Nagle wyprostowała się. Nie wiedziała, dlaczego ten nieznajomy wywołał w niej takie uczucia, ale nie miała zamiaru współczuć mu, po tym co zrobił.

– Do widzenia. Wracam do puszczy.

Odwróciła się i odeszła. Zza rogu ukazała się kłacz i czekała na nią.

– Czy wszystko w porządku? – zawołał Jed.

Thena wykonała ręką niedbały ruch oznaczający milczące tak.

– Czy nie chce pani wiedzieć dlaczego tu jestem?

– Nie! – krzyknęła, lekko odwracając się. – Do widzenia! Nie obchodzi mnie, dlaczego pan tu jest. Proszę stąd odejść, zanim wrócę, inaczej pana zastrzelę, co powinnam była zrobić już wcześniej.

Zaskoczony Jed nie odrywał od niej wzroku, gdy podeszła do kłaczy i lekko wskoczyła jej na grzbiet. Obie zniknęły w lesie nie oglądając się. Nagle zdał sobie sprawę, że nigdy nikomu wcześniej nie powiedział, że ciotka Lucy i matka były jedynymi osobami, które opłakiwał. Uświadomił sobie jeszcze coś – nie przedstawił się.

Jej nie zależało na nim aż tak bardzo, ponieważ nie zapytała go o nazwisko. Uderzył ręką o nogę.

– Cholera!

Został zaczarowany, tak jak to przepowiedział Farlo Briggs.

ROZDZIAŁ DRUGI

Thena została na plaży aż do zmierzchu, spacerując, rozmyślając, smucąc się. Dobrze wiedziała, że intruz z łądu nie odjedzie tak szybko. Nie miała na to nadziei. Prawe kolano bolało ją po wysiłku, usiadła więc żeby pomasować bliznę.

„Ten ból także sprawił mi człowiek z łądu – pomyślała gorzko. – Gość z Atlanty z dobrze wypchaną kabzą, który wypił nieco za dużo pewnej ciepłej, wiosennej nocy dwa lata temu”. Wdrapał się do swojego cadillaca i jadąc niewłaściwą stroną drogi U. S. 17 wpadł prosto na samochód jej rodziców.

Thena znów próbowała sobie przypomnieć tamtą noc, ale jak zwykle, jej wspomnienia kończyły się na dziwnym wierszu, który Nate Gallenger recytował. Rodzice siedzieli na przednim siedzeniu słuchając. Ona i Nate siedzieli z tyłu, trzymając się za ręce. Wtedy jej życie zatrzymało się.

W dużym szpitalu w Savannah lekarz powiedział jej, że rodzice i narzeczonej nie żyją. Pijany kierowca wrócił do Atlanty zapłaciwszy karę. Od tego czasu Thena trzymała się jak najdalej od ludzi z łądu.

– Przeszłość odeszła – mruknęła.

Była zbyt zmęczona, żeby się smucić. Wstała i zawołała w ciemność – na Cendrillon.

– Cyrano odszedł i już nie wróci – powiedziała sobie surowo.

Thena obróciła się i spojrzała w stronę puszczy, gdzie na polance wykopała głęboki dół na jego grób.

– Do widzenia – powiedziała w końcu, cichym i przerywanym głosem.

Trzeba wracać do domu i czekać na spotkanie dalszej części tej przepowiedni Beneby.

Cały następny ranek Jed zastanawiał się, jakich słów powinien użyć w czasie następnej rozmowy z Theną Sainte-Colbert. Nie miał innego wyjścia jak wrócić przez puszcę do jej domu i porozmawiać z nią tak dyplomatycznie jak tylko potrafi. Kłopot polegał na tym, że tego nie umiał, zawsze mówił wprost.

Cały ranek planował rozmowę, włócząc się po plaży i zbierając muszle. Nawet najzwyklejsze muszelki fascynowały go, gdyż dotychczas widywał je jedynie przymocowane do plastikowych popielniczek w sklepach z pamiątkami. Zdjął koszulę i buty, podwinął nogawki spodni, potem położył się w cieniu powykręcanej sosny rosnącej na skraju wydm, żeby zbadać dokładnie znaleziska.

W południe zjadł posiłek składający się z krakersów i konserwy mięsnej, założył z powrotem koszulę i buty, i wszedł w puszcę. Tym razem nikt na niego nie czekał i bez przeszkód dotarł do starego domu.

– Proszę pani?! – zawołał przez drzwi z siatki. Żadnej odpowiedzi. Jed osłonił oczy dłońmi i zajrzał do chłodnego, ciemnego wnętrza: Zobaczył ciężkie, wyściełane meble, które przetrwały lata. Zapelnione książkami półki były na wszystkich ścianach. Jed zauważył, że w ogromnym pokoju w rogu stał bardzo duży stół i kuchenka. Duże, otwarte okna o odsłoniętych okiennicach wpuszczały do środka słońce i bryzę.

Było to przyjemne miejsce z pomalowanymi na biało drewnianymi ścianami i wesołymi drukowanymi zasłonami. Wysoki sufit i główny hol umożliwiały ruch powietrza po całym domu i powodowały, że panował w nim chłód. Jed czuł na karku delikatne podmuchy bryzy, gdy tak stał we frontowych drzwiach.

– Theno, jesteś w domu! – zawołał ponownie, tym razem głośniejsze.

Fakt, że po raz pierwszy wymówił jej imię głośno, sprawił mu przyjemność. Jed delikatnie pchnął drzwi. W końcu był to jego dom. Wszystko na wyspie Sancii było jego, z wyjątkiem rzeczy osobistych, które pozostawił Lewis Simmons, zarządca, wynajęty przez dziadka Gregga czterdzieści lat temu.

Jed wszedł do chłodnego domu z niepokojącym poczuciem winy. Był człowiekiem, który zawsze szanował prawo do prywatności innych ludzi, ale jednocześnie bardzo chciał zobaczyć wszystko, co miało związek z Theną Sainte-Colbert Wolno obszedł największy pokój, oglądając półki z książkami. Przypomniał sobie teraz, że Lewis Simmons był naukowcem zajmującym się roślinami. A prawnicy wspominali coś o jego córce i jej mężu, którzy również zajmowali się czymś podobnym. Zgromadzone tu książki potwierdziły to.

Jed zatrzymał się nagle, zaskoczony niespodziewanym widokiem. Duży kolorowy telewizor stał w rogu pokoju jak przybysz z innej planety. Jed przesunął palcami po zestawie video stojącym na telewizorze.

Poprzedniego dnia obszedł dom, żeby obejrzeć cysternę do łapania deszczówki. Obok niej znalazł zasilany gazem generator prądowórczy. Thena mieszkała samotnie na niezamieszkałej wyspie, ale miała kolorowy telewizor i video. Nie miało to sensu, ale mało co miało go tutaj.

Potrząsając głową Jed podszedł do na wpół uchylonych drzwi i otworzył je. Westchnął z mimowolnego zdziwienia.

Jej łóżko było duże, antyczne, zrobione z czerwonego drewna. Białe draperie spływały nad nim z podwieszenia na wysokim suficie. Kolorowe dywany pokrywały drewnianą podłogę koło łóżka. Widok ten spowodował, że Thena powróciła do jego myśli.

Thena weszła przez frontowe drzwi pięć minut później, ze szkicownikiem w jednej, a garścią muszelek w drugiej ręce. Podśpiewując cicho piosenkę ze starego filmu Judy Garland, który wypożyczyła tydzień wcześniej, położyła wszystko na starym dębowym stole i poszła do sypialni.

Jej głos brzmiał wesoło, wciągnęła zapach hibiskusa, który płynął przez otwarte okna. Potem zaczęła ściągać przez głowę koszulę. Nagle zrobiła półobrót i kątem oka dostrzegła wczorajszego nieznanego siedzącego w starym, bujanym fotelu matki.

Jed dostrzegł przez moment błysk jej złotego ciała zanim z powrotem nie naciągnęła koszuli.

– Musimy porozmawiać, proszę pani – powiedział najuprzejmiej jak umiał, zastanawiając się, które uczucie jest w nim silniejsze, zażenowanie czy pożądanie. Czy ona nigdy nie nosi majtek lub stanika? – Czy ma pani na to ochotę czy nie.

Jej twarz wyrażała wściekłość.

– Wynoś się z mojego domu – powiedziała wreszcie. – Ty obrzydliwy podglądacz.

Jed wstał, postanowił być uprzejmy, lecz stanowczy.

– Przepraszam za wtargnięcie – powiedział – ale ten dom nie należy do pani.

– Byłeś za długo na słońcu, kowboju. Wynoś się! Thena wskazywała mu ręką drzwi, żałowała, że zostawiła psy na zewnątrz, a strzelbę na werandzie.

– Czy mogłaby pani coś przeczytać?

Jed sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął stamtąd dokument.

– To powinno wszystko wyjaśnić...

– Wynoś się! – rozkazała, w dalszym ciągu pokazując drzwi.

Jed był bliski załamania.

– Nie. – Wyciągnął w jej stronę papier. – Proszę to, do cholery, przeczytać i uspokoić się.

Thena spojrzała na niego z wściekłością. To było jej sanktuarium, jej dom, jej wyspa, miała dość tego twardego mężczyzny, przystojnego czy nie. Ruszyła w stronę drzwi. Zablokował jej drogę tak szybko i skutecznie, że skrzywiła się z niesmakiem.

– Żadnej strzelby i żadnych psów – rozkazał, czytając w jej myślach.

Jed w dalszym ciągu wyciągał w jej stronę dokument.

Thena zerknęła na otwarte okno wychodzące na werandę.

Lekki ruch ciała mężczyzny powiedział jej, że jest przygotowany na zablokowanie również tej drogi. Poczula rosnący ;arach. Jed dostrzegł to.

– Proszę się mnie nie bać. Jedyne, czego chcę, to aby pani przeczytała ten papier i porozmawiała ze mną na jego temat. I chciałbym wiedzieć, czy sypiasz nago i samotnie w tym wielkim łóżku” – dodał w myślach.

Thena odprężyła się nieco, słysząc szczerą w jego głos. Spojrzała na dokument, wyrwała mu z ręki i otworzyła. Jed wsunął obie ręce do kieszeni i patrzył na nią, gdy czytała.

Poczuł ucisk bólu w piersi, gdy powoli bladła pod złotawą opalenizną.

– Och! – szepnęła słabo. – Och, rozumiem! Wzrok, który podniosła na niego, był pełen niedowierzenia. Potem zeszytniała, przechyliła głowę na jego ramię, obserwując go uważnie.

– Moja matka wychowała się tutaj. Ja się tutaj urodziłam. – Wskazała na łóżko. – Właśnie tu. I to jest najważniejsze.

– Ludzie rodzą się w szpitalach, ale to nie znaczy, że mają je na własność.

Patrzyła na niego z rosnącym gniewem. Jed oparł ręce na biodrach. Nie chciał, żeby zabrzmiało to tak impertynencko, I ale, na miłość boską, ona musi zacząć myśleć rozsądnie. – Czy kiedykolwiek ktoś z rodziny Greggów powiedział pani, że ta wyspa należy do niej?

– Nie, ale po tych wszystkich latach... Moi rodzice byli Baukowcami, mówili, że H. Wilkens Gregg chciał, aby Sancia została zachowana taka, jaka jest. Miał zamiar ofiarować ją państwu jako rezerwat przyrody. Zawsze wiedzieliśmy, że tak się stanie.

Jed wolno potrząsnął głową, bez śladu poczucia zwycięstwa.

– Obawiam się, że nie, proszę pani. Zeszytniała.

– Kim pan jest? – Ponownie przeczytała dokument. – Jedidiah Runtington Powers? To pan? Jest pan wnukiem pana Gregga, kowboju? Pan?

Skinał głową.

– Czy tak trudno w to uwierzyć, proszę pani? Jestem Jed Powers. Nic w tym zabawnego. „Huntington” pochodziło od Huntingtona Wilkensa Gregga – nienawidził tego.

– Dobrze. Jed Powers. Dlaczego pan tu jest? – Złożyła dokument i oddała mu. Nagle uśmiechnęła się. – Zamierza pan przekazać wyspę państwu?

Jed niemal jęknął.

– Nie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– A zatem co pan ma zamiar z nią zrobić?

Kłopoty nadchodzą, kłopoty nadchodzą, tak jak powiedziała Beneba.

„Nie było sposobu osłabienia ciosu” – pomyślał Jed ze znużeniem.

– Sprzedać ją pod zabudowę. – Wciągnęła gwałtownie powietrze. – Proszę się nie denerwować. Proszę posłuchać...

– Nie!

Podniosła rękę do gardła z wyrazem takiego przerażenia[^] że serce w nim zamarło. Wybiegła z pokoju tak szybko, że nie mógł jej zatrzymać.

– Rasputin! Godiva!

– Proszę zaczekać! – krzyknął, rzucając się za nią. Jed zdołał zablokować drzwi, zanim zdołała je otworzyć.

Jej oczy zwęziły się z wściekłości. Jed wysunął brodę do przodu.

– Niech się pani nie waży szcuć mnie psami.

– Każę im dać ci lekcję moralności, ty bezkrytyczny, chciwy głupku. – Jej głos był niski i drżący ze złości. – Wrócisz na ląd ze śladami ich zębów na plecach.

– Czy chce mnie pani zmusić do zrobienia czegoś nieprzyjemnego? – zapytał.

Thena cofnęła się, w dalszym ciągu w zdenerwowaniu trzymała ręce przy gardle.

– Czego na przykład?

– Czegoś. Będzie pani żałowała, jeżeli będę musiał to zrobić. – Jed zauważył jej strach i dodał natychmiast. – Nie chcę niczego robić, Theno.

– Proszę nie mówić mi po imieniu. Mogę nie mieć na własność Sancii, ale mam na własność swoje imię.

Jej ramiona opadły. Światło w jej oczach zgasło i Jed poczuł współczucie dla niej.

– Proszę po prostu odejść – powiedziała głucho. – Muszę pomyśleć.

– Nie można uciec przed faktami, Theno... proszę pani. Możemy porozmawiać o przyszłości.

– Jest pan okropny. – Jej głos nadał temu prostemu stwierdzeniu ton śmiertelnej obrazy. – Wynoś się.

– Nie. Nie chcę, żeby myślała pani o mnie jak o skąpym łobuzie.

– Ta wyspa jest częścią mojego rodzinnego spadku! I... pana rodzinnego dziedzictwa! – powiedziała żarliwie. – Wiem wszystko o Greggach. Mój dziadek opowiedział mi. H. Wilkens i Sarah spędzili tutaj swój miesiąc miodowy. Ich córka urodziła się tutaj. Ich córka...

– Thena spojrzała na Jeda. – Pańska matka? Przytaknął ponuro.

– Stara rezydencja Greggów istnieje jeszcze. – Thena wyciągnęła prosząco rękę. – Gdyby

pan tylko zechciał ją obejrzeć... gdyby pan tylko zobaczył SalHaven...

– Do diabła, nie! Nie dbam o rodzinę Greggów i mam zamiar pozbyć się tego ich kojca.

Słowa zamarły Thenie na ustach. Głos Jeda Powersa nie podniósł się, nic się w nim nie zmieniło. Ale ciemne oczy patrzyły teraz z nienawiścią i złością.

– Jest pan – powiedziała cicho – przepełnionym złością człowiekiem o zimnym sercu.

Thena wyprostowała się z godnością i wskazała drzwi poza jego plecami.

– Proszę wyjść. Nie poszczuję pana psami. Po prostu proszę odejść.

Jed nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się tak zawiedziony. Zawód i zranione uczucia, ponieważ ta kobieta powiedziała, że ma zimne serce. Zrobiła z niego okrutnika, którym nie był.

– To jest mój dom – powiedział wolno. – I pozostanę, jeżeli będę chciał. – Przerwał, wysuwając szczękę do przodu. – Zrozumiałas, ... Theno?

Dwoma szybkimi krokami podeszła do stołu i z kamiennej miski wzięła dojrzałą brzoskwinę. Jed nawet nie zdążył zrobić uniku. Cisnęła brzoskwinia z siłą, która go zaskoczyła. Owoc odbił się od jego żeber z głuchym odgłosem, zostawiając na koszuli wilgotny ślad.

– Wynoś się – powtórzyła i sięgnęła po następną brzoskwinę.

Ze zwykłym spokojem Jed spojrzał najpierw na bolące miejsce, a potem na nią.

– A to dobre – powiedział sucho. – Ale ponieważ nigdy nie słyszałem o tym, aby kogoś zabito brzoskwinia, wcale się nie boję.

– Będiesz.

Druga brzoskwinia przeleciała przez pokój i uderzyła go w szczękę. Jed mruknął z zaskoczenia i bólu, ale nie drgnął. Szybko dotknął szczęki, być może rzeczywiście brzoskwinie mogły być niebezpieczne.

– Nie ma się co tak awanturować – mruknął uspokajająco. – Porozmawiajmy.

Thena stanęła, zaskoczona. Jed rzucił się w jej stronę.

– Oszustwo! – krzyknęła.

Thena złapała dwie następne brzoskwinie i przebiegła na drugą stronę stołu. Jed rzucił się na stół, rozsypując muszelki i zrzucając miskę z resztą owoców na podłogę.

Thena ponownie krzyknęła, gdy jego dłonie usiłowały chwycić jej sukienkę. Cisnęła mu w głowę kolejną brzoskwinę i uskoczyła. Dłoń trzymająca ostatni owoc drżała. Nie wiadomo, co robi ten szalony człowiek, kiedy ją złapie. Kłopoty, kłopoty.

– Proszę się do mnie nie zbliżać! – krzyknęła.

– Już za dużo od pani dostałem. Proszę o przeprosiny. Zamruczała coś pod nosem po francusku, ale z pewnością *me* były to przeprosiny. Milcząco, z twarzą pobladłą ze złości i bólu odsunął się od stołu i skoczył w jej kierunku. Podcwa jego lewego buta pośliznęła się na kawałku brzoskwini leżącym na drewnianej podłodze i nagle jego lewa noga podjechała do góry.

Thena wstrzymała oddech, widząc jak gwałtownie upadł do tyłu, uderzając głową o kant kuchennego, żółtego blatu. Zamknął oczy z bólu, ale nie wydał nawet jęku. Opadł na podłogę, oparty plecami o kuchenną szafę, z jedną nogą podkurczoną. Wolno podniósł jedną rękę i

dotknął rosnącego na głowie guza, skóra na jego twarzy poszarzała.

– Chcę umrzeć szybko – wymamrotał, ciągle nie otwierając oczu. – Proszę się nie krępować i zatłuc mnie. Radzę wziąć kłos zboża. To powinno wystarczyć.

– Dobry Boże – powiedziała wolno Thena.

Jak on może tak żartować, przecież niemal rozwalił sobie głowę? Gdzieś głęboko w niej rósł z jednej strony podziw dla niego, z drugiej niepokój, że może być poważnie ranny. Upuściła ostatnią brzoskwinię i podbiegła do kuchennego zlewu, żeby zmoczyć jakąś szmatkę w zimnej wodzie.

– Proszę się nie ruszać! – rozkazała.

Thena przyklękła przy nim i wyciągnęła szmatkę. Otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Wolę być pobity na śmierć, niż zagłaskany – powiedział smutno.

Było w nim coś zabawnego i oburzającego zarazem. Thena była zbyt przejęta tym wszystkim, żeby zareagować rozsądnie. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Na razie jest pan bezpieczny.

Spoważniała i przyłożyła szmatkę do jego głowy. Opuścił rękę, gdy Thena przycisnęła mokry materiał. Patrzyła, jak jego mokre włosy nabierają koloru ciemnej czekolady.

– Może to pomoże. Krwawi pan?

Jed przyglądał się jej, przesuwając dłonią po mokrych włosach. Jego ręce miały mnóstwo blizn i zgrubień, mały palec na jednej z nich był lekko skrzywiony, tak jakby był kiedyś złamany i nie zrósł się prosto. Jego ręce pasowały do niego.

– Nie ma krwi – odpowiedział.

– To dobrze.

– Bardzo się pani troszczy o moje zdrowie, zupełnie niespodziewanie.

Thena spojrzała groźnie.

– Nie liczyłam na to za bardzo. Nie chcę, żeby pana ciało zanieczyszczało moją wyspę.

Zaczęła wycierać sok brzoskwini z jego twarzy niecierpliwymi ruchami. „Ma orzechowe oczy – pomyślała nagle. – Ma piękne, głęboko osadzone orzechowe oczy”. Zapach, lekko spoconego, męskiego ciała, budził w niej dziwne uczucia.

– Ile pani ma lat? – zapytał nagle.

Thena niemal upuściła szmatkę. Uniosła nieco jedną brew.

– Dwadzieścia pięć. Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie.

Znów zaczęła wycierać mu twarz, ale teraz czuła się trochę niepewnie. Jego opalona twarz była nieco zaróżowiona od szorstkiej szmatki. Nagle przypadkowo przesunęła palcami po jego skórze i poczuła kłujący zarost.

– A pan ile ma lat? – zapytała nagle.

– Trzydzieści dwa. Dlaczego pani pyta? Zacisnął usta z rozdrażnieniem.

– Tak sobie. Wygląda pan na więcej.

Thena odłożyła szmatkę na blat ponad jego głową.

– Już. – Westchnęła ciężko ze zmęczenia. – Obawiam się, że pan przeżyje.

– Nienawidzi mnie pani – powiedział spokojnie. – I wydaje mi się, że rozumiem panią.

Spojrzeni na siebie i oboje zaczerwienili się. „Słowo «nienawiść» wprowadziło niepokojące napięcie” – pomyślała Thena. Jej usta zacisnęły się w twardą linię.

– Proszę podać mi choć jeden powód, dla którego mogę pana nie nienawidzić. Mam zamiar walczyć z pana planem. Chcę skontaktować się z ludźmi odpowiedzialnymi za ochronę środowiska w stanie i poprosić ich o prawne wystąpienie przeciwko panu.

– Dobrze. Niech pani walczy. Ale proszę coś dla mnie zrobić, kiedy będzie pani z nimi rozmawiała, dobrze? Proszę nie mówić, że sprzedaję wyspę dla pieniędzy, bo to nieprawda. Mam więcej pieniędzy niż mi potrzeba, nie wiem co z nimi zrobić. Więc proszę nie robić ze mnie świni. Sprzedaję wyspę, bo nie chcę, żeby była pomnikiem mojego dziadka hipokryty. To on był złośliwy i skąpy.

– Pan też jest złośliwy, kowboju. Nie jest to najlepszy pomysł na życie.

– Jeżeli pani chce, żebym myślał inaczej, niech mnie pani przekona.

– Dobrze – odpowiedziała z napięciem. – Oprowadzę cię po wyspie i ta wycieczka przekona cię.

Jed skinął głową, akceptując propozycję.

– Muszę odpłynąć jutro późnym popołudniem, ale do tego czasu może mnie pani oprowadzać, a ja postaram na razie nie wypowiadać się. – To nie było kłamstwo. Miał taki zamiar. – Jakąkolwiek decyzję podejmę, chcę żeby pani wiedziała, że przykro mi, iż bierze sobie pani to tak do serca.

Niecierpliwie machnęła ręką, słysząc to niepokojące zdanie.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie rodzą się i wychowują tacy twardogłowi kowboje jak pan.

– Wyoming.

Thena spojrzała na niego tak, jakby powiedział „na księżycu”.

– Teraz rozumiem. Nie wie pan, co to takiego wyspa. Jed skinął głową.

– Nigdy nie widziałem oceanu czy wyspy, dopiero wczoraj. Nie zależy mi na oglądaniu ich. Czy była pani na Zachodzie?

– Kiedy byłam małą dziewczynką, byłam kiedyś w Nowym Orleanie.

Jed spojrzał, ukrywając zdziwienie. – To nie jest Zachód – zauważył sucho. – Nie wie pani skąd pochodzę – dodał, naśladując ją.

– Nowy Orlean jest na zachód stąd.

Zachichotał. Thena przekrzywiła głowę i słuchała ciepłego, delikatnego śmiechu. Rozluźniał ją niepokojąco.

Jed nagle przestał się śmiać, kiedy skoczyła w jego kierunku, marszcząc brwi.

– Proszę wstać i wracać do obozowiska! – rozkazała. – Mam malowanie. Zobaczymy się o zachodzie słońca.

– Rozbiłem się...

– Wiem, gdzie się pan rozbił. Cendrillon i ja obserwowaliśmy pana cały ranek z lasu.

Zaskoczony zapytał:

– Czy widziała pani coś interesującego?

Thena niemal się zaczerwieniła. Widziała, jak zdjął koszulę i widok jego muskularnej, owłosionej klatki piersiowej był bardzo zajmujący.

– Nie. Jak pan może wytrzymać w tych gorących dzinsach?

Jed wstał powoli. Teraz górował nad nią, oddalony tylko o kilka cali.

– Umiem znosić gorąco – powiedział prowokująco. Thena odsunęła się, jej serce waliło mocno, usiłowała nie pokazać po sobie zmieszania, jakie wywołał. Dlaczego tak się przygląda jej ustom? Czy chciałby ją pocałować?

– Mam wiele pytań do pana – powiedziała.

– Odpowiem na nie, jeżeli pani odpowie na moje.

– Jutro – powiedziała Thena.

Nagle zapragnęła jak najszybciej pozbyć się go z domu. Jed mówił w sposób, który Nate ponuro nazywał „prowokująco seksualnie aluzyjnym”, i to ją zaszokowało. Przez lata usiłowała wywołać taką reakcję Nata, aż doszła do wniosku, że nie jest dostatecznie sexy.

Jeda Powersa w ogóle nie usiłowała prowokować, a jednak stał tutaj, rozmawiając z nią w sposób tak prowokacyjny, jak tylko to możliwe. Oddychała z trudem. Bardzo wolno pochylił się nad nią.

– Jutro – powtórzył.

Dotknął czoła w geście pożegnania, nieco staroświeckim, ale szarmanckim, odwrócił się na obcasie i wyszedł, zamykając uderzeniem dłoni drzwi z siatki.

Thena upadła na krzesło. Nie pozwoli Jedowi Powersowi sprzedać wyspy. Musi zatrzymać go w jakiś sposób, złapać – jeżeli on nie złapie jej wcześniej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czy kiedykolwiek czuł się tak rozleniwiony? Kiedy budził się wolno, pełen jeszcze miłych snów? Jed uśmiechnął się, przekręcił w śpiworze na plecy, tak że poduszka piasku znalazła się pod jego głową. Wciągnął głęboko powietrze i poczuł delikatny zapach morskiego powietrza zmieszany z zapachem jedzenia gotowanego na ognisku z drzewa wyrzuconego przez fale na brzeg.

Gotowanie? Ognisko? Instynkt, wyrobiony przez lata lekkiego snu, głównie przez nasłuchiwanie kroków pijanego ojca wracającego do ich małej przyczepy, obudził go natychmiast. Spojrzał na płócienny baldachim chroniący go przed światłem słońca, potem odwrócił głowę i zobaczył przyczynę swoich snów: Thenę.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami o kilka stóp od niego, trzymając rondel nad niedawno zapalonym ogniskiem. Poranne światło zaróżowiło ją, a oceaniczna bryza rozwiewała włosy. Dojrzałe wzgórki piersi widoczne były pod podkoszulką, a białe szorty podkreślały zgrabne, złotawe nogi.

Jed poczuł fizyczne pożądanie. Chciwie wpatrywał się w jej twarz, zapamiętując rysy. Delikatny nosk mógłby należeć do debutantki na balu, która ma zimną, błękitną krew i długie, białe rękawiczki. Przypominała królowe rodeo. Jej oczy i usta nie miały w sobie śladu dumy, były takie, jakie miały kobiety piratów – ciepłe jak gorący cydr i dwa razy słodsze. Wyraz jej twarzy zmieniał się szybko, była jak żywe srebro i to powodowało, że był przy niej spokojniejszy niż zwykle. To dobrze, że miał zupełnie inny temperament.

Jed pomyślał o swoich wargach, twardych od wiatru i zaciśniętych, gdyż rzadko się uśmiechał, zastanawiał się, jak jej delikatne, pełne usta odebrałyby kontakt z nimi. Przypominała różę, jej delikatność i zapach. Thena zaczęła śpiewać jakąś starą, filmową piosenkę i Jed zasłuchał się. Patrzył na delikatne ruchy rzęs, miała teraz na wpół przymknięte oczy, chroniąc je przed blaskiem wschodzącego słońca. Ta kobieta miała w oczach czar, a jego puste życie potrzebowało czaru. Leżał nieruchomo, sparaliżowany pięknem jej sylwetki na tle różowiejącego nieba i białego piasku.

Theną nagle spostrzegła, że Jed obserwuje ją. Przestała śpiewać, zastygła z otwartymi ustami, zawstydzona.

– Dzień dobry – powiedziała wreszcie. – Mam nadzieję, że lubi pan smażonego witlinka i placki pszenne.

Theną miała napięte nerwy i różne myśli przelatywały jej przez głowę, gdy tak leżał nieruchomo, nie odpowiadając, ze wzrokiem utkwionym w niej. Czy kowboje nie lubią ryb? A może jest zły za wczoraj?

Zmusiła się do siedzenia nieruchomo pod jego spokojnym, marzycielskim spojrzeniem. Nigdy nie widziała budzącego się mężczyzny. Zastanawiała się, czy inni też mają rano takie ciemne, uwodzicielskie oczy. Jak mężczyzna z rozspaną twarzą i potarganymi włosami może być tak przystojny?

– Theno, czy to śniadanie to łapówka? – Jego głos był schrypnięty.

Ujął ją łagodnym poczuciem humoru i rozproszył obawy.

– Tak. – Uśmiechając się skinęła energicznie głową i spojrzała na rondel, w którym filety skwierczały na oleju. – Przejrzałam pana zapasy jedzenia. Krakеры i konserwy mięsne nie są dobrym pożywieniem na badanie wyspy.

– Jesteś nieco wścibska, czyż nie, dziewczyno? „Dziewczyno, jakie dziwne słowo” – pomyślała.

– Pana plecak był otwarty. Poza tym w dalszym ciągu uważam, że to moja wyspa. Będę robiła to, co chcę.

Wymienili spojrzenia. Nagle Jed uśmiechnął się do niej. Oddała mu uśmiech. Złote promienie światła ukazały się nad czubkami drzew. Jed zadrżał, wydało mu się, że cały świat pojaśniał z uśmiechem Theny.

– Boże wszechmogący – powiedział cicho.

– Coś nie tak? – Przechyliła głowę na jedno ramię i patrzyła zaskoczona.

Jed usiłował ukryć swoje uczucia.

– To... czy tu zawsze jest tak jasno o poranku? Roześmiała się ku jego zadowoleniu.

– Czy w Wyoming nie jest jasno?

– Nie tak jak tu. Tu wszystko jest ostrzejsze i wyraźniejsze niż gdziekolwiek.

– To nie tylko z powodu słońca. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – To także z tego, co w panu. – Wyciągnęła rękę i wskazała na jego serce, potem szybko cofnęła ją. – Sancja powoduje, że pana serce otwiera się na to co dookoła.

Jed zachichotał. Teraz mówiła bzdury– Och, a ja myślałem, że mam niestrawność.

W drugiej ręce Thena trzymała szpatułkę, po chwili pogroziła nią.

– Zobacz pan – ostrzegła sucho.

Odwróciła się tyłem i zajęła gotowaniem, usiłując zignorować nagły wyraz zaintrygowania w jego oczach.

– Ostatniej nocy przejrzałam artykuły o Wyoming w National Geographic. Nic dziwnego, że czuje się pan tutaj obco. Z której części Wyoming pan pochodzi?

– Z małego miasteczka Hard Chance Greek. Wysoko w górach.

Theną skinęła głową, przypominając sobie zdjęcia poszarpanych szczytów i śnieżyc.

– Potrzeba trochę czasu, żeby mógł się pan przystosować.

Uśmiechnęła się tak, jak gdyby był poganinem, którego miała zamiar nawrócić dla jego dobra.

– Uważa pani, że potrzeba mi jedynie prania mózgu?

– Nie. Trzeba jedynie rozbudzić pana świadomość.

– Sama się budzi. Dziękuję pani bardzo.

Śmiejąc się Jed rozpiął śpiwór i wysunął się spod baldachimu, tak że mógł usiąść. Thena poczuła przyspieszone bicie pulsu, gdy zobaczyła jego wspaniałe ciało przykryte jedynie obcisłymi dżinsami. „ Jest bardzo piękny” – pomyślała.

Jego klatkę piersiową gęsto pokrywały kręcone włosy, dochodziły aż na muskularny brzuch. Tylko włosy były delikatne i Thena wyobraziła sobie ich jedwabistość.

Nie miała, oczywiście, zamiaru ich dotykać. Nie z powodu konfliktu między nimi, ale

ponieważ nigdy nie dotykała mężczyzny pieśczośliwie. Żadnego mężczyzny. Pojawiły się nagle przykre wspomnienia odrzucenia jej przez Nata.

Jed czuł badawczy wzrok Theny, tak jakby czubki jej palców badały każdy cal jego ciała. Sięgnął do plecaka po podkoszulkę i szybko wciągnął ją przez głowę. „Może spalić człowieka tymi oczami” – pomyślał. Jak wielu przed nim spaliła na popiół?

– Przyjmuję pani łapówkę – śniadanie – powiedział burkliwie. – Kowbojskie jedzenie nie umywa się do niego.

– Dobrze. Tu mam następną łapówkę.

Sięgnęła poza siebie i wręczyła mu parę skórzanych sandałów.

– Proszę je dziś założyć, a zostawić te gorące buty.

– Wyglądają, jakby należały do starego hipisa.

– Należały do mojego ojca, a on z pewnością nie był starym hipisem – odpowiedziała. – Był członkiem francuskiej ekipy olimpijskiej w jeździectwie, gdy był młody. Był szanowanym biologiem zajmującym się morzem. Matka także była biologiem. Powinien pan nosić te sandały z dumą.

Zrobił skruszoną minę.

– Tak, proszę pani. – Lekko skrzywił usta. – Po prostu myślałem, że należały do pani ostatniego chłopaka.

Spojrzała na niego i upokarzające wspomnienia Nata znów wróciły. Najlepiej będzie, jeżeli zignoruje swoje seksualne potrzeby. Nate mówił wiele razy, że jest intelektualistką nie nadającą się do intymnych zbliżeń. Jej niezdarne, zakończone niepowodzeniem usiłowania, kiedy przez rok chciała zmienić ich platoniczny stosunek, utwierdziły go w tym przekonaniu, wreszcie i ona pogodziła się z tym. Jest myślicielką, a nie kochanką.

– Ten... przyjaciel – powiedziała wolno – był starym hipisem. Ale on chodził w tenisówkach, a nie w sandałach.

Jed patrzył na swoje stopy, wsuwając je w dziwacznie wyglądające buty, nieco na niego za duże. Obojętnym głosem, z nieprzeniknioną twarzą zapytał:

– Co się stało? Zastrzeliła pani hipisa-przyjaciela z jakiegoś powodu?

– Nie był takim sobie hipisem. Zanim przeniósł się na wybrzeże, był profesorem literatury na uniwersytecie. Był również filozofem. Bardzo błyskotliwym. Zginął razem z moimi rodzicami w wypadku samochodowym.

Jed spojrzał na nią przepaszająco. Thena patrzyła na niego bez wyrzutu, mimo to po chwili wymruczał:

– Czasami mam ochotę zatkać sobie tę za dużą gębę. Przebaczy mi pani?

Theną skinęła głową, zdezorientowana. Powiedział to tak miło i smutno. Trudno było oprzeć się zafascynowaniu nim, nawet jeżeli sprawiał jej tylko kłopoty.

Jed zauważył cieplejszy wyraz jej oczu i poczuł się tak, jakby go pocałowała. Na ramionach pojawiła mu się gęsia skórka.

– Czy pani też była w tym wypadku?

Kiwnęła głową i wskazała swoje kolano. Jego oczy rozszerzyły się na widok pooperacyjnych blizn, przypomniał sobie, że kulała.

– To się stało na ładzie – wyjaśniła spokojnie – i jest jednym z powodów, dla których kocham moją wyspę. Nie ma tu samochodów, z wyjątkiem starej ciężarówki, którą przewożę rzeczy. Nie ma pijanych kierowców. – Przerwała i dodała po chwili gorzko: – Pana wyspę.

Poczuł się winnym.

– Chciałem to pani powiedzieć wczoraj, ale nie dała mi pani szansy. Może pani zatrzymać dom i teren wokół niego.

Zwłaszcza, że chyba nie ma pani pieniędzy, żeby się gdzieś wyprowadzić.

– Dziękuję – powiedziała zimno. – Mam pieniądze. Rodzice zostawili mi niewielką sumę, poza tym maluję akwarele, których sprzedaż pokrywa prawie wszystkie moje wydatki. Pieniądze nie są problemem.

Jed zmarszczył brwi, jego szczodry gest zawisł w próżni. Thena położyła kilka brązowych filetów na porcelanowy talerz, który przyniosła ze sobą, wyjęła kilka placków, leżących w aluminiowej folii koło ognia. Umieściła je na brzegu talerza i wszystko to podała Jedowi. Przyjął gorący posiłek, nie patrząc na niego.

– Nie może pani oczekiwać ode mnie zatrzymania wyspy – zaprotestował. – Co kowboj może robić na wyspie?

– Zmieni pan zdanie. – Kiwnęła głową z wyższością. Wyspa jest pełna dobrych duchów, do nich należy między innymi Sarah Gregg i dobrych sil pogody i miłości, które uwiodą jego serce mimo sprzeciwu i oporu.

– To jest wyjątkowe miejsce. – Wskazała na talerz. – Proszę jeść, a ja spróbuję wyjaśnić dlaczego.

Jed przytaknął. Jego myśli były dalekie od jedzenia, nadgryzł jednak placek i stwierdził, że był on ciepły i pyszny. Jego kobieta była piękna i bardzo mądra, mógł to stwierdzić w czasie ostatnich dwóch dni, po obelgach, jakimi go obrzuciła; była także wspianiałą kucharką. Poza tym czytała National Geographic.

Jego kobieta? Boże wszechmogący. Kopnął się w myślach i wrócił do rzeczywistości, w której kowboje, nawet bogaci, nie zdobywają uczuć księżniczek z wysp.

– Wyspa Sancja – zaczęła – ma powierzchnię niemal trzydziestu mil kwadratowych. – Thena opłotła ramionami kolana i wpatrzyła się w ocean. – Ma dziesięć mil dziewiczych plaż. Żółwie morskie składają na niej jaja. Puszcza jest pełna zwierzyny. – Pochyliła się i dotknęła palcem jego ramienia, jej oczy błyszczały niemal matczyną dumą. – Mam tutaj węże indygo.

Kiedy nie zauważyła reakcji – nie mógł myśleć o niczym innym niż o dotyku jej ciepłego palca – była rozczarowana.

– Te węże występują tylko na przybrzeżnych wyspach, Jed.

Jed. Piewszy raz w życiu poczuł sympatię do swojego imienia, ponieważ w jej ustach zabrzmiało tak lirycznie.

– Wszystko to tu pozostanie – powiedział. – Jakoś to załatwimy.

Zorientował się nagle, że jego odwetowe pragnienie sprowadzenia buldożerów i kondominiów zbladło. Wiedział jednak, że gdy tylko oddali się od tego miejsca i od niej, znów powróci.

Cofnęła ramię i znów potrząsnęła głową, – Żadnych budów. Żadnych. Będziesz musiał z

tego zrezygnować. – Zastanawiała się przez chwilę i nagle spojrzała na niego z nowym entuzjazmem. – Konie! Koniecznie je musisz zobaczyć! Czy wiesz, że twoja babka trzymała tu araby?

– Nie. Nigdy nie zależało mi na tym, żeby wiedzieć co robiła. Trenuję konie wyścigowe. Arabcy są za delikatne jak na mój gust. – wymamrotał. Widząc jej gasnący entuzjazm, dodał szybko: – Ale piękne.

– Wspaniałe – poprawiła. – Twój dziadek zostawił je po śmierci Sarah. Kiedy przeniósł się do Nowego Jorku, zabrał ze sobą tylko córeczkę, twoją matkę, a wszystko inne zostawił. Mój dziadek opowiedział mi o tym. Zawsze zastanawialiśmy się, co stało się z tą małą dziewczynką.

– Zakochała się w biednym jak mysz kościelna kowboju Roarke Powersie. Pobrali się, urodził się syn. Kilka lat później umarła straszną śmiercią. – Jed podniósł ostrzegawczo dłoń, hamując zaskoczenie i ciekawość w oczach Theny. – Opowiedz mi coś o koniach.

Wstrząśnięta Thena dostrzegła głęboko ukryty ból i urazę, zamaskowane szorstkim zachowaniem i poczuła współczucie. Ten mężczyzna nie miał łatwego życia.

– Arabcy – kontynuowała – skrzyżowały się z końmi z wyspy, pochodzącymi od koni pozostawionych na wyspie przez Hiszpanów w szesnastym wieku. Krzyżują się z arabami od pięćdziesięciu lat i ta kombinacja dała kilka wspaniałych okazów. Stado liczy około dwudziestu pięciu sztuk. Moi rodzice czasem sprzedawali po kilka z nich – Opowiedz mi o Cendrillon. Nigdy nie widziałem srokacza o tak dziwnej barwie.

– Jest najlepsza. Widziałam jak się rodziła, dlatego jest mi jeszcze droższa. Ojciec nauczył mnie ujeżdżać konie i wszystko, co umiałam, wykorzystywałam przy uczeniu jej.

– Co oznacza jej imię?

– To po francusku „Kopciuszek”. Była mała i brzydka, kiedy się urodziła. Nikt, oprócz mnie, nie wierzył, że wyrośnie na ładną klacz. Miała ukrytą piękność.

Theną przez kilka następnych minut opowiadała o Cendrillon i zwierzętach na wyspie. Kiedy skończyła, Jed był jak zaczarowany, nie potrafił znaleźć słów. Wreszcie cicho powiedział:

– Kochasz tu wszystko, jak widzę, a wszystko tu kocha ciebie i wiem dlaczego.

Theną wstrzymała oddech. Jak można włożyć tyle uwodzicielskiego czaru w zwykłe słowa? Szybko może stracić kontrolę nad tą rozmową. Wstała i wyciągnęła palec w stronę niedokończonego jedzenia.

– Tak. Dobrze. Pośpiesz się i zjedz to. Przyprawdzą konia dla ciebie. Wytrenowałam kilka innych oprócz Cendrillon.

– Chcesz zobaczyć, jak zrzuci mnie jakiś na wpół dziki ogier – zażartował. – Ale przez wiele lat zarabiałem na życie, biorąc udział w rodeo, więc nie miej zbyt dużych nadziei.

– Dlaczego przestałeś występować?

– Zostałem zrzucony przez na wpół dzikiego ogiera. – Uśmiechnął się pokazując kark. – Złamałem dwa kręgi. Wtedy zdecydowałem się na trenowanie koni wyścigowych. Chcę teraz kupić farmę. Za jakiś czas będę miał najlepsze konie wyścigowe w kraju.

– To dużo kosztuje. Musiałeś sporo odziedziczyć. Patrzyła na niego z dezaprobatą,

mówiącą mu jak bardzo nie pochwała jego oschłego stosunku do rodziny, która uczyniła go bogatym. To był błąd. Jego oczy natychmiast stwardniały.

– To były pieniądze matki, przeznaczone dla niej. – Jed mrużył oczy, jego zimny głos zmieniał jej wyraz twarzy. – Gdyby dostała je, żyłaby do dziś. Nie prosiłem o pieniądze ani o wyspę, ale dostałem je. I nie czuję wyrzutów, posiadając to, co powinno było należeć do niej.

Thena zaczerwieniła się.

– Ja... nie wiem właściwie nic na ten temat – powiedziała szybko. – I nie jest to moja sprawa. Nie chciałam cię sądzić. Jedyne co mnie obchodzi, to to, co zrobisz z moją... z wyspą.

Złość Jeda zniknęła pod wpływem tej szczerej odpowiedzi.

– Wiem, że wydaję ci się zły, przykro mi z tego powodu. Nie oczekuję od ciebie zrozumienia tego, co czuję do rodziny Greggów.

Thena dostrzegła zdecydowanie w jego twarzy, ale wydawało się jej, że w orzechowych oczach Jeda był smutek z powodu jej zachowania.

– Nie wydajesz mi się zły – powiedziała. Dlaczego chciała go uspokoić, sama nie wiedziała. WesicfcBCto. z niezadowoleniem myśląc o swoich mieszanych – Wyglądasz na kogoś z ładu, kogo trzeba wychować.

– Więc mnie wychowaj, dziewczyno.

Przez sekundę stali, patrząc na siebie w dziwnym wyczekiwaniu, wyczekiwaniu czego – Thena wolała się nie domyślać. Zaczęła się cofać.

– Jedz – popędziła go. – Pójdę po konie.

Jed patrzył na nią, dopóki nie zniknęła w lesie. „Nie wydajesz mi się zły” – powiedziała. Czuł się jak dorastający chłopak przed jakąś zwariowaną awanturą.

Od chwili, gdy Jed usiadł na przykrytym kozłą skórą grzbiecie Jack-Jaw, Tehna wiedziała, że rozumie i kocha konie tak samo jak ona. Siedząc na Cendrillon, obserwowała wolty, które wykrecał Jed na piasku plaży. Ogier miał tylko kantar z przyczepionymi do niego wodzami.

To był piękny widok, gibki mężczyzna na zwinnym koniu poruszający się z gracją po plaży, i Thena poczuła łyzy w oczach. Jed Powers nie może być bez serca i nie może sprzedać wyspy – to niemożliwe. Wyraz jego twarzy był pogodny, a uśmiech uczciwy. Uczciwy i bardzo pociągający.

Poczuła ciepło w całym ciele. Było jej gorąco, jak gdyby miała w sobie słońce; gdy nagle ptak odezwał się w pobliskich sosnach, dreszcz przebiegł jej po plecach. Uważała, że wyspa ma w sobie moc, może ten niezwykle mężczyzna również ma w sobie moc.

Jed zatrzymał się koło Cendrillon, Thena uśmiechnęła się lekko do niego.

– Rozumiesz konie – powiedziała.

– Zacząłem jeździć jak tylko wyszedłem z pieluch.

– Musiałeś zużywać dużo pudru dla dzieci. Uśmiechnął się do niej, a w niej słońce niemal wybuchło.

Z przymrużonymi oczyma, przystojną twarzą wyglądał jak przykład Matki Natury, że mężczyzna powinien być nieodparcie pociągający dla dobra gatunku. Thena patrzyła na niego

z nieskrywanym podziwem.

Konie stały tak blisko siebie, że nagie kolano Theny dotknęło nagle muskularnego uda Jeda. Jack-Jaw poruszył się, przesunął o krok do przodu i jej kolano przejechało po nodze Jeda. Thena była zaszokowana odkryciem, że jej kolano ma strefę erogenną.

Wydawało się, że jego noga była równie czuła jak jej kolano, bo jego uśmiech zniknął i Jed wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

– Jesteś dobrą trenerką koni – powiedział ochryple. – Ten ogier porusza się tak, jakby uczono go chodzić pomiędzy jajkami bez nadeptywania na nie.

Delikatnym ruchem nogi zachęcił Jack-Jaw do odsunięcia się o parę cali od Cendrillon. Thena odetchnęła z ulgą.

– Jedziemy – powiedziała szybko. – Muszę ci dużo pokazać.

– Jestem gotów i czekam.

Posłała mu długie, taksujące spojrzenie, potem skierowała Cendrillon w stronę tajemniczej, ciemnej puszczy.

Jed niemal oczekiwał pojawienia się w każdej chwili elfów, potem skarcił się za głupotę. Poczł się nagle małym chłopcem siedzącym koło ciotki Lucy w kościele. Człł się, jak w czasie modlitwy.

Byli w miejscu, gdzie rosły ogromne dęby, pokryte lichenem, mchem, zarosłe paprociami. Zarośla małych palm chwytaly konie za nogi, liście magnolii gładziły twarz i ramiona Jeda. Thena jechała koło niego i od czasu do czasu mówiła coś o wyspie.

– Co tak ładnie pachnie? – zapytał.

– Drzewa laurowe i dzikie winogrona. Zawsze myślę o Tasoneeli i Gabelu Boisfeuillet, kiedy je czuję.

– O kim? – zapytał Jed, tak jak miała nadzieję. Zainteresowała go.

– Tasoneeli i Gabelu Boisfeuillet. Byli kochankami. Umarli na wyspie.

– Ponieważ najedli się owoców drzewa laurowego i dzikich winogron?

Thena spojrzalam na niego z niesmakiem.

– Nie śmieję się. Chcesz usłyszeć tę historię? Jeżeli wierzysz w duchy, spodoba ci się.

– Wierzę w duchy Jacka Daniela i Johnnie Walkera. – Uśmiechnął się ze skruchą, widząc jej spojrzenie. – Ale lubię historie o duchach.

Wciągnęła wolno powietrze i zaczęła opowiadać:

– Tasoneela była piękną indiańską dziewczyną. – Thena wyprostowała się. – Była silna, odważna i dumna.

Spojrzala na Jeda i zobaczyła jego oczy. „Najlepiej nie patrzeć w nie” – pomyślała szybko.

– Hiszpanie okupywali wtedy całe wybrzeże i zabierali Indianom, co tylko chcieli. Jeden z nich, okrutny kapitan imieniem Miguel de Leturiondo, chciał Tasoneeli. – Thena zmarszczyła brwi z kobiecą pogardą. – Żeby została jego kochanką.

Jed miał ochotę uśmiechnąć się, słysząc jej melodramatyczną opowieść, ale za bardzo mu się ona podobała.

– Przybył do wioski, żeby ją zabrać, ale Tasoneela uciekła. – Thena wyciągnęła obie ręce

przed siebie. – Przyplłynęła samotnie na wyspę, aby się ukryć. Była tu sama przez cały rok i zakochała się w wyspie. Mimo że samotna, była szczęśliwa. – Thena ściszyła głos. – Pewnego dnia znalazła ciężko rannego mężczyznę, niemal umierającego, na zachodniej plaży. Był to francuski pirat, Gabel Boisfeuillet, którego statek zniszczyli Hiszpanie.

Odkaszlnęła. Mimo iż starał się zachować spokój, Jed czuł przyspieszone bicie pulsu za każdym razem, kiedy Thena przerywała opowieść.

– Mów dalej! – rozkazał.

– Tasoneela bała się go, ale nie mogła pozwolić mu umrzeć. Troszczyła się o niego, a kiedy Gabel odzyskał przytomność i zobaczył jej słodką twarz, zakochał się. Tasoneela szybko przekonała się, że przystojny pirat jest człowiekiem wartym miłości. Gabel błagał ją, żeby porzuciła wyspę i wraz z nim przepłynęła ocean. Z miłości zgodziła się. Thena przerwała, żeby nabrać powietrza.

– I? – zapytał natychmiast Jed. – Co się stało? Thena usiłowała ukryć zwycięski uśmiech.

– Tasoneela kochała Gabela, ale tęskniła za swoją wyspą. Była bardzo nieszczęśliwa i Gabel nie mógł pozwolić, aby cierpiała. Przywiózł ją z powrotem i został z nią. Zaczęli uprawiać ziemię.

Thena znów przerwała, żeby odpędzić motyla z twarzy.

– Co się dalej stało? – dopominał się Jed.

– Miguel de Leturiondo dowiedział się, że Tasoneela i francuski pirat żyją na wyspie i wysłał oddział żołnierzy, żeby ich złapali. – Thena wskazała na północ. – Dopadli Tasoneelę i Gabela na plaży przy końcu Sancii. Gabel stał, zasłaniając swoim ciałem Tasoneelę, strzelał do żołnierzy. Kilku odpowiedziało ogniem i jedna z kul zabiła Tasoneelę.

Thena znów przerwała. Jed bezwiednie nachylił się w jej stronę.

– Czy Gabel też został zabity? Jej twarz posmutniała, przytaknęła.

– Poprosił żołnierzy, żeby go zabili. Odmówili. Ale pozwolili mu zanieść ciało Tasoneeli na jej ulubioną polankę i pochować. Tam znów poprosił, żeby go zabili i tym razem, wzruszeni jego bólem i wiedząc, że na lądzie czekają go tortury i szubienica, uczynili to. Pochowali go koło Tasoneeli.

Thena spojrzała na Jeda i poczuła zadowolenie, widząc wyraz jego twarzy. Powoli wracał do rzeczywistości i jego ciemne oczy spoglądały na nią podejrzliwie.

– Czy ta historia jest prawdziwa? – zapytał, uśmiechając się.

– Jest. Przysięgam.

Thena była szczerą. Tyle razy i od tylu osób słyszała opowieść o Tasoneeli i Gabelu, że nie miała żadnych wątpliwości. Jechali w milczeniu kilka minut. Jed usiłował ocenić uczucia, które wzbudziła w nim ta historia. Thena usiłowała ocenić Jeda. Teren nagle stał się pochyły. Konie weszły do zatoczki otoczonej gęstym lasem. Głęboka, mieniąca się woda otoczona była piaskiem. Słychać było szum strumienia w lesie.

Jed oddychał chłodnym, słodkim powietrzem ziemskiego raj. Elfy, był tego pewien, ukąsą się za chwilę, żeby powitać swoją boginię, Thenę.

Thena zsunęła się z grzbietu Cendrillon i podeszła do brzegu nasłuchując, gdy Jed zeskokczył z JackJaw i poszedł za nią. Usiadła na ciepłym piasku, Jed poszedł w jej ślady,

siadając bardzo blisko. Za blisko. „Znów to prowokujące zachowanie” – pomyślała z dreszczem.

– To tu – szepnęła. – Tutaj Tasoneela i Gabel zostali pochowani.

Jego serce łomotało. Odwrócił głowę i popatrzył na Thenę ze zdziwieniem. Odwzajemniła jego spojrzenie, poczuła na twarzy jego przyjemny, piżmowy oddech. Jej usta rozchyliły się, kiedy tak wdychała jego zapach.

– Tutaj? – wymruczał.

Nerwy Theny były napięte do ostateczności pod jego magicznym spojrzeniem, nagle zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, opowiadając mu historię kochanków. Nie tylko jego uwiodła ta opowieść, ją również. Jej serce łomotało, na wewnętrznej stronie ud, podrażnionej dotykiem skóry Cendrillon, czuła mrowienie.

– Tutaj – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Czasem... czasem słyszę ich śmiech... myślę, że kochali się tutaj.

– Nie mogła powstrzymać się od patrzenia w jego uwodzicielskie oczy. – Będę cię nazywała Jedidiah od tej chwili – szepnęła.

Wyraz zaskoczenia i zadowolenia jednocześnie pojawił się w jego oczach, gdy usłyszał to nagłe stwierdzenie.

– Jestem zbyt zwyczajny, aby być Jedidiah. Jed bardziej pasuje do mojej prostej natury. Ale dziękuję.

Thena wolno potrząsnęła głową, nie spuszczając z niego wzroku.

– Nie. Jedidiah. Patrzysz na siebie surowym wzrokiem, ja nie.

– Och, dziewczyno! Prawisz mi komplementy dla dobra tej wyspy.

– Nie. – Jej oczy patrzyły na niego z wyrzutem. – Nie prowadzę żadnych gier. Nie umiem.

Jed uniósł dumnie głowę.

– Ja również nie.

– Więc uwierz mi, Jedidiah. Widzę w tobie piękno.

Jed zrobił jedyną rzecz, jaką może zrobić zakochany od pierwszego wejrzenia mężczyzna, kiedy słyszy taką zachętę w romantycznym otoczeniu. Odurzony jej poważnymi oczami, odurzony kwiatowym zapachem jej ciała i delikatnym zapewnieniem, że jest piękny, pochylił się i pocałował jej drżące usta.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dotyk jego ciepłych, mocnych warg oszołomił ją. Thena zacisnęła usta, wiedziała, a przynajmniej tak jej się wydawało, że go nie całuje. Ale czuła, że się poddaje. Być może była Tasoneela, która urodziła się ponownie w innym wcieleniu, żeby zakochać się znów w Gabelu Boisfeuillet, który pojawił się w postaci tego ogorzałego kowboja.

Otrząsnęła się i poczęła odsuwać od niego. Jed uniósł rękę i jego palce dotknęły jej policzka niemal z nabożeństwem. Pomimo wrażenia spokoju, jego palce drżały. Dziwne uczucie radości wypełniło Thenę, kiedy zrozumiała, że Jed usiłuje ją uspokoić, że chce przekazać, iż nie zamierza zrobić jej nic złego. Chciała wierzyć temu piratowi z Wyoming. Chciała go całować.

Rozsądek opuścił ją, gdy doświadczone wargi Jeda powodowały dreszcze. Zdziwienie pomieszane z niepokojem przyspieszyło bicie jej serca. Thena nie wiedziała, że pocałunek może być tak oszalamiający. Oglądanie pocałunku na starych filmach, które wypożyczała, nie przygotowało jej na gorące uczucie rozlewające się po jej ciele. Przycisnęła swoje usta do jego warg, a on w odpowiedzi objął ustami jej wargi. Z zamroczoną świadomością, przymkniętymi oczami odchyliła głowę, chcąc uciec przed jego zapachem i dotykiem. Przez sekundę jej usta były wolne i zaczerpnęła powietrza. Jej głos był schrypnięty i pełen wyrzutu.

– Agresywna, męska chęć dominacji jest znakiem...

– Czystej przyjaźni – dokończy! cicho. – Nie chcę dominować nad tobą, chcę cię całować.

Thena poderwała głowę na uwodzicielski ton jego głosu. Napotkała jego orzechowe oczy pociemniałe od erotycznego pożądania. „Ten kowboj wiedział jak patrzeć na kobietę z rozbrajającym pragnieniem” – pomyślała oszołomiona.

Była gotowa siedzieć spokojnie i poddawać się jego pocałunkom.

Jed rzeczywiście całował ją dalej, tym razem jego język wysunął się i prowokująco trącał jej wargi. Czego on chce? Thena była zdezorientowana. Nagle poderwała ręce ściśnięte dotychczas między kolanami, zrozumiała. Pocałunki po francusku. Czytała o nich w książkach, które kupiła, kiedy usiłowała znaleźć wytłumaczenie obojętności Nata.

Och nie, nie umiała tak całować i nie miała zamiaru tego ujawniać. Z jednej strony nie chciała, żeby ten lakoniczny rozpustnik śmiał się z jej niezdarności, z drugiej czuła się upokorzona tym, że nie mając doświadczenia nie mogła sprawić mu takiej przyjemności, jakiej oczekiwał.

Thena gwałtownie odsunęła się od niego, ciężko oddychając z nagłej złości. Jego ręka oderwała się od jej twarzy i zawisła w powietrzu, tak jakby chciał ponownie ją wyciągnąć ku Thenie. Jed lekko zmarszczył brwi, zmartwiony nagłą zmianą jej nastroju.

– Nie przyprowadziłam cię tu po to... żeby się w tobie zadurzyć – powiedziała stanowczo.

– Zadurzyć się we mnie? – otworzył usta zaskoczony staroświeckim stwierdzeniem. – Zadurzyć?

Thena zaczerwieniła się zawstydzona. Było to powiedzenie, którego użył Jimmy Stewart

w „The Glenn Miller Story”. Oglądała ten film kilka dni wcześniej w telewizji. Żyjąc samotnie na wyspie, nie знаła aktualnych określeń.

– Jakkolwiek to nazwiesz, nie chcę, żebyś myślał, że jestem zainteresowana kontaktami fizycznymi z tobą – odparła.

Jed nie potrafił nazwać wielu spraw, ale miał rozwiniętą intuicję i dar obserwacji. Potrafił odgadnąć humor konia, patrz*: mu w oczy. To samo było z kobietami; wiedział, że temu dzikiemu wyspiarskiemu kwiatowi, mimo tego co mówi, sprawiały przyjemność jego pocałunki i dotyk. Nie wiedział, czy potrafi sprawić, żeby Thena zainteresowała się nim, szorstkim kowbojem, ale pocałunki były początkiem drogi we właściwym kierunku.

– Czy masz kogoś? – spytał bezceremonialnie. Jej oczy zwięziły się w odruchu obrony.

– Nie. Czy powinnam?

– No cóż, większość dziewcząt ceni sobie nas, przystojnych łobuzów.

– Ja cenię sobie rzeczy, do których inni nie przywiązują wagi – poinformowała go. – Maluję obrazy marynistyczne, ze szczegółami, na które inni artyści nie zwracają uwagi. Jestem również amatorem – naukowcem. Wiele czasu spędzam, opisując florę i faunę wyspy. Wysyłam te notatki biologom z Uniwersytetu Georgii.

Thena westchnęła dramatycznie.

– Nie mam czasu na rozkoszowanie się powierzchownymi erotycznymi kontaktami. Seksualny pociąg to nic innego jak działanie hormonów, tak przy okazji. Wiele razy sprawdzono to w laboratoriach.

Jed mruknął.

– Kiedy cię całowałem, kwiatuszku, twoje usta nie myślały o białych myszkach.

– Moje hormony po prostu reagowały na twoje.

Ona i Nate wielokrotnie dyskutowali na ten temat. Jed Powers nie może jej skonfundować.

– Uuuu! Jak wulkan. Bałaś się pocałować tak, jak miałas na to ochotę. – Jego oczy miały zadowolony wyraz. – Pewnie bałaś się, że twoje hormony za bardzo się przegrzeją.

Thena postanowiła zaatakować.

– Czy masz kogoś?

– Ostatnio nie.

– Nie zamierzam wypełniać luki w twoim bogatym życiu seksualnym.

Zaskoczył ją jego zraniony wzrok. Miała ochotę się kopnąć. Nie pasował do obrazu rozpustnego playboya, mimo swojego zachowania. Wyglądał raczej na kogoś, kto całe życie przyglądał się z zewnątrz cudzemu szczęściu. Ona też była samotnikiem. Rozumiała go. Twarz Theny złagodniała.

– Jedidiah – szepnęła, jej głos niemal wyśpiewał jego imię. – Jesteś bardzo przystojnym mężczyzną. Nigdy nie było mężczyzny w moim życiu.

Jed spojrział, zaskoczony jej szczerością, w jego oczach pojawił się podziw. Podziw i sympatia. Thena rozchyliła usta, zaskoczona uwagą, z jaką jej słuchał. Przez chwilę patrzyła na niego, lekko oszołomiona. Wreszcie zmusiła się do oderwania oczu od niego.

– Ale jestem... jestem po prostu za stara na romans. Niemal zakrztusił się, usiłując

powstrzymać śmiech.

– Całkiem nieźle się trzymasz, babciu.

– Tutaj. – Wskazała na głowę.

– Co za ulga – żartował. – Myślałem, że mnie zaczarowałaś, żebym nie widział, iż jesteś stuletnią, bezzębną staruszką ze zwiędłymi wargami.

Jego rozbawienie znikło, gdy zobaczył ból w oczach Theny.

– Dlaczego jesteś za stara? – zapytał łagodnie. Thena usiłowała zignorować wrażenie, jakie wywierał na niej jego głos.

– Nigdy nie miałam przyjaciół w swoim wieku. Chodziłam do podstawówki na wybrzeżu, ale jakoś nie pasowałam do rówieśników. Byłam za spokojna, lubiłam czytać książki lub malować. Byłam bardzo związana z rodzicami i wiele czasu spędzałam na Sancii, z nimi i ich kolegami, którzy przyjeżdżali tu robić badania. Byłam rok w collegu, ale doszłam do wniosku, że więcej nauczę się sama i wróciłam do domu. Teraz wiem, że to był błąd. – Znów wskazała na głowę. – Dlatego... jestem stara. Lubię oglądać filmy. Lubię czytać. Lubię być sama. Nigdy nie leciałam samolotem. Nigdy nie byłam na koncercie rockowym.

– Niewiele straciłaś – stwierdził Jed. Przerwał. – Ale nawet stara, miła dama jak ty potrzebuje tej chemicznej reakcji hormonów, o której mówiłaś. A twój przyjaciel? Myślę, że profesor nie sądził, że masz już z górki.

– Nate Gallanger. – Jed nieświadomie wybrał argument, który tylko utwierdził ją w jej przekonaniu. – Mówił, że jestem starożytną intelektualistką. To nawet gorzej, niż być starą.

Jed rozważał przez chwilę jej dziwne stwierdzenie. Chyba ten ponury Nate nie traktował tej tryskającej energią kobiety jak starą książkę. Jeżeli tak, to był głupcem.

– Cóż, pani czarownico, może ma pani starą głowę, ale cała reszta jest w całkiem niezłym stanie.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej, ale Thena potrząsnęła głową i odsunęła się.

– Nie mogę, Jedidiah. Nie chcę. Nie ma w tym nic osobistego, nie gniewaj się. Uważam, że jesteś bardzo przystojny, a to duży komplement, zważywszy ile kłopotów mi sprawiasz.

– Czy byłoby inaczej, gdyby nie dzieliła nas sprawa wyspy?

– Czy sugerujesz, że zmienisz zdanie co do przyszłości Sancii w zamian za fizyczne czułości?

Jed zerwał się szybko, Thena poszła za jego przykładem. Ogień w jego oczach mógłby stopić metal.

– Nie.

– Przepraszam, Jedidiah. To było brzydkie przypuszczenie. Nie wiem nic o tych sprawach... jak to robią mężczyźni.

– Co robią?

– Zalecają się. – Thena patrzyła na wyraz zdumienia na jego szczupłej twarzy. – Uhm. Nie, zaloty, to jest coś poważnego. Flirt. Tak, to jest to. Twój rutynowy, erotyczny flirt wzięłam za manipulację.

Jej zachowanie było w równym stopniu fascynujące, co rozgoryczające. Jed przesunął dłonią po włosach.

– Kwiatuszku, nie było w tym nic rutynowego. Nigdy nie spotkałem dziewczyny takiej jak ty i pewnie nigdy już nie spotkam. – Przerwał, czując rosnące rozdrażnienie. – Nie mam zamiaru bawić się z tobą słowami. I przestań traktować mnie jak jakiegoś cholernego owada, którego właśnie badasz. – Jego głos brzmiał ostrzegawczo. – Jeżeli boisz się zalotów, które nazywasz inaczej, to twój problem.

Odwrócił się i poszedł w stronę koni. Thena patrzyła na niego ze zdziwieniem. „Nie, nie – pomyślała w desperacji. – Nie może zalecać się do mnie. Nie wiem jak to jest, kiedy ktoś się zaleca. Nie umiem nawet całować”.

Jechali ponurzy w milczeniu przez puszcę. Jed starał się wyobrazić sobie buldożery wdzierające się na zielone polanki, rozrzucające na boki karłowate palmy i kwiaty, wyrwijące ogromne dęby. Jedynym problemem było to, że jeżeli do tego dopuści, ta piękna kobieta znienawidzi go aż do śmierci. Drgnął na tę myśl.

Nigdy wcześniej myśl o wywołaniu w kimś nienawiści nie niepokoiła go. Już jako dziecko wychowujące się w kręgu ludzi związanych z rodeo był twardy, gdy bronił siebie lub ojca. Roarke był awanturnikiem, zawsze mówił to, co myślał, często bywał pijany; kombinacja, która nierzadko wpędzała go w kłopoty. Od chwili, gdy tylko nauczył się bić, Jed przychodził ojcu z pomocą. Po tych wszystkich latach więcej niż dwa tuziny mężczyzn wspominało jego imię, klnąc z wściekłością. Wiele przelotnych przyjaciółek ojca również go nienawidziło. Jako dziecko zamykał przed nimi przyczepę, w której on i Roarke mieszkali, wpuszczał im węże do torebek, chował ubrania – jednym słowem robił wszystko, tetry je zniechęcić i odciągnąć od ojca, którego skłonność do picia pięknej często czyniła go ofiarą kobiet bez skrupułów, nękających schronienia lub pieniędzy.

Jed rzadko zwracał swoje rozgoryczenie przeciwko ojcu. Współczucie było jedną z głównych cech jego charakteru, choć niewiele osób to dostrzegło, i rozumiał, że zachowanie Renrka wynikało z poczucia utraty wszystkiego z chwilą śmierci jego matki. Amanda Gregg Powers okiełznała go, ale od chwili jej śmierci zaczął się staczać w dół. Zginął w pijackiej bijatyce na noże w Tucson, w Arizonie.

Zamieszanie po prawej stronie ścieżki spowodowało powrót Jeda do rzeczywistości. Z wielkiego rododendronu sfrunął ociężały duży ptak, którego skrzydła z pewnością miały rozpiętość pięciu stóp. Uniósł się w górę i zniknął nad czubkami drzew.

– Dziki indyk – wyjaśniła Thena.

Jed spojrzał na nią i zobaczył, że uśmiecha się w ślad za odlatującym ptakiem.

– Czyż nie jest piękny?

– Pewnie. Jak fruwający słoń. Ale zgadzam się, że jest piękny, skoro tak mówisz.

– Dziękuję – powiedziała. – Zaloty czynią cię dużo sympatyczniejszym człowiekiem.

– Bardzo proszę. A co do tych zalotów...

– Zobaczysz zaraz coś wspaniałego, Jedidiah. – Thena była zdecydowana prowadzić rozmowę na tematy obojętne. – Zamknij oczy.

– Och, nie! – Poklepał kark Jack-Jaw. – Ten mały ogier z pewnością zrzuci mnie na twój znak. Nie ufam ci.

Roześmiała się.

– Zamknij oczy. Poprowadzę Jack-Jaw.

Pochyliła się i wyjęła wodze z rąk Jeda. Zmarszczył brwi i spróbował zapanować nad sytuacją.

– To głupie. Nie lubię takich zabaw – mruknął. Poczł, że czerwieni się pod opalenizną.

– To źle, Jedidiah. Naucz się rozluźniać.

Tak naprawdę to wyglądał tak, jakby nic innego nie robił. Przypominał jej leniwego, ale uważnego wilka, który całą swoją energię zachowuje na polowanie.

– Proszę. Chcę, żebyś cieszył się w pełni tym, co chcę ci pokazać.

– Do diabła! Dobrze.

Czuł się bardzo niepewnie i bezbrinnie, ale zamknął oczy, oparł ręce na biodrach i starał się zachowywać nonszalancko.

– Masz tyle zaufania – zachichotała. – Jak osesek. – Masz trzydzieści sekund, dziewczyno. I lepiej żeby było to rzeczywiście coś warte.

– Będzie.

Prowadziła Jack-Jaw koło Cendrillon. Wyprowadziła konie z lasu na skraj pofalowanej łąki.

– Wciągnij powietrze, Jedidiah. Ten słodki zapach pochodzi od mnóstwa magnolii.

Jed wdychał zapach i nagle poczuł dziwne uczucie. Nie ma innego świata niż ten, nie ma innego głosu niż głos Theny, nie ma nic ważniejszego niż bycie tutaj, koło niej. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że jest w domu. To nagle i niespodziewane uczucie zaskoczyło go.

– Jeszcze parę stóp, Jedidiah. Nie otwieraj oczu.

– Nie jesteśmy już w lesie, prawda? Jesteśmy na jakiejś otwartej przestrzeni.

– To prawda. Słyszysz szum trawy wokół końskich nóg. Czy nie brzmi to jak szept? To duchy wyspy szepczą wokół nas.

– Mówią: Popatrzcie na tego idiotę z zamkniętymi oczami.

Roześmiała się z zadowoleniem.

– Nie, są szczęśliwe, że jesteś tutaj.

– Nie, nie są. – Był poważny.

Thena zatrzymała konie. Przez chwilę bawiła się nerwowo grzywą Cendrillon, miała nadzieję, że to, co Jed za chwilę zobaczy zmieni jego uczucia względem Sancii. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego przedramienia. Jego mięśnie napięły się w odpowiedzi.

– Teraz, Jedidiah – powiedziała łagodnie. – Skup swoją uwagę, otwórz serce. Przrzeknij mi, że nie będziesz nic mówił przez chwilę, tylko przyglądał się temu, co zobaczysz. To będzie uczciwe.

– Moje serce będzie otwarte, a usta zamknięte. Będę się przyglądał. Dobrze, przrzekam.

– Więc spójrz na dom swojej matki.

Gdy otworzył oczy, poczuł zaskoczenie. Wszystkie jego mięśnie napięły się z wrażenia, częściowo ze złości, ale częściowo z ciekawości.

– Cholera – powiedział cicho.

SalHaven stała w oddaleniu pełna godności jak starzejąca się południowa piękność. *Była.*

otoczona ze wszystkich stron przez dęby pochylające się przed nią z szacunkiem, podczas gdy bryza poruszała ich gałęziami.

Thena spokojnie opowiadała historię SalHaven, usiłując zignorować ucisk w żołądku.

– SalHaven ma trzy kondygnacje. Zanim huragan nie zniszczył w 1945 roku lewej części domu z sypialnią i bawialnią, pokoje służby, dwie kuchnie, dużą bawialnię, jadalnię i salę balową. Styl, w którym zbudowano rezydencję, to mieszanina. Przypomina trochę Tarę z „Przeminęło z wiatrem”, ale zamiast kolumn na froncie nad schodami umieszczono portyk. Widać w dalszym ciągu dwa kominy. Były trzy. Ten trzeci był w części zniszczonej przez huragan.

Thena wskazywała ręką miejsca, o których mówiła.

– Te zaniedbane trawniki i magnolie, rabatki kwiatowe, były podobno bardzo piękne, mówił mi o tym mój dziadek. Arabcy twojej babki biegały tutaj. Z tyłu rezydencji stoi półokrągły marmurowy pawilon. Widać z niego ocean. Cały dom zbudowany jest z bloków zrobionych z cementu, piasku i pokruszonych muszli z plaż Sancii. Pomyśl o tym, Jedidiah. To tak jakby SalHaven wyrosła z wyspy. Jest jej częścią. Wcale nie jest imponująca, jak na tak dużą rezydencję. Ma taką przyjazną atmosferę. Pozostałe budynki i stajnie twojej babki zniszczył huragan.

– Szkoda, że nie zmył całego tego cholernego miejsca – wpadł jej w słowo Jed.

Thena spojrzała na stężałą twarz Jeda i zobaczyła rozdrażnienie w jego oczach. Opuściła rękę, rozczarowana.

– Obiecałeś być cicho i skupić się.

– Nie spodziewałem się, że przyrowadzisz mnie w to przekłete miejsce bez uprzedzenia. To nieuczciwe. Nie chciałem go zobaczyć.

– Przyrzekłeś – powiedziała schrypniętym głosem. – Tutaj twoja matka spędziła dzieciństwo. Nie chcesz nawet wejść do środka? Ze względu na nią?

Spojrzał na nią z zamyśleniem, patrząc na jej wyraziste rysy, na których malował się smutek. Miała nad nim władzę, jakiej nikt nigdy nie miał i nie potrafił znieść wyrazu bólu na jej twarzy.

– Ze względu na ciebie – mruknął. – Ze względu na ciebie wejść do środka.

Trochę zaskoczona Thena skinęła głową.

Jej dziadek, zarządca zatrudniony przez H. Wilkensa Gregga, zabił deskami okna i drzwi rezydencji czterdzieści lat temu, ale drzewo odpadło z głównego wejścia. Zsiedli z koni na głównym trawniku. Schody wiodły z obu stron portyku, Thena poprowadziła ich lewą stroną. Obserwowała Jeda kątem oka, gdy wchodzili do głównego holu przez łukowe wejście. Był spięty i wyglądał na nieszczęśliwego.

– Włoska terakota – powiedziała, wskazując brudną podłogę. – Pod tym pyłem ma piękny czerwony kolor. Kiedy byłam mała, przychodziłam tu bawić się. Kiedyś zeskrobałam szczotką brud z kafelków, żeby zobaczyć, jakie mają kolor.

– Nie bałaś się?

Przez szpary w deskach zasłaniających okna i drzwi wpadało światło słońca i układało się w dziwne wzory na łuszczących się ścianach. Jed wsłuchiwał się w słabe echo swojego głosu

odbijającego się w pustych pokojach.

– Nie, nigdy nie bałam się SalHaven. Ma taką spokojną atmosferę, która odpowiada mi.

– Dobre duchy, co? – powiedział sarkastycznie.

– Tak.

Z zadartą brodą Thena przeszła przez hol i stanęła przed wysokimi na dziesięć stóp potrójnymi drzwiami. Jed wstrzymał oddech, wyglądała tak eterycznie, kiedy stała w cieniu. „Należy do tego miejsca” – pomyślał nagle. Ten stary dom ją kocha.

Skarcił się za te nonsensy i poszedł za Theną. Weszli do dużej, pustej sali balowej, Jed poczuł podziw. Tynk poodpadał z sufitu i wysokich ścian, marmurowa wzorzysta podłoga była pokryta gruzem i pokruszona w kilku miejscach, ale sala była pełna dostojności, które przypominało mu świątynie starożytnej Grecji, widywane na obrazkach w książkach.

– Dziadek mówił, że w sali tej wisiał wspinały kryształowy kandelabr, o średnicy dwudziestu stóp – powiedziała Thena. – Został sprzedany razem z innymi meblami, po tym kiedy twoja babka została zabita przez huragan. – Wskazała na oddalony koniec sali, która otwierała się na ogród. – Było tam pięć okien francuskich otwierających się w stronę sali. Zostały również sprzedane. Otwory zabito deskami, ale wiatr i słone powietrze zniszczyły je, tak jak deski przy głównym wejściu.

– Co jest tam na zewnątrz?

– Pawilon. Jest wspinały. Czytałam sprawozdania w gazetach z bali, jakie urządzali twoi dziadkowie. Dziennikarze zawsze pisali, że goście uwielbiali tańczyć na zewnątrz.

Jed podszedł do wspinała rzeźbionego wejścia. Ozdobne marmurowe kolumny były pooddzielane marmurowymi ławkami. Wysoko, w sklepionym dachu pozostały resztki kolorowego szkła, które kiedyś tworzyło dach. Z lewej strony wejścia dach został nadburzony przez huragan. Została tylko kupa gruzu i nadłamane kolumny.

– Spójrz poza pawilon – poinstruowała go Thena. – Widzisz, gdzie był ogród? Jeżeli popatrzyś w stronę mokradła, zobaczysz wydmy plaży. Ten zniszczony fundament po prawej stronie to resztki stajni. Miała czterdzieści stanowisk, Jedidiah. Wyobrażasz to sobie? A obok, w stronę lasu, na trzystu akrach rozciągały się pastwiska. Zarosły je teraz dęby, ale... – Thena zatoczyła wyciągniętymi ramionami koło – ... czy nie możesz wyobrazić sobie SalHaven, kiedy twoja matka była małą dziewczynką? Widzisz ją, jak bawiła się tu, w tym pawilonie? Musiała mieć wspinałe dzieciństwo.

Obróciła się uśmiechając i napotkała wzrok Jeda. W jego orzechowych oczach zobaczyła głęboki smutek i wściekłość. Wyglądał tak, jakby miał zamiar rozedrzeć SalHaven na strzępy gołymi rękami.

– Nie nienawidź tak bardzo jej ojca – poprosiła Thena.

– Nie przenoś tej głupiej nienawiści na SalHaven. Nie niszczy Sancii z powodu skierowanej w niewłaściwym kierunku goryczy...

– Nie znasz niczego poza bajkami i historyjkami z drugiej ręki. – Jego głos był pełen napięcia.

– Powiedz mi więc prawdę. Nie wiem, co przytrafiło się twojej matce. Opowiedz mi o tym.

Widać było, jak Jed męczy się, szukając właściwych słów. Mięśnie drgały mu, gdy zaciskał szczęki. Położył ręce na biodrach i wpatrzył się w zarośnięty ogród.

– Nie musisz być elokwentny. Po prostu powiedz, co czujesz, Jedidiah.

– Jej rodzina zabiła ją.

– Jak? – zapytała zaskoczona Thena.

– Spotkała mojego starego na jakimś dobroczynnym rodeo i uciekła z nim. On należała do elity, a on zarabiał na życie na rodeo, ale, na Boga, kochali się, chociaż żadne nie rozumiało dlaczego. Greggowie wściekli się, zwłaszcza jej ojciec. Papić powiedział mi, że H. Wilkens wynajął ludzi, którzy mieli przywieźć ją z powrotem, ale było już za późno. Gdy zostali odnalezieni, mama i ojciec byli już od miesiąca po ślubie. Ci faceci pobili tylko ojca i powrócili, aby zawiadomić H. Wilkensa o małżeństwie. H. Wilkens nigdy nie przebaczył córce, mimo że go o to błagała. Kiedy miałem pięć lat, zabrała mnie do Nowego Jorku, chciała zobaczyć starego drania. Myślę, że miała nadzieję, iż zmięknie, kiedy zobaczy wnuka.

Jed podszedł wolno do pawilonu, odwrócił się tyłem, żeby ukryć swoje uczucia przed Theną i oparł się o kolumnę. Sztywność jego postaci wzruszyła ją do łez.

– Co się stało? – zapytała łagodnie.

– Nigdy jej nie zobaczył. Byłem za mały, żeby pamiętać, co się dokładnie wydarzyło, ale pamiętam, jak płakała w autobusie, którym wracaliśmy na zachód. Nigdy nie widziałem jej płaczącej, ale wtedy robiła to przez kilka godzin. Wtedy zacząłem nienawidzić dziadka.

– Ale co to miało wspólnego z...

– Ponownie zaszła w ciążę, od początku źle ją znosiła. Pewnie dlatego, że ojciec leżał z uszkodzonym karkiem, a ona wzięła dwie prace, żeby nas utrzymać. Zwróciła się do dwóch siostr H. Wilkensa, prosząc o pożyczkę, ale oba stare babsztyłe odmówiły jej, nie chciały sobie popsuć stosunków z bratem. Mama była za dumna, żeby prosić swojego ojca o pieniądze, musiała sobie poradzić bez nich. Nie wiem, czy mój ojciec zdawał sobie sprawę, jak bardzo było jej ciężko.

– Jak umarła?

– To było jakieś zatrucie krwi. Tak powiedzieli. Jednej nocy zemdląca w kuchni. Tata wsadził ją do ciężarówki, a ja trzymałem jej głowę na kolanach przez całą drogę do szpitala. Odesłano ją do państwowego szpitala. Wpadła w śpiączkę i umarła w pokoju pełnym innych pacjentów, nie zasłonięto nawet jej łóżka parawanem.

– Och, Jedidiah! – Płacząc cicho, Thena skrzyżowała ramiona.

Nie był już dla niej nikim obcym, był głęboko zranionym człowiekiem, którego bardzo dobrze rozumiała. Jego głos był surowy.

– A stary H. Wilkens miał tyle bezczelności, że podniósł wrzawę po jej śmierci. Chciał pochować ją z innymi Greggami w Nowym Jorku i ojciec musiał się z nim procesować. Potem chciał dostać mnie pod swoją opiekę. Na miłość boską, myślę, że poranił nas jak tylko mógł. – Przerwał, cała energia opuściła go, opadły mu ramiona. – To jest człowiek, który zbudował SalHaven.

– Człowiek, który kochał córkę i wnuka, i który okazywał to w taki sposób, w jaki potrafił.

Jed obrócił się wolno, pełen napięcia. Patrzył z niedowierzaniem.

– Nie chcę słyszeć takich... Nie chcę tego słuchać. Thena wyciągnęła obie ręce. Jed musi wziąć pod uwagę możliwość, iż dziadek był porządnym człowiekiem.

– Czy tego nie rozumiesz? – zapytała. – Najprawdopodobniej pomógłby twojej matce, gdyby zwróciła się do niego o pieniądze. Pomyśl o żalu i wyrzutach sumienia, jakie miał po jej śmierci. Usiłował to jakoś naprawić przez pochowanie córki i wychowanie wnuka w dostatku.

– Usiłujesz uratować to miejsce, opowiadając bzdury. Urażona Thena wytarła łzy z policzków i spojrzała ze złością.

– Fakt, iż dziadek zostawił ci wyspę Sancię i miliony dolarów, świadczy o tym, że chciał się z tobą pogodzić.

– Może stał się religijny tuż przed śmiercią. To częste u drani.

– Nie! Nie odczuwam obecności czegoś takiego w SalHaven. Całe życie słyszałam opowieści o twoich dziadkach. Twój dziadek był po prostu bardzo dumny, nie był potworem. Nie umiał zaakceptować córki, która była równie dumna. To smutne, Jedidiah. Powiniś mu współczuć...

Jed zaklął cicho z wściekłością. Thena zastygła, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, przestraszona furją, którą sprowokowała. Skoczył ku niej jak drapieżnik, tak szybko, iż nie zdążyła zareagować. Chwycił ją za ramiona i obrócił tak, że mogła widzieć ciemne i chłodne wewnętrzne rezydencji.

– Puść mnie! – rozkazała.

Przyciągnął ją do siebie, mógł jej teraz szeptać wprost do ucha. Thena szamotała się, chcąc uciec przed ciepłem jego oddechu, siłą jego rąk. Jed mówił z zawziętością w głosie.

– Patrz na to miejsce i powtórz, że powinienem współczuć temu staremu draniowi – zażądał. – To był pałac. On był królem. Mógł mieć wszystko, czego zapragnął. Nic by go nie kosztowało przebaczenie mojej matce. Do diabła ze współczuciem. Nigdy więcej nie mów mi tak.

Philip Sainte-Colbert wielokrotnie powtarzał, że jego jedyna córka ma temperament dzikiej klaczy. Thena wyrwała się z rąk Jeda i odwróciła się, żeby móc patrzeć mu groźnie w oczy. Dyszała ciężko.

– Nie masz prawa mnie dotykać – ostrzegła.

– Mam prawo do wszystkiego na tej wyspie – odparł. Odwróciła się na obcasie i weszła do wnętrza rezydencji.

Jed poszedł za nią, przeklinając wszystko to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzech dni z powodu Theny;

Wyszła przed główne wejście, zawołała Cendrillon i lekko wskoczyła na grzbiet konia. Spojrzała na Jeda z góry i zimno zapytała:

– Co chcesz jeszcze zobaczyć, kowboju? A może nie ma to żadnego znaczenia? Nigdy poważnie nie chciałeś zmienić zdania o sprzedaży wyspy, prawda?

– Nie.

Zobaczył, jak jej palce zacisnęły się na grzywie Cendrillon.

– Bawiłeś się mną, stroiłeś sobie ze mnie żarty – oskarżyła go, jej szare oczy płonęły z wściekłości. – Może myślałeś, że jak się ze mną zaprzyjaźnisz, nie będę sprawiała ci kłopotów. Będiesz miał... trochę przyjemności, a potem odjedziesz. Czy tak?

– Pewnie – odparł. – Chciałem wykorzystać swój urok osobisty, żeby zawrócić ci w głowie. Mówią o mnie: dziki i wspaniały.

– Do widzenia i dobrej jazdy, kowboju.

Cofnęła klacz o kilka kroków i obróciła ją. Odwróciła się i spojrzała przez ramię na Jeda. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony, ale wydało się jej, iż dostrzegła smutek w jego oczach.

– Mam nadzieję, że odnajdziesz drogę do zatoczki na zachodniej plaży – powiedziała obojętnym głosem.

– Sądzę, że poradzę sobie z tym prostym zadaniem bez twojej pomocy. Czy zamierzasz poszczuć mnie tymi diabelskimi psami?

Rasputin i Godiva właśnie wybiegły z lasu i obserwowały go, czujnie zatrzymując się koło nóg Cendrillon.

– Nie, znajdę inny sposób, żeby z tobą walczyć.

– Walcz ze mną, a stracisz wszystko. Thena posłała mu ironiczne spojrzenie.

– Twój dziadek byłby z ciebie dumny.

Obróciła klacz i zmusiła ją do galopu. Psy pobiegły za nią. Jed patrzył... dopóki nie zniknęła w lesie. „Ta dziewczyna o ostrym języku ma rację” – przyznał z niesmakiem. Zachował się jak dziadek, którego nienawidził.

Zanim Thena dojechała do domu, miała już gotowy niebezpieczny plan. Wszystko popsuło się w SalHaven i przyszłość wyspy wyglądała ponuro. Musi podjąć nadzwyczajne kroki, nawet jeżeli miałyby to sprowokować Jeda do ujawnienia jego ciemniejszej strony charakteru.

Thena weszła do sypialni i usiadła przy małej krótkofalówce. Jed wspomniał, że wynajął Farlo Briggsa do przewiezienia go na wyspę i z powrotem. Miała telefoniczne połączenie przez swoje radio i wystukała numer Briggsa. Kiedy zgłosił się, powiedziała uprzejmie:

– Tu Thena Sainte-Colbert z wyspy Sancii w imieniu Jed.. Jeda Powersa. Pan Powers zdecydował się pozostać na wyspie jeszcze kilka dni. Dam panu znać, kiedy postanowi wracać.

Zapadła cisza.

– Chyba nie zaczarowała go pani? – zapytał podejrzliwie Farlo.

– Jeszcze nie – odpowiedziała z kamiennym spokojem Thena. – Był zupełnie normalny, kiedy go ostatni raz widziałam. Po prostu zmienił zdanie.

– Uhhh... – zamruczał Farlo. – Da mi pani znać, kiedy będzie chciał wracać.

– Z pewnością – odpowiedziała pogodnie. – Do widzenia!

Kiedy połączenie zostało przerwane, otworzyła aparat.

– Gdzie jesteś generatorze częstotliwości? – zamruczała pod nosem.

Znalazła poszukiwaną część i wyjęła ją. „Umiejętność robienia nagłych, szczęśliwych, a niespodziewanych odkryć ma swoje zalety” – pomyślała. Niewielu ludzi znało lepiej od niej

działanie krótkofalówki.

Thena podeszła do toaletki stojącej w rogu, znalazła agrałkę i przyczepiła generator do wewnętrznej strony szortów. Nawet jeżeli Jedidiah zna obsługę krótkofalówki, włamie się do jej domu i zmusi ją do pokazania radia, to i tak go nie uruchomi bez tego małego cacka, którego zimno czuła na skórze.

Uśmiechając się Thena usiadła w bujanym fotelu i spokojnie czekała na rozpętanie się burzy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zapadł zmierzch, kiedy Jed przemógł swoją dumę i zapukał do drzwi Theny. Rasputin i Godiva podeszły do drzwi i usiadły, patrząc na niego podejrzliwie.

– Tak? – zapytała Thena, przechodząc przez hol ze swojego gabinetu.

Z nonszalancją gospodyni domowej przyjmującej domokrażęcę wytarła pędzel o szmatkę i spojrzała z uwagą na Jeda.

Oparł się jedną ręką o futrynę drzwi, drugą oparł na biodrze. Clint Eastwood zaniepokojony. Miał ponury wyraz twarzy.

– Zapłacę ci pięćdziesiąt dolarów, jeżeli masz radio na tym zapomnianym przez Boga kawałku piachu i użyjesz go, żeby skontaktować się z facetem, który miał po mnie przyplynać.

– Dlaczego nie zostaniesz na Sancii o kilka dni dłużej, Jedidiah? Dostaniesz pokój i utrzymanie. Przykro mi, że zabrałam cię do SalHaven, zanim byłeś na to gotowy.

Jego głos był pełen napięcia, ale Thena usłyszała w nim przeprosiny:

– Widok tego miejsca przywołał mnóstwo wspomnień. Byłaś najbliżej i dlatego dostało ci się. Nie chciałem być okropny... Dużo o tobie myślałem... – Przerwał, nie umiając nazwać tego co czuł.

Serce Theny zmiękło trochę.

– Rozumiem. Ty... Ty po prostu strzeliłeś z biodra.

– Ale to nie zmienia tego, co czuję do wyspy. Możesz zatrzymać dom i teren otaczający go, ale resztę zamierzam sprzedać.

Jej głos nawet sienie podniósł.

– Możesz być twardy jak stal, ale masz we mnie godnego przeciwnika. Nie myślisz teraz rozsądnie. Rytm życia na wyspie oczarowałby cię, gdybyś dał mu szansę.

– Sto kawałków. Po prostu zadzwoń do Farlo Briggsa, a dostaniesz sto kawałków.

Wciągnęła powietrze.

– Już do niego dzwoniłam. Przyplynie po ciebie za kilka dni. No cóż, uwięziłam cię.

Serce jej łomotało, gdy patrzyła jak zeszytniał, a jego twarz zmieniła się w maskę złości i niedowierzenia. Przymrużone jastrzębie oczy wpatrywały się w nią i miała wrażenie, że wysyłają spalające promienie.

– Nikt – podkreślił – nigdy – nie – uwięził – mnie.

– Aż do teraz.

– Theno – jego głos byr powolny i groźny, wibrował z napięciem. – Wywołaj – Farlo – Briggsa – zanim – oszaleję.

– Może moje radio nie działa. Może moja łódź nie chce zapalić. To się zdarza.

Trzasnął drzwiami i skoczył w jej kierunku, ale przywitały go psy ze zjeżoną sierścią i odsłoniętymi zębami. Stał, ze złączonymi nogami i rękami przyciśniętymi do boków. Thena wyciągnęła drżące ręce przed siebie w geście prośby.

– Zaakceptuj to. Nie będzie tak źle. Możesz spać w sypialni na piętrze. Pojedziemy jutro

do SalHaven i...

– Zadzwoń do Farlo – wycedził Jed przez zaciśnięte zęby.

Potrząsnęła głową. Jego twarz pociemniała i zrobił krok do przodu. Rasputin rzucił się w jego kierunku, warcząc i chwytając go za nogawkę. Godiva szykowała się do skoku.

– Zatrzymaj się, Jedidiah, proszę! – błagała Thena. – Zaatakują cię, a ja nie zdążę ich powstrzymać.

Jed zrozumiał, że usiłuje uratować jego skórę, która jest w niebezpieczeństwie. Podniósł ręce i wolno wycofał się w kierunku drzwi. Rasputin i Godiva usiadły, z żalem patrząc na jego odwrót.

Thena odetchnęła z ulgą.

– Schowałam jeden z elementów radia. Nigdy go nie znajdziesz, Jedidiah. Schowałam również kluczyki do łodzi. Możesz się złościć, wściekać, grozić mi, ale nigdy nie powiem ci, gdzie je ukryłam.

Położył ręce na biodrach.

– Droga pani, mylisz się, że uda ci się zatrzymać mnie w ten sposób.

Thena spokojnie splotła ręce przed sobą.

– Idź po swoje rzeczy, inaczej zabłądzisz po ciemku. Dostaniesz piwo i smażonego pstrąga z bułką domowego wypieku. Poczujesz się szczęśliwy, jak tylko odprężysz się. Możesz opowiedzieć mi o Wyoming.

Miała uczucie, że jest pierwszą osobą, która tak go prowokuje. Jego szczeka drżała z wściekłości, kiedy patrzył na nią. Gdy się odezwał, miała wrażenie, że jego głos jest niższy o oktawę.

– Będę mieszkał na plaży i żywił się wodorostami i jajami żółwimi, ale nie będę jadł ci z ręki – poinformował ją. – Spróbuję zatrzymać jakąś łódź.

– Życzę szczęścia. Niewiele łodzi tędy przepływa.

Thena uśmiechała się, chociaż czuła ucisk w żołądku. Podziwiała jego determinację, chociaż jeszcze bardziej utrudniała sytuację.

– Kiedy znudzi ci się zabawa w Robinsona Crusoe, pamiętaj, że czeka tu na ciebie czyste łóżko i dobre jedzenie.

– Prędzej zrobi się zimno w piekle.

– To źle. Pierwszy zimny dzień tutaj będzie dopiero w styczniu.

Zrobił krok do przodu, ale zatrzymało go warczenie psów. Wyciągnął w jej stronę palec.

– Kiedy cię złapię, przywiążę do tego ogromnego łóżka, żebyś dobrze widziała, jak burzę ten dom. Znajdę wtedy część radia albo klucz od łodzi.

– Możesz odejść kiedy tylko ci się spodoba. – Thena machnęła ręką w geście pożegnania.

– Możesz przecież płynąć do brzegu.

Przywiązać ją do łóżka? Czy on rzeczywiście mógłby się ośmielić zaatakować ją? Czy w ogóle można powiedzieć „dżentelmen” o kimś, kto przywiązuje kobietę do łóżka?

– Mogę tu wrócić – zaczął – ze strzelbą...

– Phi. I tak mnie nie zastrzelisz, i wiesz o tym. Mówisz jak kowboj, kowboju.

– Czego ode mnie chcesz? Nie chcesz mojego ciała. Dałaś mi to do zrozumienia jasno i

wyraźnie.

Nie miał racji. Kochała jego ciało, sposób, w jaki się poruszał, cichy i swobodny, ale pełen siły. Był człowiekiem, który nie musi się rozpychać w tłumie. Po prostu przechodzi pomiędzy ludźmi, z gracją manewrując tymi szerokimi ramionami, nonszalancko, ale świadomie kontrolując każdy ruch. Był kimś, kto myśli o swoim ciele jak o narzędziu, a nie o ozdobie. Bardzo się jej to podobało.

– Chcę twojej współpracy – odpowiedziała Thena. – Chcę twojej uwagi...

– Jeżeli jeszcze raz będziesz się kąpała nago, będziesz ją miała.

Zakryła sobie usta z przestraszeniem i zaczerwieniła się mocno.

– Byłeś tu tego popołudnia, kiedy poszłam pływać na zachodnim brzegu?

Jed wrzał ze złości i chciał ją sprowokować.

– O tak, proszę pani. I pozwól mi powiedzieć, że nie pamiętam, kiedy lepiej się bawiłem. Jesteś niezłe zbudowaną dziewczyną. Ładne nogi, szczupłe kostki, piękne ciało, delikatny kark, zgrabny kuperek. Oczywiście szkoda, że kulejesz. – Zaczaj żałować tego, co mówi, kiedy zobaczył ból w jej oczach. – Ale to nie ma znaczenia, jesteś dziewczyną, którą mężczyzna chce mieć do rodzenia, a nie do pracy.

Thena patrzyła na niego z góry.

– Większość mężczyzn przypomina mi nieprzyjemne świnie. A ty wydajesz się ich królem.

– Dziwnie się zachowywałaś, kiedy cię dziś całowałem. Tak jakbyś miała ochotę poigrać sobie z tym tu obecnym królem świń.

– Cóż za wspaniałe porównania. Cóż to za sympatyczna osoba z ciebie. Żeby spotkać kogoś takiego jak ty, musiałabym pójść do zagrody dla bydła. Jak to dobrze, że przywiozłeś ze sobą tak wspaniałe riposty.

Wyciągnął przed siebie ręce w geście prośby.

– Wcale nie chcę tu być. I ty nie chcesz mnie tutaj. Jest wspaniałe rozwiązanie tego problemu. Wywołaj Farlo. Zaczekam na niego na tym czymś, co udaje molo, a on zabierze mnie tam, gdzie dziewczyny zachowują się rozsądnie i potrafią docenić prawdziwego mężczyznę.

– Docieniam prawdziwego mężczyznę, który potrafi docenić piękno mojej wyspy – odparła. – A ty zostaniesz tu tak długo, aż to uczynisz.

– Będę do tego czasu głuchy, ślepy, niemy i oszalały.

– Co i tak niewiele zmieni.

„W bitwie na słowa Thena zawsze wygrywa” – przyznał chmurnie Jed w myślach.

– Do jasnej cholery! – zaklął w rozpacz.

– Cóż za wspaniałe słownictwo!

Kiwnęła mu z politowaniem głową i wróciła przez hol do gabinetu. Usłyszała trzaśnięcie drzwiami i kroki na stopniach. Trzęsły się jej kolana, usiadła na krześle przy sztalugach i zaczęła rozważać szanse na to, że Jed zmieni zdanie. Był z pewnością twardogłowym kowbojem, ale nie spotkała nikogo o tak miękkim sercu. Zdała sobie nagle sprawę, że uwięziła go nie tylko dla dobra wyspy, ale również ze względu na siebie.

Po dwóch dniach niewidzenia Jeda, ciekawość i niepokój o niego kazały Thenie zakraść się pomiędzy nadbrzeżne sosny i wysledzić go. Zobaczyła, jak stał w wodzie po kolana i usiłował łowić ryby za pomocą długiego sznura, do którego przyczepił kilka muszli jako ciężarki i prowizoryczny haczyk. Patrzyła na niego z przyjemnością, obcięte w połowie udźziny odkrywały muskularne, owłosione nogi.

Zawsze brakowało jej normalnych kontaktów z ludźmi. Wyrosła na Sancii w domu rodziców naukowców; kiedy spotkała Jeda, bardzo żałowała, że nie ma pewności siebie, którą kobiety zdobywają w kontaktach towarzyskich. Ona opierała się tylko na tym, co widywała na filmach. Na przykład gdyby była Marleną Ditrich, przysunęłaby się do Jeda i zamruczała: „Będziemy przyjaciółmi, drogi panie. Dobrymi przyjaciółmi”. A on zrobiłby wszystko, czego by zechciała.

Ale ona nie była Marleną, a on się nie podda. Jeżeli jego szczęście w połowach nie odwróci się, będzie głodował. Thena szybko zawróciła, układając w głowie plany.

Następnego ranka Jed znalazł niedaleko swojego ogniska płócienny worek. „Oznacza to, że pani wiedźma chodzi bezszelestnie” – pomyślał. Nieźle. Przez lata był dumny ze swojej czujności, nikt nie mógł go podejść, kiedy spał.

– Na pewno bomba – zamruczał, otwierając worek.

Ale w środku znalazł bułki, owoce, czekoladowe ciastka własnego wypieku, dwa kawałki żółtego sera cheddar, płyn do opalania, linkę rybacką, spławiki i haczyki, pojemnik wody źródlanej i kartkę. Na kartce napisano:

Nie jestem wrogiem, a ty nie jesteś Johnem Wayne. Proszę przyjmij pomoc. Thena.

P. S. Czy nie miałbyś ochoty ogolić się, napić zimnego piwa i przespać w wygodnym łóżku ?

Jed wyjmował każdy kawałek jedzenia z miłosną troską. Wdychał aromat owoców i długo przyglądał się ciastkom. Potem włożył wszystko z powrotem do worka. Wzdychając siedział ze skrzyżowanymi nogami na piasku i tarł dłonią podbródek zarośnięty nie ogolonym zarostem. Zaczął się śmiać. Kochał tę sprytną kobietę. Kochał ją, ale nie zamierzał się poddać.

Kiedy Thena wróciła ze spaceru w południowej części wyspy, gdzie oglądała gniazda ptaków, znalazła worek na stopniach werandy. Zsunęła z nóg zabłocone buty i usiadła obok niego. Jed nie wziął niczego, nawet sprzętu do łowienia ryb. Co za człowiek. Co za uparty, twarogłowy, wspaniały mężczyzna. Tak łatwo było go podziwiać.

Minęły trzy następne dni. Thena stała się nerwowa, wojna odbijała się na jej samopoczuciu i koncentracji. Nie usłyszała ani jednego wystrzału, wiedziała więc, że Jed nie poluje na wyspie. Musiał się żywić tylko tym, co znajdzie lub złowionymi rybami. Wiedziała również, że wody dostarczał mu jedynie mizerny strumyczek płynący po jego stronie wyspy.

Czwartego dnia Thena wyprawiła się do odnogi morskiej pozbierać ostrygi na obiad. Rasputin i Godiva towarzyszyły jej; kiedy zbliżała się do domu, psy zastrzygły uszami i zaczęły warczeć. Pobiegły naprzód, a Thena pospieszyła za nimi. Kiedy dobiegła do werandy,

zatrzymała się z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Wynędniały Jed leżał wyciągnięty na drewnianej podłodze. Miał skrzyżowane nogi, a pod głowę podłożył sobie swój zrolowany śpiwór. Miał na sobie tylko obcięte spodnie i sandały, które dała mu wcześniej. Zerkał na nią przez chwilę, potem uniósł się na jednym łokciu i zaszalutował. Wydawało się, że gest ten kosztował go sporo wysiłku.

– John Wayne poddaje się – powiedział słabo. Opuścił rękę i zamknął oczy.

– Och, Jedidiah!

Thena wbiegła po stopniach i usiadła obok niego. Stracił co najmniej dziesięć funtów, a już i tak był szczupły. Twarz, kark i ręce, już wcześniej opalone w Wyoming, były jedynymi częściami ciała nie spalonymi przez słońce Georii. Kędziorki na klatce piersiowej były teraz jasne, a nie brązowe, ramiona poznaczone miał pęcherzami. Szczękę pokrywał mu nie golony zarost, a pod oczami pojawiły się nowe zmarszczki. Usta miał popękane od wiatru.

– Odważ się i powiedz to – zamruczał, nie otwierając oczu. – Wyglądam okropnie.

Thena zapomniała o rozsądku i pogładziła go po policzku. – *Lhomme magnifique* – szepnęła cichutko.

– Co?

– Jesteś podobny do aktora z „Miami Vice” z tą brodą. Uśmiechnął się słysząc to i spojrzał na nią ze znużeniem.

– Daj mi coś do łowienia ryb.

– Dlaczego nie polowałeś? Mogłeś zabić królika lub sarnę.

– Bałem się, że nigdy nie przebaczyłybyś mi, gdybym skrzywdził jakiegoś twojego współmieszkańca rajy – odparł.

– Chcesz powiedzieć, że cierpiełeś głód, bo nie chciałeś urazić moich uczuć?

– Ojciec zawsze mówił, że jestem twardszy niż skała. W oczach Hieny pojawiły się łzy. Teraz była pewna, że Jed zmieni zdanie co do przyszłości wyspy. Miał miękkie serce i nie może już tego przed nią ukryć. Wzięła jego twarz w dłonie i głęboko spojrzała mu w oczy. Starannie ignorowała uczucie pożądania, które w niej rosło. Starła się za to skoncentrować na słodkiej pewności, że może mu ufać, że lubi go bardziej niż kogokolwiek w życiu.

– Co za kowboj – wyszeptwała dumnie. Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w czoło.

– No... och, cholera! – zamruczał. – Gdybym wiedział, że tak się zachowasz, poddałbym się trzy dni temu.

Thena uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– Nie ruszaj się! – rozkazała.

Weszła do środka. Kiedy wróciła kilka minut później, niosła szklanekę mleka, wiązkę bananów i puszkę po kawie.

– Usiądź i jedz, a ja w tym czasie posmaruję ci ramiona. Przełknął mleko i zjadł banana, zanim zdążyła przykleknąć przy nim i otworzyć puszkę.

– Co to jest? Czy mogę to zjeść? Mógłbym teraz zjeść całą tylną nogę muła.

– Nie zechcesz tego zjeść. To maść ziołowa, którą trzymam w lodówce. Robi ją moja przyjaciółka, Beneba Everett.

– O! Słyszałem o niej. Farlo Briggs mówi, że nauczyła cię jak być czarownicą. Ta maść

na pewno zamieni mnie w żabę.

– Farlo uważa ją za czarownicę, ponieważ Beneba ma najlepszy ogród warzywny w całym stanie. Jest zazdrosny.

– Ach... Jak chłodno. Wspaniale. Nie mam nic przeciwko byciu żabą.

Zjadł resztę bananów, podczas gdy Thena rozsmarowywała balsam po jego wspaniale zbudowanych ramionach i plecach. Był zbyt wycieńczony i spalony słońcem, by stanowić dla niej zagrożenie, mimo to czuła się nieswojo dotykając go. Jego mięśnie napinały się i rozluźniały pod dotykiem jej palców, musiała się powstrzymać przed dłuższym masowaniem niż było trzeba. Jego skóra była niepokojąco gorąca od słońca. Kiedy skończyła, dała mu puszkę.

– Dokończ. Przygotuję ci coś do zjedzenia.

– Co myślisz o wołowinie z tuzinem zimnych piw, którymi mnie tak kusiłaś?

Roześmiała się.

– Zrozumiałam.

Zadowolił się dwoma serowymi omletami i polową funta bekonu. Wydawało się jej, że Jed je godzinami. Wypił dwa piwa i dwie szklanki mleka z łąpczywością, która niemal doprowadziła ją do łez.

– Tak mi przykro, że byłeś pięć dni na plaży – wybuchnęła. – Jesteś bardzo wytrwały.

– Ta... ale słońce wypaliło moją wytrzymałość już pierwszego dnia.

Roześmiała się, ale była raczej smutna niż rozbawiona.

– Naprawdę mi przykro – podkreśliła.

i Przełknął ostatni łyk mleka i uśmiechnął się ostrożnie, nie chcąc urazić obolałych warg. Z wąsami mleka i rozczochranymi włosami wyglądał jak nastolatek.

– Jeżeli naprawdę ci przykro, skończ nacierać mnie tą chłodzącą maścią. Nie mam nasmarowanych jeszcze przodków nóg, a bardzo mnie boją. – Zrobił zboląłą minę. – Jestem taki... taki słaby i otumaniony.

– Przestań gadać i połóż się, ty oszukańczy artysto.

– Gdzie się nauczyłaś tak ostro mówić?

Wyciągnął się powoli, a Thenie wydawało się, że każdy mięsień jego brzucha porusza się tak, aby przyciągnąć jej uwagę.

– Edward G. Robinson.

Rozprowadziła najpierw balsam na jego stopach.

– O Boże, Jedidiah! Nawet skórę między palcami masz spaloną. Czy cały jesteś spieczony?

– Czy posmarujesz mnie całego maścią, jeżeli odpowiem tak?

– Dużo lepiej będziemy się ze sobą zgadzać, jeżeli nie będziesz ze mną flirtował.

– Pocałowałaś mnie, kwiatuszku. Dokładnie między oczami. Mam prawo do flirtu.

– To był... gest przyjaźni. Wyraz sympatii jednego człowieka do drugiego, którego się podziwia...

– Wyłumacz mi, gdzie kończy się podziw, a zaczyna miłość.

Palce Theny przesunęły się w stronę jego kolan. Zignorowała jego prośbę. Miłość? Ten

cowboy żartuje z niej.

– Kościste. Masz kościste kolana. A twoje nogi są całe w bliznach.

Co dziwne, nie wydawały się jej nieatrakcyjne. „O nie – pomyślała Thena. – Kiedy zaczyna się lubić czyjeś niedoskonałości, to stoi się na straconej pozycji”. Odkaszlęła gwałtownie.

– Co pan robił, kiedy pan dorastał? Bawił się pan skakanką z drutu kolczastego?

Wtarła trochę balsamu w jego uda, czując pod palcami drżenie mięśni. Thena zamknęła puszkę. Oddychając szybko, odsunęła się od niego i oparła plecami o ścianę. Jed przewrócił się na bok i patrzył z powagą w jej oczy.

– Rosłem w ubóstwie i szybko dojrzałem – powiedział. – Porzuciłem szkołę, kiedy byłem w dziesiątej klasie. Mój ojciec był pijakiem i zginął w bójce na noże. Widziałem wiele złych rzeczy, kilka sam uczyniłem. Ale jestem uczciwy i nikogo nie skrzywdziłem, chyba że w obronie własnej lub kogoś, kogo kochałem. Nie nadużywam alkoholu, nie biorę narkotyków. Jestem hojny, czy chodzi o pieniądze, czy o uczucia. – Przerwał, wpatrując się w jej twarz. – Wiem, że w wielu rzeczach dzieli nas całe lata świetlne, ale w innych nikt nie był mi bliższy w całym moim życiu.

Thena wciągnęła powietrze.

– Potrafisz być bardzo wymowny, kiedy chcesz – wymruczała. – Chcesz się ogolić? Potem włączę wentylator na poddaszu i możesz uciąć sobie drzemkę.

– Chcesz mnie spławić?

– Tak.

– Z powodu tego co ci o sobie powiedziałem?

– Nie. Moi rodzice nauczyli mnie oceniać ludzi po ich czynach i charakterze, a nie przeszłości. Mówiłam poważnie, że widzę w tobie piękno. Tylko... chcesz ode mnie czegoś, co...

– Wcale nie chciałem się znów do ciebie zalecać – zażartował. Thena spojrzała na niego z wyrzutem. – No dobrze, może, może chcę się trochę zalecać...

– Proszę, nie mów tak. – Jej głos załamał się. – Chcesz zepsuć naszą przyjaźń?

– Jesteśmy przyjaciółmi, Theno? Przytaknęła i westchnęła.

– Obawiam się, że nic nie mogę na to poradzić. Jesteśmy przyjaciółmi. Przynajmniej na razie.

– Czy nie może być coś więcej? Potrząsnęła przecząco głową.

– Ani z tobą, ani z nikim innym.

Szybko wytarła łzę spływającą jej po policzku. Spojrzała na Jeda z rozpaczą.

– Czy możemy nie rozmawiać znów o tym? Proszę. Otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale powstrzymał się w porę, kryjąc w sobie zdziwienie i frustrację. Musiała bardzo kochać tego profesora – pomyślał ze smutkiem. – I nie pogodziła się jeszcze ze stratą. Cierpliwości – rozkazał sobie. – Można ją oswoić. Można ją zdobyć”.

– Wygrałaś, kwiatuszku – powiedział ze szczerością w głosie. – Wiem, że zostałaś zraniona. Umiem udawać dżentelmena, kiedy muszę. I będę. Odpręż się.

– We wszystkim co najważniejsze jesteś dżentelmenem. Nie musisz udawać.

– A zatem jestem Jediah, a nie Jed, jestem dżentelmenem, a nie wzbogaconym trampem. Umiesz pochlebiać mojemu ego.

– Jesteś dla mnie wyzwaniem. Tyle cię muszę nauczyć o wyspie. Musisz dać mi szansę.

Wyraz jej oczu był tak błagalny, że Jedowi wydało się, iż trzyma klucz do jej szczęścia. Poczł się jej obrońcą, mógł z radością walczyć gołymi rękami ze smokami dla jej dobra. Być może to zaklęte miejsce ma ich kilka, prychających gdzieś niedaleko.

– Dobrze, dziewczyno. Jeżeli będziesz mnie żywiła, zgadzam się wysłuchać wszystkiego bez uprzedzeń.

Jej twarz rozpuodziła się.

– Rozbudzę twoją świadomość. Uśmiechnął się złośliwie.

– Pozwól jej najpierw wyleczyć się z poparzeń słonecznych.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Spał cały dzień. O zmierzchu Thena poczuła nieodparte pragnienie zobaczenia go i usłyszenia jego głosu. Na paluszkach weszła na górę, zobaczyła otwarte drzwi do sypialni i zajrzała tam z ciekawością. Było zbyt ciepło, by spać przy zamkniętych drzwiach. Spodziewała się tego. Nie spodziewała się natomiast tego, że jego szorty i bielizna będą leżały na starej drewnianej podłodze, a Jed będzie spał nago na brzuchu, z twarzą wtuloną w poduszkę.

Zaskoczona Thena studiowała jego odprężone ciało z podziwem, który rezerwowała dla wspaniałych wschodów słońca. Prześcieradła otaczały jego ciało jak mleczna rzeka, kontrastując z opaloną skórą. „Oczywiście nie opalił się cały” – pomyślała, patrząc na jego białe pośladki.

Thena przechyliła głowę na jedno ramię i spojrzała na nie okiem artysty. Były śliczne, symetryczne. Zauważyła, że były dobrze umięśnione. Wszystkie mięśnie miały doskonały kształt. Wspaniałe. Ponętne i delikatne, jej palce chętnie by to sprawdziły.

Przerażona cofnęła się, zeszła cichutko po schodach i usiadła w wygodnym, wymoszczonym fotelu. Nocne odgłosy wyspy docierały do wnętrza domu i otaczały ją. Długo siedziała w ciemności, zastanawiając się, kiedy jej chemiczna reakcja na Jeda Powersa wymknie się spod kontroli.

Ojciec jej był wyższy od Jeda, ale niewiele grubszy. Thena poszła do schowka, wyszukała tam białe spodnie .. którym podwinęła nogawki. Wzięła również jedną z kolorowych koszul, które tak uwielbiał. Wystarczyło to do okrycia Jeda, a o to jej chodziło.

O dziesiątej zszedł wolno po schodach. Thena siedziała znów na swoim fotelu, a światło lampy tworzyło wokół niej jasny krąg. Oderwała wzrok od czytanego po raz kolejny „Olivera Twista”. Psy, wyciągnięte na podłodze koło jej nóg, patrzyły na niego z rosnącą sympatią. Tylko raz warknęły.

– Łazienka – wymruczał Jed zaspanym głosem.

Starając się nie patrzeć na włosy na jego brzuchu układające się w kształt litery V, pokazała mu kierunek w przeciwną stronę holu. Uśmiechnął się i ruszył tam.

– Są tam dla ciebie świeże rzeczy.

– Dzięki. Co czytasz? – zapytał przez ramię.

– Karola Dickensa. To mój ulubiony pisarz.

– Pamiętam go. Pisał o Anglii. „David Copperfield”. Jedyna książka, nad którą nie usnąłem w klasie.

Thena patrzyła na niego z rozbawionym zaskoczeniem.

– Czytam „Olivera Twista”.

– Jest tam choć kilka wesołych kawałków?

– Kilka.

– Przeczytasz mi niektóre, kiedy już wezmę prysznic?

– No... oczywiście. Przygotuję coś do jedzenia, jeżeli jesteś głodny. Co myślisz o hot

dogach?

– Może być tuzin.

Hot dogi i Dickens. Spędzili nad nimi kilka godzin. Ciepłe, pachnące powietrze wpływało przez otwarte okna. Jastrząb, którego Jed widział pierwszego dnia, cicho wylądował przed drzwiami i wyjadł kawałki tuńczyka z puszki, którą Thena zostawiła dla niego. Siedziała w fotelu, a Jed leżał wyciągnięty na kanapie. Pokój oświetlała jedynie stojąca lampa.

Jed słuchał „Olivera Twista” z prawdziwym zainteresowaniem. Thena czuła jego wzrok, nieruchomy i spokojny jak cienie w rogach pokoju. Kiedy stary zegar dziadka, stojący koło telewizora, wybił drugą, Thena odłożyła książkę i spojrzała na niego ze zdziwieniem. Czytała Jedowi kilka godzin.

– Niezła historia. Szkoda, że nie czytałem dobrych książek wtedy, kiedy mogłem. Chciałbym usłyszeć resztę, masz miły głos. Co myślisz o jutrze?

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Mówisz tak śpiewnie...

– Mówisz poważnie, o Dickensie? O „Oliverze Twiście”?

Podniecona i zadowolona, niemal upuściła książkę. I to nie dlatego, że zainteresowała go literatura.

– Tak. Sprawia mi przyjemność leżenie nieruchomo i słuchanie. – Zamrugał oczami. – Wiesz, gdyby nie to, że spaliłem się na frytkę na plaży, to spodobałoby mi się życie tutaj. Rozumiem, dlaczego ludzie lubią ocean. Uspokaja ich.

– Widzisz? Już uczysz się doceniać Sancię. Chcesz wrócić jutro do SalHavan?

– Nie. Mogę jechać wszędzie, byle nie tam.

– Dobrze. Możesz więc chodzić ze mną.

– To interesujący pomysł...

– I liczyć kraby.

Chwycił się za pierś dramatycznym gestem.

– Zabiła go strzałem prosto w serce. Thena roześmiała się.

– Regularnie liczę kraby. Systematyczne wieloletnie obserwacje mogą ujawnić zmiany w liczebności ich populacji. A to jest ważne dla tych, którzy żywią się nimi, a także ma wpływ na tych, którymi żywią się kraby.

– Będę się nimi żywił, dopóki nie dasz mi jeszcze jednego hot doga.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Przyjaźń. „To słowo najlepiej opisuje to, co rozwinęło się między nami” – stwierdziła Thena. Jed rozkoszował się jej gadatliwością i ożywieniem, a ona cieszyła się jego spokojnym zachowaniem. Nie zmieniał nastrojów. Był solidny i cichy, tak opanowany, że ktoś, kto nie znał go, mógł pomyśleć, że jest obojętny.

Ale ona знаła go, czasami ogarniało ją dziwne uczucie bliskości, tak jakby nigdy nie byli sobie obcy, i pod pozorami opanowania widziała wrażliwą naturę. Była dobrą obserwatorką i nigdy nie myliła jego nonszalancji z obojętnością.

Thena ostrożnie opowiadała o SalHaven, omijając fakty związane bezpośrednio z dziadkiem Jeda. Wyjaśniała Jedowi, że „Sal” pochodziło od przezwiska babci Sarah, którą

nazywano Sally. Starzy ludzie z wybrzeża nigdy nie zapomnieli jej dobroci, braku snobizmu i prac charytatywnych. Wysoka, silna, rudowłosa kobieta z gracją jeździła na swoich ukochanych arabach.

– Widziałam jej zdjęcia – powiedziała. – Masz jej oczy.

– Czy to dobrze? – zapytał wolno i uwodzicielsko Jed.

– Jak wyglądają moje oczy?

Wszystko co mówił i robił miało niepokojący podtekst „A może to hormony oszukują mnie i rozbudzają wyobraźnię” – zastanawiała się Thena.

– Masz bardzo inteligentne oczy. – Przerwała chytrze.

– Ale takie ma również dziki kozioł.

Siedzieli w bujanych fotelach na werandzie, niedawno wrócili z plaży, gdzie liczyli żółwie gniazda. Jed zrzucił mokre, zapiaszczone sandały. Nagle poderwał jeden z nich i jednym, zręcznym ruchem wrzucił go na kolania Thenie. Ten upadając ubrudził jej szorty wodą i piachem. W żartobliwej bójce, która nastąpiła, wybiegli na podwórze, a Thena groziła mu sandałami. Jed nadepnął na kaktus i, tak jak to miał w zwyczaju, nawet nie jęknął. Skrzywił się tylko nonszalancko i pokuśtykał pośpiesznie do dużej cysterny z wodą. Wdrapał się po drabinie, która biegła po ścianie zbiornika i wskoczył – do środka. Thena usłyszała plusk wody, kiedy znikł jej z oczu. Było to dziecinne i zabawne, nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiła.

– Nie jesteś tam bezpieczny! – krzyknęła.

– Dobrze! Przyjdź i złap mnie!

– Zgoda.

Podbiegła do drabiny i szybko wdrapała się na nią, podczas gdy Jed rzucił się na drugą stronę cysterny, pokrzykując i z udanego strachu. Kiedy była na górze i przechyliła się przez krawędź, wrzasnął:

– Lady Klingon wdarła się na pokład, kapitanie! Ratuj swoje życie, Spock! Zatrzymam ją i zabiorę na bryg!

– Kim jest Klingon? – zapytała zdyszana.

Jed zanurkował i chwycił ją za kostki u nóg. Thena wciągnęła powietrze, kiedy pociągnął ją za sobą. Mocowali się przez chwilę i wypłynęli razem na powierzchnię śmiejąc się. Jed trzymał ją w ramionach.

– Kim jest Klingon? – powtórzył ze zdumieniem, patrząc na nią. Potem komicznie wywrócił oczami. – To stworzenie spragnione miłości, ostrzące sobie pazury na kowbojów.

Pocałował ją w usta i puścił. Przeniósł się na swoją stronę cysterny.

– Och... och! Przepraszam za pytanie!

Zmieszana i zaczerwieniona dopłynęła do swojej strony zbiornika i chwyciła ją z desperacją. Odwróciła się plecami do Jeda i oparła głowę na ramionach.

– Nie jestem Klingon – powiedziała stanowczym tonem.

– No cóż, sprawdzimy i zobaczymy, czy mówisz prawdę.

Theną usłyszała ciche chlupoty, woda w zbiorniku zafalowała, tak jakby Jed poruszał się. Nie chciała na niego patrzeć, aby nie zachęcać go do dalszych wyskoków. Po chwili coś

mokrego uderzyło w ścianę cysterny tuż obok niej. Podskoczyła i szybko spojrzała na prawo. Koszula i spodnie ojca, które dała Jedowi, wisiały na oszalowaniu zbiornika.

– Odwróć się, lady Klingon! – rozkazał Jed niskim, ochrypłym głosem. – Chyba nie jesteś tchórzem?

Thena nabrała głęboko powietrza, odwróciła się i przycisnęła plecy do ściany cysterny. Jed czekał po przeciwnej stronie, ze wspaniałym nagim torsem, woda sięgała mu do pępka; fascynowało ją, gdy pępek ukazywał się i znikał...

Szybko podniosła wzrok. Jed uśmiechał się powściągliwie, jego spojrzenie było poważne, ale również prowokujące.

– Popatrz, Klingon – powiedział gardłowym głosem. – Zobacz, czy możesz się oprzeć.

Zaczął ochlapywać wodą nagą pierś, zagarniał wodę szeroko rozłożonymi ramionami. Jego pępek poruszał się wolno w górę i w dół. Thena była jak zahipnotyzowana. Mięśnie Jeda napinały się, widziała gęsią skórę na jego piersi. Był wspaniałym obrazem męskiego kusiciela. Jego ramiona i ręce były muskularne, talia zanurzona w wodzie. Z łatwością mogła sobie wyobrazić to, co było ukryte pod wodą.

– Chodź tutaj, Klingon – szepnął. – Chodź tutaj i zrób to dla mnie. A ja zrobię to dla ciebie. Wiem jak wy, Klingony, lubicie głaskanie.

Thena udawała spokój. Jej skóra była tak gorąca, że dziwiła się, iż woda wokół niej nie paruje. Na całym świecie nie było tyle wody, by ugasić płonący w niej słodko ogień.

– Ciągle mam na sobie bieliznę – wymruczał Jed. – Jestem przyzwoity.

– Jedidiah, nie jesteś zbyt subtelnym uwodzicielem.

– Może chcesz być uwiedziona i dlatego nie muszę być zbyt subtelny.

Uśmiechnął się, jakby żartując z niej, ale jego oczy rozkazywały jej rozebranie się do naga, tak aby jego dłonie mogły pieścić jej ciało. Uniosła dumnie głowę.

– Nie podoba mi się ta zabawa. Wracam do domu. Odwróciła się, wdrapała na brzeg cysterny, potem szybko, nie oglądając się na niego, zeszła po drabinie. Maszerowała przez podwórze.

– Pójdę z tobą – zawołał pogodnie Jed.

Thena obróciła się i zobaczyła, jak wychodzi ze zbiornika i schodzi na dół. Cofnęła się o kilka kroków z szeroko otwartymi oczami. Równie dobrze mógłby być nagi. Bawełniane majtki ściśle przylegały mu do ciała, ukazując to, do czego nie umywały się ryciny w jej atlasach anatomicznych, pomyślała.

Jed popatrzył na nią, uniósł jedną brew do góry, wsunął kciuk za gumkę majtek, strzelił nią, a potem zadowolony ruszył za nią. Thena znalazła tylko jeden sposób na rozproszenie pożądania i zadowolenia widocznych w jego oczach.

– A teraz, *monsieur* Jedidiah na wybiegu – powiedziała głębokim, dramatycznym głosem.

– Pokazuje najnowszy paryski model dla mającego powodzenie kowboja lub, jak mówimy w branży odzieżowej, dla „el gay caballero”. Proszę zwrócić uwagę na prostotę i elegancję kroju, na szeroki gumowy pasek gwarantujący nie odznaczanie się majtek nawet w najbardziej obcisłych spodniach.

– Jesteś okropna – powiedział zabawnie, mijając ją. – A już chciałem pozwolić ci na

wtarcie odrobiny balsmau w mój spalony brzuch – psyknął z żalem. – Ale zraniłaś moje uczucia i muszę ukarać cię, kasując przyjemności.

– A może jednak nie.

– Nie wiem.

Jed szedł dalej w stronę werandy, jego pośladki napinały się pod przezroczystymi bawełnianymi majtkami, był wyprostowany, dawał wspaniałe przedstawienie.

– Jak dożyłaś dojrzałego wieku dwudziestu pięciu lat, nigdy nie widząc niemal nagiego mężczyzny?

– O, twoje hobby to czytanie w myślach! Dlaczego, błędnie, uważasz, że widok owłosionej i opalonej męskiej skóry jest dla mnie nowością?

Jed wolno wszedł po stopniach werandy, odwrócił się, uśmiechnął leniwie i mrugnął.

– Nie zauważyłaś tego małego czarnego węża, który przeczołguje ci się przez prawą stopę.

Thena podskoczyła, kiedy zorientowała się, że coś rzeczywiście pełźnie jej po palcach. Niegroźny mały wąż spadł z jej stopy i szybko oddalał się, chcąc uciec od takiego podskakującego stworzenia. Thena pochyliła się, wzięła go w jedną rękę, potem wyprostowała się i spojrzała na Jeda. Głęboko w środku czuła rosnący śmiech.

– Będziesz miał dziś wilgotnego i zimnego towarzysza w łóżku – przyrzekła przyjacielsko.

– Dziękuję za propozycję, ale wolę węża.

Śmiejąc się serdecznie, zawrócił i wszedł do domu, zamykając drzwi jednym niedbałym ruchem ręki. Thena patrzyła za nim milcząco. Z desperacją chciała być taką kobietą, która mężczyznę takiego jak Jed uczyniłaby szczęśliwym. Nigdy w życiu nie chciała bardziej niż teraz wyjść naprzeciw komuś. Ale gdyby to zrobiła, efekty byłyby opłakane.

Pochyliła się nad czarnym wężem, którego trzymała w ręku.

– Chi żartował, ale ty byłbyś bardziej pociągający niż ja, mały przyjacielu – szepnęła ze smutkiem.

Jed z radością pomagał Thenie szukać niezwykłych muszli na plaży. Nauczył się zarzucać sieć, a w zamian za to nauczył ją ukrywać w dłoni monety i grać w pokera. Pomimo ostrożnych uwag i widocznej zmysłowości nigdy nie dotknął jej ani nie próbował pocałować. Nie musiał. Bycie tuż obok niego, patrzeć, słuchanie jego głębokiego głosu, kiedy opowiadał o rodeo, wystarczało, by ciągle czerwieniła się i brakowało jej oddechu.

Pewnej nocy słuchał uważnie, gdy czytała mu „Cali of the Wild”. Kiedy zegar wybił trzecią nad ranem, Thena zachrypla i oddała Jedowi książkę. Leżał na kolorowym dywanie obok jej bosych stóp, z nagą piersią i prowokacyjnie wyglądającymi w spodniach jej ojca nogami i pośladkami. Zauważyła, że Jed przebiera palcami po dywanie w geście zniecierpliwienia.

– Proszę, Jedidiah, poczytaj przez chwilę głośno „Cali of the Wild”.

Odgarnął do tyłu swoje czekoladowe włosy i wymruczał.

– Opowiedz mi o swoim profesorze. Co mu czytałaś?

– Och, Szekspira, filozofię, nowele francuskie. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiałem się.

Milczał przez chwilę, miał skwaszoną minę z nieznanym jej powodów.

– Dziwnie się zachowujesz od chwili, gdy otworzyłam tę książkę. Nudzisz się? – spytała.

– Nie.

Wyciągnął się na plecach, włożył ręce pod głowę i patrzył nieruchomo w sufit. Thena podziwiała regularny ruch jego klatki piersiowej, po chwili zorientowała się, że coś go gryzie.

– Poczytaj mi jeszcze. Lubię niezłe książki – powiedział ironicznie. – Na przykład wyniki wyścigów.

Thena otworzyła z zaskoczenia usta.

– Uważasz, że żartuję z ciebie? – spytała zdziwiona. – Gdybym chciała się z ciebie wyśmiewać, to czytałabym ci bajki braci Grimm. I wyjaśniała trudniejsze fragmenty.

– Przypuszczam, że twój profesor władał tuzinem języków.

– Tak, i co z tego?

– Znam trochę hiszpański. Nauczyłem się, kiedy występowałem na rodeo, na południu.

– To dobrze. *Bueno*.

– Mam zamiar skończyć kiedyś studia. Nie jestem analfabetą czy kimś takim.

– *Bueno*. – Spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – O co chodzi, Jedidiah?

– Dużo wiem o zwierzętach – mógłbym być weterynarzem. Wiem, jak trzeba budować domy. Umiem zbudować dom od fundamentów aż po dach, założyć instalacje wodne i elektryczne. Umiem naprawić każdą ciężarówkę. A także prawie wszystkie samochody osobowe. – Przewrócił się na bok, podparł łokciem i wpatrywał w Thenę. – Czytam dużo czasopism, dobrych, takich jak *Newsweek* czy *Life*. Nie żadne szmatławce zajmujące się plotkami o Vannie White.

– Kim jest Vanna White?

Uderzył pięścią o podłogę, przestraszył ją i psy, które zaczęły warczeć na werandzie.

– Nie ważne. Do cholery, wiesz, o co mi chodzi! Jestem równie dobry jak każdy inny facet, którego znałaś i oczekuję od ciebie normalnego traktowania.

Thena nagle zorientowała się, że to całe pokrętnie przemówienie świadczyło o zazdrości Jeda o Nata. Ten twardy mężczyzna, przedzierający się przez życie, z trudem wiążący koniec z końcem, dbający o nieodpowiedzialnego ojca, a mimo to będący delikatnym, wrażliwym i dobrym człowiekiem, uważał ją za snobkę.

– Jedidiah Powers – powiedziała z ogniem. – Uważam, że jesteś bardzo inteligentny. Podziwiam twoje zdecydowanie i zdrowy rozsądek. Uważam, że jesteś wspaniały taki, jaki jesteś.

Jego złość opadła. Patrzył na nią z jednym okiem przymrużonym, tak jakby za chwilę miał zamiar się uśmiechnąć.

– Ale czy mogłabyś kochać kogoś, kto nie skończył wyższych studiów?

Och, nie zamierzała dać się wciągnąć do dyskusji na ten temat. Podniosła ręce do góry w geście niedowierzania.

– Jak rozwinęła się u ciebie obsesja formalnego wykształcenia?

– Z powodu dziewcząt z kolegów, które chodziły ze mną na randki tylko za plecami swoich tatusiów – odparł. – Byłem dobry na kilka spotkań, ale nie na tyle dobry, żeby przedstawić mnie rodzinie. Miałem dobre oceny na wyższych studiach, ale musiałem porzucić naukę i pójść do pracy z powodu kłopotów finansowych. Ale to nie miało dla nich znaczenia.

– Kobiety na stałym łądzie są szalone, Jedidiah.

Hiena nie żartowała. Jej twarz była tak poważna, że kiedy Jed spojrział na nią, rozbawiło go to.

– Nie wiedzą, co jest w życiu ważne. Nie ma dla mnie znaczenia, czy skończyłeś wyższe studia, czy nie.

– A co dla pani jest ważne, pani czarownico? Thena westchnęła i przesunęła dłonią po głowie.

– Ważna jest dla mnie filiżanka gorącej herbaty i żebyś przestał mówić, bo mam zamiar dalej czytać książkę. – Spojrzała na niego z powagą. – Uczciwość, współczucie i odwaga są ważne. Otwartość na świat, umiejętność kochania głęboką, bezinteresowną miłością.

Uniósł głowę, podpierając ją łokciem i wpatrywał się w Thenę wzrokiem, który parzył jej skórę.

– Wiem, że mam tę ostatnią cechę – wymruczał. – Umiem tak kochać. – Przerwał. – A ty?

Thena zaczerwieniła się i otworzyła książkę.

– Mam nadzieję – odpowiedziała w końcu. Odchrząknęła. – Nowy rozdział. Jak sobie przypominasz... .

– Uspokój się.

Wstał powoli, nie spuszczać z niej wzroku. Wiedziała, że szuka na jej twarzy odpowiedzi na stawiane pytania, obietnic, nadziei. Starła się zachować obojętnie.

– Mam cię, dziewczyno – powiedział łagodnie. Thena patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami. – Zdobędę cię.

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Musiała przed sobą szczerze przyznać, że chciała, żeby spróbował, ale nie zamierzała go do tego ośmielać. Jed nie rozumiał, że była tylko intelektualistką bez talentu do miłości. Podszedł do niej, ujął pod brodę i mrugnął.

– Zrobię ci herbatę – powiedział. – Wyglądasz tak, że chyba jej potrzebujesz.

Następnego dnia siedział razem z Theną na plaży i przyglądał się, jak maluje. Z bezceremonialną szczerością kogoś, kto nie zna się na sztuce, ale wie, co mu się podoba, ocenił jej pejzaż morski.

– Dobry, bo wygląda prawdziwie.

Jego urok i wrodzona uczciwość były bardzo pociągające i Thena zaniepokoiła się, że jej uśmiechy mogą wyjawiać mu, iż jest nim oczarowana.

Przyjemną atmosferę, jaka zapanowała między nimi, psuła świadomość, że Jed jest na wyspie wbrew własnej woli. Pewnego popołudnia leżał wyciągnięty na werandzie, bawiąc się sznurem, który znalazł w stodole. Thena pracowała koło werandy, sadziła sadzonki mięty na rabacie, którą przeznaczyła na zioła.

– Wydaje mi się, że powinnam pozwolić ci wrócić na łąd, jeżeli masz na to ochotę –

powiedziała. – Mieszkasz ze mną pięć dni. – Trzymała nisko opuszczoną głowę, pilnie kopiać małym szpadlem. – I mam wrażenie, że w ogóle nie zmieniłeś zdania o Sancii.

Jed właśnie je zmieniał, ale nie miał zamiaru przyznać się do tego. Miejsce podobało mu się. Mieszkanca wyspy również mu się podobała. Myślał o małżeństwie, , – o dzieciach, dzieciach o srebrnych oczach i kasztanowych włosach.

– Pewnie masz mnie już dosyć – bąknął.

– Wiem, że musisz zająć się interesami...

– Kupiłem kilka klaczy, ale na razie nie mogę ich odebrać, bo nie mam jeszcze rancza. Nie mam domu, tylko hotelowy pokój w Cheyenne. Mam drogiego adwokata z trzema imionami i numerem, Chester Porter Thompson czwarty, który dba o moje interesy. Nie. Nie mam spraw, którymi muszę się natychmiast zająć. Pamiętaj, że jestem bogaty. To znaczy, że mogę robić, co zechcę.

– A zatem nie chcę, żebyś odjeżdżał – powiedziała szczerze.

– A zatem nie chcę odjeżdżać – odpowiedział równie szczerze.

– Dobrze.

– Świetnie.

Oboje milczeli, koncentrując się na swoich czynnościach. Thena spojrzała na niego. Jed spojrzał na nią. Oboje zaczęli się śmiać.

– Wstawaj! – rozkazał i sam usiadł. – Nauczę cię rzucać lassem.

Thena patrzyła niepewnie na sznur, który trzymał w doświadczonych, opalonych rękach. Jed zrobił pętlę. Spojrzała na swoje obcięte dżinsy i obszerną kolorową koszulę.

– Czy wyglądam jak kowbojka?

Jed był ubrany podobnie, w kolejne ubrania jej ojca, i fakt ten był żartobliwie komentowany przy śniadaniu. Oskarżył ją, że chce, aby wyglądali jak para turystów z Miami. Jed uśmiechnął się.

– To nie jest kwestia ubrania, tylko usposobienia. Masz wypisane na twarzy, że jesteś kowbojką.

– Zakładam, że jest to komplement.

– Tak, proszę pani – potwierdził radośnie Jed. Zszedł po schodach i dał znak Thenie, żeby poszła za nim przez podwórze.

– Każ temu psu służyć za cel do ćwiczeń – powiedział, wskazując na Rasputina leżącego koło Godivy na werandzie.

– Rasputin, tam. – Pokazała Thena.

Rasputin z wywieszonym ozorem i przymrużonymi ślepiami obserwującymi Jeda i jego sznur, powłókł się wolno na wskazane miejsce na piaszczystym podwórzu.

– Zostań – odwróciła się do Jeda. – To nie jest ten rodzaj psa, który kowboje chwytają na lasso.

– Kobieto, jesteś straszną perfekcjonistką. – Odsunął się o kilka kroków, pętla rosła w jego sprawnych palcach. – To się nazywa budowanie pętli.

Podrzucił ją w górę i zakręcił parę razy nad głową z niedbałą gracją. Lina wystrzeliła i pętla wylądowała na karku Rasputina. Jed lekko zaciągnął ją, nie robiąc krzywdy

zaskoczonymu psu.

– To – powiedział sucho – jest zemstą za te wszystkie razy, kiedy to stworzenie warczało na mnie. – Podniósł głos. – Przynieście żelazo do wypalania!

– Och, biedactwo! – mruzczała Thena, biegnąc do Rasputina i zdejmując mu pędę z karku. – Bądź grzeczny. Nie zrobimy ci krzywdy.

– Przynieście podgrzewacz! – wołał Jed do niewidzialnych pomocników. – Rozgrzejcie żelazo!

– Ciii... – Thena wracała do niego, grożąc mu palcem i uśmiechając się szelmowsko. – Teraz moja kolej.

Jed usunął się i stanął tuż za nią. Thena poczuła, jak jej skóra napina się, kiedy jego dłonie objęły jej nadgarstki. „A więc ma taką taktykę – pomyślała z zaniepokojeniem. – Przytulanie i dotykanie przy nauce rzucania lassem”.

– Trzymaj z wyczuciem – instruował, ustawiając jej palce na sznurze.

Jego ciepły oddech owiewał jej kark. Był nieco szybszy niż zazwyczaj.

– Nie ściskaj za mocno, bo nie będziesz mogła zrobić tego, co chcesz. – Czy on mówi o sznurze? Chyba nie, podejrzewała Thena. – Nie trzymaj za słabo, bo wymknie ci się z rąk i będą kłopoty. Tak... zaciśnij palce. Potrząśnij nim lekko na początek.

– Teraz – powiedziała ostro – zakręć nim nad głową i rzuć.

– Och, nawet tak nie mów. To jest sztuka.

– To jest blaga.

– Nie, to jest arkan. – Przesunął palcami po jej nagim ramieniu i odsunął się. – Zaczynaj. Zakręć nim.

Thena była tak rozkojarzona jego żartami i ciepłem, które rozeszło się po jej ciele, że zakręciła lassem zbyt nisko i pętla zrobiła się za duża. Thena wstrzymała oddech, gdy nagle poczuła, że złapała coś zupełnie niespodziewanie. Pętla chwyciła Jeda, który stał niedaleko niej z tyłu, owijając się mu wokół karku.

– Litości, pani. – Zachichotał. – Pójdę spokojnie. Bądź dla mnie łaskawa, kiedy mnie zwyciężysz.

Podszedł i objął ramionami jej talię, przyciągnął Thenę do siebie i przytulił.

– Zwycięż mnie, Theno – szeptał jej do ucha. – Możesz rozłożyć mnie na części i odbudować na nowo. Masz aż taką władzę.

Jego ręce przesuwały się po jej bawełnianej koszuli i objęły jej piersi. Theny kolana zrobiły się miękkie jak z waty, gdy poczuła obcy i dziwny dotyk męskiej dłoni. Dłoni Jeda. Jego palce poruszały się w erotycznym masażu, cudownie szorstkie drażniły pobudzone wzgórczki.

– Oboje na to czekaliśmy. Nadszedł czas, kiedy będziemy się kochać, Theno.

Thena jęknęła z rozpacz i odwróciła się. Upuściła łąso i odepchnęła go obydwoma rękami, oddychała ciężko, jej oczy błyszczały. Prowokował ją do prymitywnych, seksualnych reakcji, nie przestawał flirtować i spowodował katastrofę: obudził w niej uśpione marzenia, a jednocześnie przypomniał jej poczucie niedoskonałości.

– Nie interesują mnie te zabawy nastolatków! – powiedziała ze złością.

Jed spojrzał na nią, kompletnie zaskoczony, potem zeszywniał.

– Nie jesteśmy dziećmi, a to nie jest gra. Nie chcę wziąć tego, co mogę dostać i potem odejść. Kiedy mówię „kochać się”, to dokładnie rozumiem pod tym miłość. Jeżeli nie widzisz, że jestem w tobie zakochany, to znaczy, że źle patrzysz.

– Jedidiah, przecież wcale mnie nie znasz. Nie szermuj takim ważnym słowem, jakim jest miłość...

Wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek.

– Nie mów do mnie jak do dzieciaka, który pierwszy raz w życiu podkochuje się w kimś, do cholery. Nigdy do nikogo wcześniej nie powiedziałem „kocham cię”.

– Nie mów tego do mnie! – Jej głos załamał się na ostatnim słowie.

Wyrwała rękę z uścisku Jeda. Czowała ból spowodowany jego słowami. Miłość. Ten twardy kowboj kochał ją... i głupotą byłoby zaprzeczać, że ona także go kocha. Ale nie pozwoli, by miłość stała się również miłością fizyczną, bo to zniszczyłoby wszystko. Thena starała się uspokoić oddech.

– Powiedziałam ci już, że nie chcę mieć nic wspólnego ani z tobą, ani z żadnym innym mężczyzną.

Jed potrząsnął głową ze zdziwieniem i przesunął dłonią po włosach. Nie rozumiał, jak mogła zaprzeczyć wzajemnemu zafascynowaniu. Starał się mówić spokojnie.

– Jeżeli tak naprawdę myślisz, pani czarownico, to dlaczego chciałaś, żebyśmy zostali?

– Nie jesteś... nie jesteś gotów do odjazdu. W dalszym ciągu nie rozumiesz, dlaczego należy zachować tę wyspę.

– Wiesz, nie lubię być zmuszanym do czegoś. To przestało być zabawne. Byłem niezłym towarzyszem przez ostatnich kilka dni. Jeżeli mój dotyk sprawił ci przykrość... – Przerwał, starał się, żeby nie było słyhać rozczarowania, które czuł. – Chcę, żebyś włączyła radio i...

– Nie zgodzę się, dopóki nie zostawisz w spokoju mojej wyspy.

– Ona nie jest twoja.

– Znów wracamy tam, skąd zaczęliśmy – powiedziała sztywno. – Idę malować na plażę.

Do widzenia!

Thena odwróciła się na pięcie i odeszła. Jed obserwował ją, zmieszanie spowodowane jej zachowaniem powoli zamieniało się w złość, jego cierpliwość się wyczerpała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rosnący niepokój, spowodowany dziwnym zachowaniem Theny i zły sen sprawiły, że Jed był bardzo spięty. Zszedł na dół na bosaka, przeklinając białe spodnie i krzykliwą koszulę, której jeszcze nie zapiął. Musi wyrwać się z tej wyspy zanim Thena zamieni go w jakiegoś głupio wyglądającego plażowego bałwana o zbyt słabym pomysłu, by cokolwiek zrobić samodzielnie.

Thena nie pozwoli mu odejść, ale i nie przyzna się, że ma inne powody zatrzymywania go tutaj, niż zachowanie wyspy nietkniętej. Widział zainteresowanie seksem w jej oczach, do diaska, czytał je w jej sposobie poruszania się, kiedy był w pobliżu. Na tej podstawie przynajmniej wiedział, że należy jej na nim. Jej powściągliwość była denerwująca, ale smutek, który ukrywał się pod nią, budził w nim instynkty opiekuńcze. Tajemniczość otaczająca ją mogła przywieść mężczyznę do adoracji, ale jednocześnie do szaleństwa.

Ostatniej nocy siedzieli w sztywnym milczeniu i oglądali stary film „Lassie wróć”. Thena płakała cicho w smutnych momentach, czyli mniej więcej co pięć minut. Jed przypuszczał, że płacze nie tylko nad psem, usiadł więc na podłodze koło jej krzesła, okazując w ten sposób swoją sympatię i przywiązanie. To spowodowało, że zaczęła bardziej płakać, nagle wstała i odeszła do sypialni. Zamknęła drzwi i już nie wróciła.

Jed zatrzymał się na dole schodów zamyślony. Nie był głupi. Thena lubiła go, ale nie chciała kochać prostego trenera koni.

Nagle usłyszał jej delikatny głos, coś szeptała w sypialni.

– Jestem wdzięczna. – Usłyszał. – Warzywa... dziękuję, babciu. Do widzenia.

Przysunął się cicho do uchylonych drzwi i zajrzał do środka. Odwrócona do niego plecami Thena wyjęła coś ze swojego radia. Jed zmrużył oczy, gdy odgarnęła włosy i robiła coś przy guzikach staromodnej koszuli. Kiedy skończyła, jej ręce były puste. A więc to tu ukrywała element radia.

– Oddaj mi to! – rozkazał. – Albo daj mi klucz do łodzi. Odwróciła się szybko, zaskoczona.

– Odejdź od drzwi, ty szpiegu! Wszedł do środka z zaciśniętymi dłońmi.

– Daj mi ten cholerny klucz do łodzi!

– Ty arogancki kogucie. Rasputin! Godiva!

– O nie, nie uda ci się!

Jed zatrzasnął drzwi od sypialni i rzucił się w stronę okna wychodzącego na werandę. Tuzin strzyżyków odfrunęło ze świergotem, gdy gwałtownie zamknął okno. Odwrócił się do Theny i zbliżył do niej wolno, starannie odmierzając kroki. Ukryła się po drugiej stronie łóżka, patrzyła na niego spoza moskitiery spływającej z sufitu.

– Napad z pobiciem – ostrzegła go.

– Porwanie – przypomniał Jed. – Remis. Oddaj mi ten klucz.

Nauczył ją kilku kowbojskich wyrażeń, teraz wykorzystała jedno z nich.

– Napiętnuj i zwycięż mnie, ale wciąż mogę kasać.

Niezrażony rzucił się przez łóżko z zaskakującą szybkością. Cofnęła się, ale zdołała chwycić ją za jedno ramię. Thena straciła równowagę i Jed gwałtownie pociągnął ją ku sobie. Upadła na łóżko, na pościel i moskitierę zwiniętą w kłębek, trzymając przed sobą ramię w obronnym geście.

– *Sacribleul* – krzyknęła gwałtownie. – Nie!

– Nie chcę tego robić – wymruczał.

Chwycił ją za koszulę na grzbiecie. Podkreślał każde słowo, jego głos był groźny, a uchwyt był coraz mocniejszy.

– Daj – mi – klucz – do – łodzi.

– Prędzej zółwie będą fruwać!

Wszystko stało się błyskawicznie. Rozerwał jej koszulę od góry do dołu. Thena rzuciła się gwałtownie, gdy poczuła na ciele chłód porannego powietrza. Nigdy nie przypuszczała, że Jed rozbierze ją. Jak zwykle nie miała pod spodem bielizny.

– Jedidiah, nie!

– Oddaj mi ten cholerny klucz albo rozbioreę cię do naga!

– Nie.

Podniosła się i usiłowała odsunąć, zasłaniając ramionami. Jed chwycił za przód koszuli i Thena wstrzymała oddech, gdy materiał rozerwał się również z przodu, odsłaniając jej piersi. Pokonana, zawstydzona i wściekła rzuciła mu resztki koszuli wraz z przypiętymi do niej kluczem i częścią radiową.

– Masz! – krzyknęła gorzko. – Weź klucz do łodzi! Wracaj na ląd, jeżeli masz ochotę! Będę szczęśliwa, że wreszcie pozbędę się kogoś tak prowokująco prymitywnego!

Jed nie zwracał uwagi na podarte ubranie leżące na jego nogach. Z nagim biustem, zaczerwieniona, z podwiniętymi pod siebie nogami Thena wyglądała jak naga, złota, dzika kotka z rozpuszczonymi czarnymi włosami. Najbardziej irytująca, najbardziej nieosiągalna i najbardziej pożądana kobieta, jaką spotkał w życiu, była na wyciągnięcie ręki od niego, nie robiła żadnych wysiłków, żeby się osłonić, jakby chciała, żeby patrzył na efekt swojego gwałtownego działania. Zrozumiał powód jej zachowania, kiedy zobaczył w jej oczach dumę, tak silną, że z trudem można było dostrzec inne uczucia – wrażliwość i zawstydzenie. Był to hipnotyzujący widok, chwytający za serce i powodujący wyrzuty sumienia.

– Spójrz na mnie! – rozkazała, trzęsąc się. – Nie będę się chować! Nie jestem pokonana! – Patrzył, jak jej oczy napęniają się łzami. – Dlaczego musiałeś zjawić się na mojej wyspie? Dlaczego nie sprzedałeś jej i nie przysłałeś inwestorów? Mogłabym z nimi walczyć, bo ty... nie walczysz uczciwie. – Łzy popłynęły, kiedy spojrzała na swoją nagość. – Odejdź! Wyjdź!

– Ciii – zamruczał nagle.

Jed chwycił prześcieradło i otulił jej ramiona. Była tak zaskoczona, że przestała płakać. Siedziała nieruchomo jak posąg, podczas gdy Jed ją okrywał. Wyraz jego twarzy napęniał ją smutkiem, że zaniepokoiła go. „To nie ma sensu – powiedziała sobie. – To on mnie skrzywdził”. Była zdezorientowana. Jakiś fluid płynął od niego, niepokojąc ją mieszaniną pożądania, uczucia i udręki.

– Chodź tu, pani wiédźmo – powiedział Jed łagodnie. – Masz, czego chciaeś. Nie musisz

kłopotać się przeprosinami.

– Boże, kobieto, tylko dlatego, że umiesz dobrze mówić, nie musisz mówić cały czas. Zamilknij.

Przesunął się na łóżku bliżej niej i przyciągnął ją do siebie w delikatnym uścisku. Thena chlipnęła, kiedy Jed ręką przycisnął jej głowę do swojego ramienia. Po krótkiej chwili oporu poddała się. Koszula mu się zsunęła i poczuła mrowienie policzka pod wpływem dotyku jego skóry i twardych mięśni.

– Poproś mnie, żebym został w twoim łóżku, dumna mała dziewczynko – powiedział chrapliwie. – Powiedz, że chcesz, żebym tu został nie tylko z powodu wyspy.

Zamiast odpowiedzi Thena zrobiła coś, o czym marzyła od dawna. Uniosła głowę do góry i pocałowała go w policzek, zatrzymując usta na jego szorstkiej skórze i jednodniowym zaroście.

Jed jęknął cicho i obrócił głowę, tak że ich wargi zetknęły się. Zaskoczona Thena zastygła w bezruchu, czując rozlewające się po ciele ciepło. Czuli się tak, jakby zatapiała ją ogromna oceaniczna fala. Chcąc sprawić mu przyjemność i zamaskować swój brak doświadczenia, naśladowała zachowanie aktorek, które widziała na starych filmach. Starła się nadać twarzy obojętny wyraz i pozostawała nieruchomo.

– Pocałuj mnie – poprosił Jed smutnym głosem. – Proszę, pocałuj mnie Theno.

Zdenerwowana i niezdarna Thena zacisnęła wargi i mocno wcisnęła je w usta Jeda. Chciała, żeby został na zawsze. Po chwili Jed odsunął się, marszcząc brwi.

– W porządku, nie musisz udawać – wymruczał. – Jeżeli nie chcesz mnie całować, nie udawaj. Więcej czułości doznałbym od ceglanej ściany.

– Co chcesz... czego ode mnie oczekujesz? – zapytała, czując rosnące uczucie upokorzenia.

– Żebyś zachowywała się jak kobieta, która kocha mężczyznę. Mnie.

Jed nie rozumiał, że to było jej najgorętsze pragnienie. Thena poczuła bolesny skurcz. Nie może się kochać z Jedem, nie ważne, jak bardzo by tego chciała. Byłaby to katastrofa, rozczarowanie, które okryłoby ją wstydem i spowodowało, że Jed straciłby zainteresowanie nią. „Nate przepowiedział to” – pomyślała ze smutkiem. Zainteresowanie, które wzbudza się u innych, pochodzi ze źródła zmysłowości. Niektórzy go nie mają. Jej źródło jest wyschnięte.

Zdesperowana Thena odchrząknęła i spojrzała stanowczo na Jeda. Postanowiła jeszcze raz spróbować, przekonać go, że chce go kochać, jego ciało i jego duszę.

– Chciałabym cię dotknąć. – Wskazała na jego szorty. – Tam.

Niemal zakrztusił się, zaskoczony.

– Nie, dziękuję. Miałem na myśli coś znacznie ważniejszego niż szybkie rozładowanie. I dobrze o tym wiesz.

Podniosła głos, był pełen udreki.

– Jedidiah, nie mogę cię zadowolić, jeżeli grymasisz.

Jed wstał z łóżka, zabierając z niego koszulę Theny. Odpiął od niej klucz do lodzi. Rzucił materiał na podłogę. Jego oczy błyszczały złością.

– Pewnie to zabrzmiało dość zabawnie, biorąc pod uwagę, że mówi to ktoś taki jak ja... ale

mnie interesuje miłość. Ciebie interesuje seks. – Przerwał. – A poza tym bardzo dziwnie się zachowujesz.

Dziwnie. Jej nadzieja rozwiąła się. Tak, była dziwna i była intelektualistką, i nie powinna próbować być kimś innym. Thena cieżniej owinęła się prześcieradłem. Mimo iż był to lipiec, czuła chłód. Czuła się stara, samotna.

– Miło było mieć cię tutaj – powiedziała uprzejmie. – Zostaw łódź w głównej przystani Dundee. Załatwię, żeby ktoś przyprowadził mi ją z powrotem.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia? – zapytał. Ich oczy spotkały się. – Czy nie zamierzasz przyznać, że jest między nami coś wspaniałego i wyjątkowego? Czy nie będziesz dla mnie choć trochę cieplejsza?

Spojrzała.

– Jesteś mężczyzną, a ja kobietą. To powoduje nieuchronną grę hormonów. Jest to najlepsze podsumowanie naszych stosunków. Ktoś odprowadzi mi łódź – powtórzyła Thena. – Najlepiej odplyń od razu. Moja sąsiadka, Beneba, mówiła, że nadchodzi burza – przerwała. – Przypuszczam, że zobaczymy się w sądzie, w sprawie wyspy.

Jed patrzył na nią, zaskoczony milcząc. Potem potrząsnął głową.

– Należysz do tego miejsca, chcesz być samotna. To ci odpowiada.

Thena nie była pewna swego głosu, dlatego tylko skinęła głową w odpowiedzi na tę okrutną uwagę. Jed wyszedł z pokoju. Thena została w łóżku, nasłuchując, gdy zbierał swoje rzeczy i wyszedł przez frontowe drzwi bez pożegnania. I ona, która zawsze lubiła samotność, rozplakała się, ponieważ nie mogła znieść pustki, którą pozostawił po sobie Jed.

Sierpniowe słońce mocno świeciło tuż nad głową Theny. Promienie przenikały przez słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, tworząc kalejdoskop cieni na jej szkicowniku i męskiej twarzy wylaniającej się spod ołówka.

Mocniej wbiła palce u nóg w piasek i zaczęła się wiercić, ostry piasek gryzł ją nawet przez szorty. Była to jedyna rzecz, która rozpraszała i przeszkadzała w znalezieniu podobieństwa rysunku do Jeda. Nie zwracała uwagi na krzyki mew, jednostajny szum fal uderzających o brzeg i szept oceanicznej bryzy.

Narysowała już z tuzin portretów kowboja z Wyoming, który wprowadził zamęt w jej uczucia miesiąc wcześniej. Jego obraz w jej pamięci wcale nie przyblakł z czasem, a raczej stał się wyraźniejszy. Rysowała go siedzącego na końskim grzbiecie, rysowała go z przymrużonymi oczami i uwodzicielskiego jak Clint Eastwood, rysowała go nagiego, dodając z wyobraźni te partie jego ciała, których nigdy nie widziała. Rysowała go ciągle i coraz bardziej za nim tęskniła.

Podskoczyła nagle, gdy usłyszała dalekie poszczekiwanie Godivy i Rasputina. Thena biegła już w kierunku, skąd dobiegały głosy, jej serce łomotało, gdyż dochodziły z zachodu, stamtąd gdzie była położona jedna zatoczka Sancii, gdzie można było lądować. Uświadomiła sobie, że spędzi resztę życia mając nadzieję, że Jed wróci.

Spotkała Cendrillon i psy w polowie drogi do zatoki. Thena wsunęła szkicownik pod pachę, wskoczyła na grzbiet klaczy i cała czwórka ruszyła dalej. O kilka jardów od zatoczki zatrzymała Cendrillon. Zdjęła okulary słoneczne, które zawsze, nosiła na pały i patrzyła na

ładną, dużą łódź, przycumowaną do mola jak nadęty wieloryb.

Czterech gładko ogolonych mężczyzn, ubranych w modne turystyczne ubrania i obciążonych całym sprzętem: plecakami, aparatami fotograficznymi, strzelbami... zbliżyło się do niej po molo. Ostre rozkazy Theny powstrzymały Rasputina i Godivę przed zaatakowaniem gości.

– To pani jest z pewnością wnuczką zarządcy! – zawołał jeden z nich, o wyglądzie otyłego urzędnika, zagubionego bez swojej sekretarki.

– To prywatna wyspa – powiedziała oficjalnym tonem. – Proszę powiedzieć o co chodzi.

Mężczyzna wyciągnął wizytówkę z kieszonki dobrze wyprasowanej koszuli safari. Chciał się zbliżyć do Theny, ale powstrzymało go warczenie psów.

– Nie mogę pozwolić, aby pani zwierzęta zagrażały mojej grupie – poinformował sztywno.

– Nie mogę pozwolić, by pana grupa zagrażała moim zwierzętom. Kim jesteście?

– Jesteśmy od Baylor Michels-Sutton. Z firmy budowlanej.

Niedowierzenie i złość opanowały Thenę.

– Czy wyspa została sprzedana?

– Jeszcze nie. Jesteśmy potencjalnymi kupcami. – Jego oczy pod idiotycznie wyglądającym kapeluszem przyglądały się uważnie Cendrillon. – Czy to jeden z tych dzikich koni, które mają być sprzedane razem z wyspą?

Thena poczuła przerażenie. Czyżby aż tak mocno zraniła ego Jeda, że chce się na niej zemścić w ten sposób? Nie, za bardzo wierzyła w jego dobroć, by przypuszczać, że chce sprzedać konie, zwłaszcza Cendrillon.

– Żaden z tych koni nie jest na sprzedaż – powiedziała lodowatym tonem.

– Obawiam się, że adwokat właściciela stwierdził, iż wszystko poza domem zarządcy i pięcioma akrami wokół niego jest na sprzedaż. Zwierzęta, rezydencja starego Gregga, wszystko. Mamy nadzieję, że oprowadzi nas pani. Chcemy tu trochę zapolować przy okazji.

Thena zmarszczyła brwi, słysząc tę ostatnią uwagę, dała znak Cendrillon która zaczęła się cofać.

– Proszę pozwolić mi wrócić do domu, gdyż muszę założyć odpowiednie buty – powiedziała słodko. – Z przyjemnością będę waszym przewodnikiem.

– Wspaniale! Szukamy miejsca na obozowisko.

Z uśmiechem potakując, Thena obróciła klacz i zmusiła ją do wolnego galopu, psy biegły obok. „Znajdźcie miejsce na obozowisko, moi mili niespodziewani goście – pomyślała ponuro. – Odpocznijcie. Będziecie potrzebowali całej waszej energii, zanim z wami skończę”. Jed przysłał ich i ta jego zdrada sprowokowała ją do ostrej reakcji.

– Dwadzieścia pięć – powiedział leniwie Jed. Opierał się o płot i obserwował zwycięską wyścigową klacz. Bardzo ją chciał mieć i jak zawsze wtedy, gdy czegoś chciał, umiał zachować się z nonszalancją.

– Taa. Proszę sprzedać mi Miss Kitty Can Do za dwadzieścia pięć tysięcy, a ja zapłacę tyle, ile zażadasz za jej utrzymanie do czasu, aż znajdę dla siebie ranczo.

W tle widać było pofałdowane zielone wzgórza rancza Circle Ten, rozciągające się aż do

pokrytych śniegiem górskich szczytów w oddali. Stojący koło Jeda Mac Bullock, właściciel Miss Kitty Can Do i rancza Circle Ten, westchnął ciężko.

– Nie robiłeś takich interesów parę lat temu, kiedy jedynie było cię stać na starego wałacha wartego pięćset dolarów, kiedy miał dobry dzień – przypomniał Jedowi Mac. – Teraz łazisz w butach wartych pięćset. – Uśmiechnął się. – Jednak na Miss Kitty robisz dobry interes.

Jed również się uśmiechnął, wyciągnął rękę, którą tamten uściskał.

– Zmieniłeś się, chłopcze – powtórzył Mac po raz dziesiąty. – Z pewnością.

– Też tak sędzę.

Zmienił się, to prawda. Pracował nad sobą, starając sienie pamiętać, jak wyglądał wcześniej, na co zresztą nie zwracał nigdy uwagi. Kiedy tak szli w milczeniu przez łąki koło stogów siana, Jed zastanawiał się nad tym, co kupił po powrocie, miesiąc temu, z wyspy Sancii do domu. Miał teraz złoty zegarek wart pięć tysięcy dolarów, drogie ubrania. Miał również czarne Ferrari i pięć nowych klaczy, niektóre z nich były więcej warte niż to, co zarobił na rodeo przez całe swoje życie.

Jeżeli pieniądze nie mogły mu dać szczęścia, przynajmniej dawały mu rozrywkę i pozwalały nie myśleć o Thenie. Wśród zakupów były również dwa tuziny książek, wśród których znalazły się: „Tajemnicze wyspy u wybrzeży Georgii”, „Francuski dla początkujących”, „Klasyki filmu” i „Dzieła zebrane Karola Dickensa”. Przekonywał sam siebie, że fakt, iż spędza cały wolny czas, czytając jej ulubione książki, wcale nie znaczy, że ciągle o niej myśli.

Żona Maca, Barbara, tęga brunetka w perkalowych spodniach i, tak jakby był to normalny strój na ranczo, jedwabnej koszuli, wyszła z dużego domu i szła energicznie przez podwórze wymachując ramionami.

– Jed, jeżeli w jakiś sposób nie zawiadomisz hotelu, gdzie jesteś, twój adwokat dostanie ataku hysterii.

– Dobrze mu to zrobi. – Skrzywił się Jed. – Nie ma zbyt wiele ruchu.

– Szuka cię już od dwóch dni. Właściciel hotelu odnalazł cię tutaj. – Barbara wyciągnęła do niego kartkę papieru. – To jest wiadomość, którą zostawił dla ciebie twój adwokat w hotelu: *Kłopoty na wyspie* – przeczytała. – *Moi klienci zostali zaatakowani przez kobietę i jej psy. Kobieta w więzieniu. Psy w więzieniu. Klienci żądają oskarżenia. Proszę się ze mną natychmiast skontaktować.*

Barbara Bullock spojrzała na Jeda z zaciekawieniem.

– Cóż to za dzika kobieta mieszka na twojej wyspie? Jed biegł już w stronę samochodu.

– Taka, którą zamierzam poślubić pewnego dnia! – krzyknął przez ramię.

Miejskie siły policyjne w Dundee, składające się z szeryfa Arenie MacKaya i jego zastępcy Roya Payne, były przyjacielskie i niezbyt rygorystyczne. Tak samo jak miejskie więzienie, w którym, oprócz pięciu cel o białych betonowych ścianach, mieściło się biuro Archiego, pokój widzeń spełniający jednocześnie rolę biura Roy'a i lokalnego miejsca spotkań łoża masońskiej.

Dundee nie miało schroniska dla psów, a Archie był zbyt miłym facetem, żeby wysyłać

Rasputina i Godivę do okręgowego schroniska, pozwolił więc, by dzieliły celę z Theną. Cela jak na standardy więzienne była całkiem miła, miała jednak tylko jedno wąskie okno, do którego umocowano od góry daszek ograniczający dostęp światła.

Stojąc na krześle, Thena mogła prawie wyjrzeć przez okno. Tak jak każdego popołudnia od trzech dni balansowała na solidnym metalowym krześle i przybliżała swoją twarz jak tylko mogła do okna, wdychając świeże powietrze i patrząc na wąski pasek słońca. Rasputin i Godiva leżały z ponurymi minami na podłodze celi i wpatrywały się w okno ze smutkiem, który dorównywał smutkowi Theny.

Bała się, że może pójść do więzienia na kilka tygodni, a może nawet miesięcy. Budowlańcy zeznali, że strzelała do nich. Tak na prawdę, to oddała kilka strzałów w powietrze, ale było cztery do jednego, ich słowa przeciwko jej. Adwokat wyznaczony z urzędu wyjaśnił, na jak długo może być skazana. Nie będzie mogła pokryć jednocześnie kosztów sądowych, kary i leczenia szpitalnego poturbowanych przez Rasputina i Godivę dwóch mężczyzn.

Rasputin i Godiva... najgorsze ze wszystkiego to to, że poszkodowani domagali się uśpienia ich, a adwokat powiedział, że nie można wykluczyć tej możliwości. Jej najdrożsi towarzysze mogą zginąć, płacąc za przestępstwo popełnione na jej polecenie, a właściwie za wykroczenie. Przecież tylko trochę skaleczyły zadki dwóch grubasów.

Thena wytarła łzy płynące po twarzy i osuszyła ręce o żółte spodnie, które nosiła razem z pomarańczową koszulą i sandałami. Chwyciła oburącz parapet okienny i stojąc na czubkach palców starała się podstawić twarz wprost pod promienie słońca.

Usłyszała otwieranie drzwi prowadzących do celi, ale nawet sienie obejrzała ani nie zeszła z krzesła. Roy, okrągłolicy młody łysiejący brunet zachodził do niej systematycznie, oferując sympatię i jedzenie, Thena przypuszczała więc, że to on składa jej wizytę. Czekwała apatycznie, aż jego wysoki głos przerwie ciszę.

– Theno.

Głos nie był w żadnym wypadku wysoki. Jej imię zabrzmiało jak grzmot. Nie mogła pomylić tego głosu.

Thena odwróciła się i zeszła na osłabłych nogach z krzesła. Patrzyła na spokojną, szczupłą twarz i orzechowe oczy, do których widoku tak długo tęskniła. Jedidiah. Rasputin i Godiva podniosły się z podłogi, merdając ogonami, jak gdyby ta trudna sytuacja zmusiła je wreszcie do przyznania, że jest ich przyjacielem.

Ale on nie był przyjacielem. Przysłał przedstawicieli firmy budowlanej. Thena nie poruszała się, nie mówiła nic, czując wściekłość pomieszaną z zaskoczeniem. Jed przyglądał się jej z zaniepokojeniem. Stojący za Jedem Roy uśmiechał się szeroko.

– Mr. Powers spowodował wycofanie skargi! – ćwierkał. – Jesteś wolna! I psy też.

Podszedł i otworzył drzwi celi.

Wolna. To słowo odsunęło wszystkie inne troski na bok, łącznie z zainteresowaniem, dlatego Jed przybył pomóc jej. Thena mimowolnie krzyknęła i podniosła ręce do twarzy. Kiedy drzwi celi otworzyły się, wybiegła wraz z psami. Bez słowa przebiegła krótki korytarz, otworzyła drzwi od pokoju wizyt i wybiegła na światło słońca, świeże powietrze i wolność.

Kiedy Jed wreszcie ją dogonił, klęczała na trawniku przed więzieniem, z twarzą uniesioną ku słońcu i bryzie. Psy tarzały się na trawie, okazując w ten sposób swoją radość.

Jed przysiadł na obcasach tuż koło niej. Thena nie zauważyła jego obecności, z czego był zadowolony, gdyż potrzebował kilku sekund na przełknięcie dławiącej go w gardle grudy. Widok jej w celi próbującej wyrzeć przez okno zranił go. Rozumiał jej tęsknotę za otwartą przestrzenią, wiedział, jaką torturą musiał być dla niej pobyt w więzieniu. Bolało go to. Przeklinał Chestera Portera Thompsona czwartego za decyzję wysłania na wyspę ludzi z firmy budowlanej.

– Pani wieżmo, wie pani jak wpakować się w kłopoty – powiedział łagodnie.

Obejrzała się i spojrzała na niego, jej oczy błyszczały jak dwie srebrne gwiazdy.

– Nienawidzę cię do końca życia.

Nic nie zmieniło się w Jedzie, oprócz wyrazu twarzy, od łagodnego do zaskoczonego.

– Właśnie spowodowałem twoje uwolnienie – przypomniał jej.

Czy nie rozumiała, że był niewinny, że był tutaj, ponieważ ją kocha?

– Ale pozwoliłeś, żebym spędziła trzy dni w więzieniu. To okropna zemsta.

Złość zastąpiła zaskoczenie.

– Nie wiedziałem, co się stało, aż do dzisiaj rano. Kiedy tylko poinformowano mnie o tym, złapałem pierwszy samolot z Cheyenne.

Thena patrzyła na niego zdziwiona. Nagle znów zagotowało się w niej od złości.

– Ale to ty przysłałeś ludzi z firmy budowlanej. – Chciała go zranić tak mocno, jak sama została zraniona. – Jesteś tylko włóczęgą, troszczącym się jedynie o siebie. Jak mogłam kiedykolwiek przypuszczać, że zrozumiesz, iż Sancja jest zbyt piękna, aby ją zniszczyć. Nic nie wiesz o pięknie.

– To mój adwokat ich przysłał. Nawet nie wiedziałem, że przyjeżdżają tutaj, do cholery!

– Twój adwokat prowadzi negocjacje sprzedaży Sancji? – Tak.

– Z twojego polecenia. Wolno, pokonany, skinął głową.

– Tak.

Z niesmakiem obrzuciła wzrokiem jego zmieniony wygląd, fałdziste luźne spodnie, sportową koszulkę z monogramem, błyszczący zegarek i nowe buty.

– Nie wiem dlaczego uważałam, że jesteś wart mojego trudu – powiedziała łamiącym się głosem. – Możesz kupić sukces, ale nie możesz kupić klasy. Twoja matka była z domu Gregg i miała klasę, ale ty nie odziedziczyłeś tego po niej.

To było zbyt dużo. Wielokrotnie słyszał w życiu takie słowa, ale nigdy nie zraniły go one tak mocno, jak te wypowiedziane przez Thenę. Oddał jej cios.

– Widzę, że źle o mnie myślisz – powiedział niskim, wibrującym głosem. – Przeżyję to. Zburzę wszystko na Sancji, a wszystkie konie sprzedam na psie jedzenie, łącznie z Cendrillon.

Oboje nie byli zaskoczeni, kiedy uderzyła go w twarz. Jed podniósł się wolno, prawie nie czując pieczenia policzka, czuł się jak martwy, automatycznie wykonywał ruchy. Thena także wstała, patrząc na niego ze smutkiem. Przez jedną krótką chwilę chciała wyciągnąć do niego rękę. Ale odwróciła się szybko, zawołała psy głosem, w którym wyczuwało się łzy i odeszła

w stronę przystani, w stronę wyspy i swojego życia. Mężczyzna, którego kochała, właśnie obiecał, że wszystko to zniszczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie było nic gwałtowniejszego i wspanialszego nad burze, które przechodziły każdego sierpnia nad wybrzeżem Georgii. Zwykle Thena kochała błyskawice łączące niebo z oceanem, lubiła stać na skraju lasu i czuć uderzenia wiatru na ciele i włosach. Czuła się wtedy bliżej natury, a po burzy była jak nowo narodzona.

Ale burza tej nocy była wrogiem, który wiedział, że była zbyt zmęczona i załamana, żeby opierać się jego sile. Myślała tylko o chwili, kiedy widziała Jeda w Dundee, o tym, że ranili się wzajemnie. Burza przestraszyła konie na wyspie i kiedy Thena wyjrzała przez okno, zobaczyła małe stadko zgromadzone w lesie koło jej podwórza. Cendrillon przyprowadziła je w miejsce, które uważała za bezpieczniejsze od innych.

Widok koni nappełnił ją miłością do nich i strachem o ich przyszłość, tę bliską i tę daleką. Niosąc dużą latarnię, wyszła na zewnątrz na zimny, smagający deszcz i poszła do stada. Większość koni znało ją, pozwalały dotykać się i przyjmowały pieszczoty. Inne, z szeroko otwartymi oczami pod mokrymi grzywami, cofnęły się nieco w głąb lasu, obserwując ją z niepokojem. Stała długo, opierając głowę o ciepły kark Cendrillon.

Nagle potężna błyskawica rozdarła niebo. Thena chwyciła kantar Cendrillon i krzyknęła, kiedy grom uderzył w ogromny dąb stojący dwa tuziny jardów dalej. Patrzyła z przerażeniem, jak drzewo rozdarło się od korony do korzeni, a jego połówki upadły w przeciwnych kierunkach, miażdżąc mniejsze drzewa i palmy.

Oslabła z przerażenia Thena uniosła do góry latarnię. Wstrzymała oddech i podbiegła, kiedy światło ukazało jej szarego jednorocznika uwięzionego w gałęziach zniszczonego drzewa.

– Uspokój się, *ma petite* – uspokajała, głaszcząc kark żrebaka.

Wydawało się, że nie był zraniony, tylko unieruchomiony. Ale rozstawił z niepokojem nogi, i Thena wiedziała, że może się sam pokaleczyć. Patrzyła z niepokojem na drzewo. Gałęzie miały niemal stopę średnicy. W stodole miała tylko starą, tępą siekierkę, nie mogła więc ich obciąć. Pobiegła szybko po starą uprząż i łańcuchy, przywiezione na wyspę jeszcze przez dziadka. Kiedy z nimi wróciła, założyła uprząż na Cendrillon i przymocowała łańcuchy.

Wydawało się jej, że minęły godziny, zanim umocowała łańcuchy do drzewa. Szary żreback leżał spokojnie, od czasu do czasu szamotał się jednak, aż do chwili, gdy był zbyt zmęczony, żeby się ruszać.

Wyczerpana, oddychając ciężko i ocierając pot lejący się z niej strumieniami, Thena podeszła do Cendrillon i chwyciła dłonią jej uprząż.

– Ciągnij, *cherie*, ciągnij!

Małe podkowy Cendrillon zaryły się w ciężkiej ziemi. Wygięła kark, jej nogi napięły się z wysiłku. Gałęzie drzewa posuwały się o stopę, przesuając się z brzucha żrebaka na jego zad. Zarżał z przerażenia i zaczął się gwałtownie miotać.

– Spokojnie, nie ruszaj się! – zawołała do niego Thena.

Odczepiła łańcuchy, uwalniając Cendrillon, potem podbiegła do żrebaka i przyklękła

przy nim, usiłując wyplątać jego nogi z gałęzi.

– Jakoś cię z tego wyciągniemy! Musi być jakiś sposób... Potworny grzmot niemal ogłuszył ją. Żrebak podniósł się na przednich nogach i upadł. Thena otoczyła ramionami jego szyję i usiłowała go przytrzymać. Wiatr był bardzo gwałtowny i Thena skuliła się, kiedy mierzająca dwieście stóp sosna zwała się na stodołę.

Trudno było myśleć rozsądnie w takiej zawierusze. Thena krzyknęła nagle na myśl, co przeszła Sarah Gregg, o jej strachu i desperacji, gdy niemal czterdzieści pięć lat wcześniej usiłowała ratować swoje araby przed huraganem. H. Wilkens znalazł ją przywaloną podobnym drzewem ze złamanym kręgosłupem. Theny serce łomotało, gdy patrzyła na chwiejące się gwałtownie w świetle latarni dęby.

– Sarah! – krzyknęła, jak gdyby szukając pomocy. – Sarah!

Wiatr wył. Thena przycisnęła twarz do mokrej grzywy żrebaka i położyła dłonie na jego oczach, usiłując zasłonić je przed deszczem. Psy przyczołgały się do niej, Cendrillon stała na skraju światła latarni, parszając i podskakując za każdym razem, gdy dochodził z lasu trzask łamanych gałęzi.

Kilka minut później usłyszała przez hałas jakiś powtarzający się dźwięk. Wyteżyła wzrok, patrząc w ciemność, Cendrillon odwróciła się i również spoglądała w tym kierunku. Psy powariowały, ale nie słychać było w ich głosach złości. Hiena patrzyła na nie zaskoczona ich powitaniem. Kiedy ponownie spojrzała w stronę dziwnych dźwięków, wstrzymała oddech.

W świetle latarni pojawiła się postać ubrana w żółtą, nieprzemakalną kurtkę z kapturem. Zanim kaptur opadł na plecy, Thena rozpoznała rysy Jeda. Poczula nagle pewność. Tb Sarah przyciągnęła swojego wnuka do domu. Z jakiego innego powodu mógł się znaleźć o tej porze na wyspie?

– Jedidiah!

Przyklękął koło niej, wpatrując się w jej twarz. Chwycił ją za ramiona.

– Czy jesteś ranna?! – krzyknął. Potrząsnęła przecząco głową.

– Ale Cendrillon nie może odciągnąć drzewa, które przywaliło żrebaka! Potrzebuje pomocy!

Puścił jej ramiona, przesunął dłońmi po jej twarzy, odrzucił mokre włosy i przyglądał się uważnie, jakby się upewniając, że nic jej nie jest. Ściągnął kurtkę i okrył nią jej ramiona, potem wstał i podszedł szybko do Cendrillon. Thena gładziła głowę żrebaka, podczas gdy Jed obrócił klacz i ponownie przyczepiał łańcuchy.

Tym razem Jed ciągnął razem z klaczą. Thena podniosła się i odciągała gałęzie z zadu żrebaka. Ogromne konary posuwały się cal po calu. Po pięciu minutach uwolniony żrebak zerwał się na nogi i pogołopował energicznie do lasu.

Thena zataczając się podeszła do Cendrillon i pomogła Jedowi odczepić łańcuchy i zdjąć uprząż. Potem poklepała jej kark i krzyknęła:

– Biegnij za swoim przyjacielem i pilnuj, żeby znów nie wpędził się w kłopoty!

Cendrillon pokłusowała do ciemnego lasu, przez chwilę widać było jeszcze jej jasny ogon.

Thena spojrzała na Jeda. Oddychała ciężko i dopiero teraz zaczęła do niej docierać świadomość jego nagiego pojawienia się. Ciemne włosy Jeda były mokre i oblepiały mu głowę, dyszał równie ciężko jak ona. Patrzyli na siebie przez kilka sekund bez słowa. Wreszcie Jed pochylił się i podniósł latarnię. Weszli na werandę, gdzie czekały już psy, które schowały się tam, gdy napięcie minęło.

Czy jednak minęło? Burza wprowadziła cichłą, ale były również inne huragany. Thena usiadła na stopniach werandy. Jed usiadł obok niej. Patrzyła z zaskoczeniem na brudne coś, co jeszcze niedawno było parą jego eleganckich butów. Mokre spodnie i sportowa koszula oblepiały jego atletyczne ciało.

Jed przesunął ręką po włosach i zastygł pod jej wzrokiem oceniającym ruinę jego wyglądu.

– Bez klasy – powiedział rzeczowo. – Tak, jak powiedziałaś.

Thena opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

– Jakiego wariata udało ci się wynająć do przewiezienia cię nocą, w czasie burzy na Sancię?

– Farlo. Kogóż by innego? Ale burza jeszcze się nie zaczęła, gdy opuszczaliśmy Dundee. Przejście od twojej przystani tutaj zajęło mi prawie godzinę.

– Dziękuję ci za to, co zrobiłeś. – Thena usiłowała jakoś uporządkować sobie to, co się wydarzyło. – Pomogłeś uratować konia, którego masz zamiar zmienić w psie jedzenie.

– Do diabła!

Rozgoryczenie w jego głosie przekonało ją, że to, co powiedział wcześniej o koniach, nie było powiedziane poważnie.

Thena opuściła dłonie i spojrzała na niego, domagając się wyjaśnień.

– Dlaczego tu jesteś? Czego chcesz tym razem? Skrzywił usta z niesmakiem.

– Tb moja wyspa i wydaje mi się, że mogę ją odwiedzać wtedy, gdy mam na to ochotę.

– Po ciemku, w czasie burzy?

Jej napastliwość wyprowadziła go z równowagi. Krzyknął.

– Tak, do cholery, po ciemku i w czasie burzy! Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej jakiś dokument, który wręczył jej sztywno.

– Akt darowizny – powiedział chrapliwie. – Weź go. Ta góra muszli i cała reszta nie są już moje. Tylko twoje.

Thena patrzyła na niego zszokowana, nie mogąc wydobyć słowa. Z pobladła twarzą, czując się tak, jakby za chwilę miała się rozplakać, wzięła papier i spojrzała na niego. To prawda. Niewiarygodne, ale to prawda. Sancia była jej.

– Dlaczego, Jedidiah?

Jej głos był cichy i łamiący się. Nie mogła spojrzeć na Jeda. Nie mogła myśleć.

– Chcę, żebyś coś zrozumiała – odpowiedział dumnie. Thena spojrzała na niego i zobaczyła godność i poczucie własnej wartości na jego twarzy. – Mam klasę. Umiem docenić piękno, kiedy je widzę. Widziałem je w Wyoming, w górach, które były tak piękne, że wyciskały łzy, i na preiach, które biegły w nieskończoność, tak że tylko niebo stanowiło dla nich granicę. I zobaczyłam je tutaj. Nie rozumiem tego rodzaju piękna, ale wiem, że jest

czymś szczególnym. Dobrze wiesz, że nie mógłbym zrobić tych wszystkich rzeczy, o których mówiłem dziś rano. Nie mogę skrzywdzić tego miejsca... i nie mogę... skrzywdzić ciebie.

Wstał, zszedł po stopniach werandy, odwrócił się i spojrzał na Thenę. Deszcz przeszedł w mżawkę, która zwilżała jego twarz i włosy.

– Jestem głupcem i możesz śmiać się z tego, kiedy odejdę. Zostawiłem w przystani sprzęt turystyczny. Zostanę tam przez noc, a rano przyplynie po mnie Farlo. – Kiedy chciała coś powiedzieć, podniósł ostrzegawczo rękę. – Nie dziękuj mi. Nie chciałem wdzięczności, kiedy zdecydowałem się dać ci wyspę. Zawsze należała do ciebie. Teraz jest to oficjalne.

– Przerwał, wydawał się teraz nieszczęśliwy. – Jeżeli chcesz mi nawymyślać, to nie rób tego. Poprzednie wymyślanie wystarczy mi na długo.

Thena uderzyła pięściami w kolana.

– Wybrałeś zły moment na gadulstwo!

Zerwała się i zbiegła po schodach, zanim zorientował się, co się dzieje, objęła go ramionami i przytuliła, przytuliła tak, jakby nigdy nie chciała go puścić. Jed niepewnie podniósł rękę i dotknął jej ramienia.

– Nie musisz robić niczego w zamian – wychrypiął, usiłując ją odepchnąć. – Nie rzucaj się na mnie z wdzięczności.

– Ty uparty kowboju. Rzucam się na ciebie, bo tęskniłam za tobą i kocham cię! – Thena odchyliła głowę i spojrzała na niego z niepokojem. – Chciałam, żebyś wrócił. I nie miało to nic wspólnego z wyspą. – Potrząsnęła go za ramiona.

– Chodziło o mnie, Jedidiah. Ty i ja to jedno.

Jego ramiona wolno otoczyły ją, podczas gdy patrzył w jej srebrne oczy.

– Kochasz mnie? – zapytał niepewnie.

Niepewna, czy Jed uważa to za dobre, czy złe, Thena usiłowała być rzeczowa.

– Natychmiastowa reakcja chemiczna może być wyjaśniona jako zwyczajny popęd seksualny, ale duchowe porozumienie między nami jest czymś wyjątkowym. – Zawahała się, niepewna co ma oznaczać dziwny wyraz, który pojawił się w jego oczach. – Czy chcesz tego rodzaju więzi, Jedidiah? Silnej i trwałej?

Jego słowa, proste i płynące z głębi serca, spowodowały, że patrzyła na niego z zachwytem.

– Myślę – wymruczał – że moim przeznaczeniem jest iść tam, dokąd ty idziesz i kochać cię przez resztę mojego życia.

Oszołomiona Thena zamknęła oczy. Miała Sancię i Jeda. Tb było niewiarygodne. Gdy Jed pocałował ją, zeszywniała ze strachu. Tb rzeczywiście było niewiarygodne. I niemożliwe. Wiedziała jak kochać, ale nie wiedziała nic o miłości fizycznej i nic nie mogło zastąpić tego braku. Thena odchyliła głowę, uciekając przed jego pocałunkiem i zobaczyła poszarzałą twarz Jeda.

– Co zrobiłem źle tym razem? – zapytał cierpko. – Po prostu powiedz mi. Nigdy wcześniej nie miałem takich problemów i nie chcę zniszczyć tego, co do mnie czujesz.

Thena poczuła ogromny podziw. Żaden inny mężczyzna na świecie nie zachowałby się tak wspaniałomyślnie jak Jed.

– Zejdźmy z deszczu, Jedidiah.

Wysunęła się z jego objęć i weszła z powrotem na werandę, była czerwona i zdenerwowana. Jed pospieszył za nią, jego twarz wyrażała zaniepokojenie.

– Możesz zostać w sypialni na piętrze – powiedziała tak lekko, jak tylko umiała. Jed szedł za nią, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. – Chodź, dam ci te same stare ciuchy, które tak bawiły cię poprzednio. Jak tylko osuszymy się, zrobię herbaty...

– Czy jesteś aż takim tchórzem, że nie chcesz powiedzieć mi prawdy? – Jego głos był niski i twardy. – Właśnie powiedzieliśmy sobie, że się kochamy. Teraz zachowujesz się jak ktoś obcy. Jesteś mi winna prawdę.

Thena roześmiała się niepewnie i odwróciła, by spojrzeć na niego.

– Że lubię widzieć cię w starych ubraniach mojego ojca? Dobrze, przyznaję. Widok, jaki prezentują twoje owłosione łydki w podwiniętych nogawkach...

– Theno, na miłość boską, jeżeli nie chcesz się kochać ze mną, powiedz mi to, i niech to wreszcie będzie za nami.

Cofnęła się i potrząsnęła głową.

– Czy musimy o tym mówić właśnie teraz? A co z romantycznością? Przyjaźnią?...

– A co ze strachem? – Wpadł jej w słowo. – Boisz się mnie, a to boli. Chciałbym się z tobą kochać. Za każdym razem kiedy mnie dotykasz, wyobrażam sobie, jak by to było, za każdym razem, kiedy patrzysz na mnie, za każdym razem, kiedy jestem blisko ciebie i czuję zapach twoich włosów i skóry... Śnię o tobie w nocy. Śnię, że trzymam cię w ramionach, budzę się gotów do miłości.

– Och, Jedidiah, nie! – wyszeptała. – Nie zasługuję na takie pożądanie.

Ale sprowokowana jego słowami czuła, że chce być tak pożądana i chce wiedzieć jak spełnić jego marzenia. Jed uparcie kontynuował.

– Theno, najlepsza miłość na świecie to połączenie miłości romantycznej, przyjaźni i uciech łoża. Możemy to mieć. Czy nie chcesz tego?

– Ależ tak.

Weszła do kuchni, trzęsącymi się rękami wzięła ściereczkę do naczyń i udawała, że jest pochłonięta wycieraniem włosów.

– Jestem zaszokowana, Jedidiah. Właśnie dałeś mi wyspę za Bóg zapłać. Nie umiem myśleć o tobie i wyspie jednocześnie.

Jej serce podskoczyło, gdy usłyszała stuk butów Jeda przechodzącego przez pokój. Stał tuż za nią, czuła jego zaskoczenie i zdenerwowanie.

– Ten profesor, Nate Gallagher – zaczął obojętnym głosem. – Przypuszczam, że nikt ci go nie zastąpi. Czy o to chodzi? Nie możesz dotknąć mnie, nie myśląc o nim.

– Nie, to nie to. Bardzo mi zależało na Nate. Podziwiałam go za mądrość, znajomość filozofii, ciekawość i kreatywność. Ale to nie było... to nie było to samo uczucie, co między nami.

„Nate nie chciał mnie – dodała w myśli. – Nigdy nie umiałam sprawić, żeby zechciał. I nigdy nie pragnęłam go tak, jak ciebie”.

– To mi nic nie wyjaśnia, poza tym, że zaczynam się zastanawiać, czy był ktoś oprócz

niego.

– Nie.

Szybko odwróciła się, machając rękami, bardzo bliska odkrycia wszystkiego o swoim wstydzie. Patrzyła w podłogę.

– Nie było nikogo. Spotkałam Nata, jak miałam osiemnaście lat. Był tylko on. – Podniosła ostrożnie oczy i spojrzała na Jeda. – I ty.

Starął się nie okazać zaskoczenia. Teraz odkrył przynajmniej część jej tajemnicy. Niewiedza. Nie wiedza o tym, jak żyje reszta świata, ale o mężczyznach. Poczul się jak Sir Galahad. Przechylił głowę na jedno ramię i najdelikatniej jak umiał, zapytał:

– Czy zranił cię? W łóżku? Czy boisz się tego samego ze mną?

Potrząsnęła głową i, bliska załamania, szepnęła.

– Nie.

Jed zrobił krok naprzód i Thena gwałtownie chwyciła skraj zlewu za sobą, czuła się jak w pułapce. Staął. Wyglądała tak, jakby chciała znaleźć się jak najdalej od niego. Jed pokonał dzielący ich dystans dwoma krokami i chwycił ją za ramiona. Zobaczył rozpacz w jej oczach.

– Czego się boisz? – zapytał.

– Niczego.

– Kobieto! Powiedz mi! Po prostu powiedz mi!

– Czy musimy się kochać? Czy to takie ważne...

– Ważne jest, żebyś powiedziała mi, co jest nie tak, żebyśmy mogli sobie jakoś z tym poradzić!

– Boję się, że cię rozczaruję! Nie umiem się kochać! – wyrzuciła z siebie i ukryła twarz w dłoniach.

– O, co do diabła...

– Nie umiem – powtórzyła ze łzami. – Już cię rozczarowałam. Sposobem, w jaki cię całowałam, a raczej nie całowałam.

Podniosła głowę i mówiła dalej, patrząc na jego pełną niedowierzania twarz.

– Czy nie rozumiesz? Niektórzy ludzie nie nadają się do związków fizycznych. Są ludźmi myśli – nie czynu.

Po długiej chwili Jed zapytał:

– Czy z Natem byłaś „człowiekiem czynu?”

– Nie... niezupełnie. Dowiedziałam się od niego, że niektóre kobiety, takie jak... no, Sophia Loren... mają uzdolnienia fizyczne. Inne, tak jak ja, mają zdolności intelektualne. Nie podniecam mężczyzn. Z wyjątkiem ciebie, ale ty jesteś kimś specjalnym. – Thena spojrzała żałośnie na niego. – Nie mam takich wrodzonych uzdolnień, jakich oczekuje się od kobiety. Nie sądzę, aby pójście ze mną do łóżka uczyniło cię szczęśliwym.

Jed puścił ją, odwrócił się i odszedł, opuścił głowę w zamyśleniu, ręce oparł na biodrach.

– Odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie – powiedział wolno – abym wreszcie zrozumiał to wariactwo. Czy ty i profesor kochaliście się?

– Nie.

– Czy kochałaś się kiedykolwiek z kimś?

Thena poczuła jak opuszczają ją resztki odwagi. Nie zostało jej już nic do obrony.

– Nie, jestem dwudziestopięcioletnią... dziewicą.

Jed przez chwilę rozważał, to co usłyszał. Wreszcie, ciągle odwrócony do niej plecami, powiedział:

– Załóż jakieś suche ubranie. Muszę chwilę się zastanowić.

Thena stłumiła szloch. Był zaskoczony i rozczarowany, tak jak przypuszczała.

– Oczywiście – wymruczała.

Szybko minęła go, weszła do swojej sypialni i zamknęła drzwi.

Bała się wracać do głównej części domu, dlatego nie spieszyła się. Słyszała, jak Jed poszedł po schodach na górę, a po kilku minutach wrócił. Słyszała, jak kręcił się po kuchni, potem zagwizdał czajnik.

Thena założyła lekką, niebieską, bawełnianą sukienkę. Była to jej najwygodniejsza sukienka i czuła się w niej nieco pewniej. Z powodu kolorowych haftów wyglądała w niej jak prawdziwa królowa puszczy. Tej nocy sukienka w niewielkim stopniu mogła poprawić jej nastrój, a zwykle miękki materiał ocierał szorstko jej piersi, gorące i delikatne.

Na bosaka, z rozpuszczonymi włosami, wyszła wreszcie z sypialni stanęła zaskoczona. Salon był ciemny, oświetlała go jedynie lampka do czytania umieszczona z boku sofy i światło nad kuchennym zlewem. Jed przygotował herbatę. Był również bosy, miał na sobie jedynie białe spodnie z podwiniętymi nogawkami.

Serce Thany załomotało mocno na widok jego nagich, silnych pleców, wyrzeźbionych latami ciężkiej pracy, mocnych, owłosionych ramion, szczupłej talii i silnych ud. Co się tutaj dzieje? Uwodzenie? Czy Jed nie słyszał tego, co o sobie powiedziała?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jed odwrócił się z gracją, obrzucił ją wzrokiem i kiwnął głową w stronę sofy.

– Usiądź, pani czarownico.

Usiadła. Jed przyniósł dwie filiżanki parującej herbaty, unosząca para wydawała się podkreślać każdy szczegół jego męskiego ciała. Usiadł w rogu sofy, z zapartym tchem Thena zauważyła, że był to nieoświetlony kąt, i skinął w jej stronę głową.

– Chodź tutaj – powiedział łagodnie. – Chcę cię objąć. Puls Theny zaczął szybciej bić. Mimo że jego głos był jej dobrze znany, to w jego oczach palił się dziwny płomień. Ale mogła wreszcie stwierdzić, że nie czuł się źle z powodu tego, co mu wcześniej powiedziała, a tylko to miało znaczenie. Thena wsunęła się pod jego uniesione ramię, wzięła od niego filiżankę i nie odrywała od niej wzroku, podczas gdy on obejmował ją. Szorstkość jego palców, które teraz masowały jej odkryte ramię, powodowała dreszcze. Odwróciła głowę, żeby móc na nie popatrzeć. Znała każde ich zgrubienie i bliznę. Z miłością uczyła się ich na pamięć.

Wydawało się, że Jed nie ma ochoty na rozmowę i Thena przystosowała się do jego nastroju. Przełknęła łyk herbaty, zerknęła na niego, po czym szybko odwróciła głowę.

– Przepraszam za to, co dziś powiedziałam – szepnęła. – Obwniałam cię za wszystko. Nie miałam racji. Słowa, jakimi cię obrzuciłam...

– To była pomyłka. Zapomnij o tym.

– Jedidiah, wcale tak nie myślałam. Jed westchnął głęboko.

– Chcę być z tobą szczerą.

Przyciągnął ją delikatnie do siebie i długo, cicho opowiadał jej o sobie. Tłumaczył, jak dziwnie czuje się w roli milionera. Nie był przyzwyczajony do podróżowania samolotem, zatrzymywania się w wielkich hotelach, jadał w restauracjach. Nigdy nie czuł się dobrze wśród ludzi, do których dostęp otwierały mu jego pieniądze, denerwował się zarządzaniem majątku, mimo że miał doradcę prawnego, rachmistrza i maklera giełdowego do pomocy.

Thena wyczuła, że nie było mu łatwo przyznać się do zmartwień i braków, poczuła, jak rośnie w niej czułość i potrzeba chronienia go. W tak wielu rzeczach był silny, że ta jego delikatna strona czyniła go bardziej ludzkim i bardziej godnym miłości. Odprężyła się i oparła mocniej na jego ramieniu. Wiedziała, że jego zwierzenia mają na celu rozluźnić ją i nie chciała się temu przeciwstawiać.

– Nate – powiedział łagodnie. – Chcę o nim usłyszeć. Hiena znów poczuła napięcie. Po długiej chwili odkaszlnęła i powiedziała:

– Musisz zrozumieć, dlaczego nie chciałam cię dotykać albo całować. Próbowalam robić to z Natem, ale nigdy nie wychodziło to tak, jak. opisywali w książkach.

– Czasami wydaje mi się, że za dużo czytasz. Nie wszystkiego można się nauczyć z książek. Lub z filmów.

Thena przełknęła herbatę, ale przestała jej już smakować. Zbyt była rozproszona słowami Jeda, a także jego zapachem, ciepłem jego palców, ciała, blaskiem w jego oczach. Starła się

wydusić z siebie jakieś informacje o Nacie.

– Dużo pił – wykrztusiła wreszcie. – Był ode mnie starszy o piętnaście lat. Był raz żonaty, dawno.

– Jak dużo pił? Westchnęła.

– Niewątpliwie był zaawansowanym alkoholikiem. Ale był błyskotliwym człowiekiem, umiał się kontrolować, nigdy nie dopuszczał, żeby widziano go pijanego. Tylko niewielu ludzi znało prawdę.

– I ten elegancik powiedział ci, że nie jesteś sexy? Kiwnęła głową.

– Nie był złośliwy. Był bardzo logiczny. A ja potwierdzałam jego podejrzenia. – Spojrzała na Jeda z determinacją. – Upokarzałam się wielokrotnie, chcąc, aby... kochał się ze mną. Nigdy mi się nie udało. Inne kobiety na pewno odniosłyby sukces.

– Żaden inny mężczyzna nie oparłby ci się. Thena spojrzała na niego z ukosa.

– Jeżeli dajesz do zrozumienia, że nie był normalny, to nie jest to prawdą. Nate wyglądał jak Richard Burton, miał ogromnie dużo uroku. Zawsze flirtował z kobietami na lądzie. Uwodziły go jak szalone.

– To wcale nie znaczy, że był w porządku. Czy pozwolił się którejś złapać?

– Nie, nie interesowały go te, jak mówił „seksualne związki”. Był zawsze lojalny wobec mnie.

– Jak to okazywał?

– Pisał dla mnie wiersze. Trzymał mnie za rękę. – Zamrugła powiekami, bolesne wspomnienia powracały. – Czasami zasypiał na plaży, kiedy razem czytaliśmy. Ja... kładłam się wtedy obok, a on obejmował mnie ramieniem. Przytulał mnie i trzymał mnie w objęciach. Czasami całowała mnie w czoło. – Przełknęła duży łyk herbaty. – Zawstydzona mówienie ci o tym, Jedidiah.

– Nie powinnaś się wstydzić. Chcę, żebyś mi opowiedziała o tym, co było pomiędzy tobą i Natem. Wydaje mi się, że rozumiem go lepiej niż ty.

Wyjął jej filiżankę z dłoni i postawił na podłodze obok swojej. Chwycił jej dłoń i mocno ścisnął. Jego oczy nie były już obce, były pełne zrozumienia.

– Nate kochałby się z tobą... – Uniósł jedną brew. – gdyby mógł.

– Och, nie myślisz...

– Alkoholicy najczęściej nie mogą. Mój ojciec nie mógł przez ostatnie lata. Lekarz powiedział, że to z powodu pijaństwa. Albo przestaniesz pić, albo musisz obyć się bez kobiet, tak mu powiedział. Ojciec stwierdził, że dziewczyny bez alkoholu to żadna przyjemność i pił dalej.

– Czy sugerujesz, że Nate po prostu chronił w ten sposób swoją męską dumę?

– Tak. Wierz mi. Lepiej znam naturę człowieka niż ty. A zwłaszcza mężczyzny.

Zamrugła szybko powiekami, zastanawiała się. Wreszcie potrząsnęła głową.

– To możliwe, ale...

– To najprawdopodobniejsze. – Uniósł jej brodę i patrzył prosto w oczy. – Nate zastraszył cię. Z tobą jest wszystko w porządku.

– Nie umiem się nawet całować – przypomniała mu. Oddychała z takim trudem, że

wydawało się, iż zaraz zemdleje. – Czy chcesz powiedzieć, że chętnie będziesz nauczycielem? Że nie jesteś rozczarowany i zaskoczony? Czy znasz jeszcze jakąś dwudziestopięcioletnią dziewicę?

Miłość do Theny zrobiła z Jeda nowego człowieka, sprawiła, że był gotów robić rzeczy, o których wcześniej mu się nie śniło. Nigdy nie myślał o sobie jako o ekspercie w miłości, ale teraz chciał dawać szczęście, a nie tylko brać je.

– Piękna pani, będę szczęśliwy mogąc cię uczyć – szepnął, jego oczy były wesole. – Nie jestem rozczarowany tym, że jesteś dziewicą. Żałuję tylko, że nie powiedziałaś mi tego miesiąc temu.

– Wstydziałam się.

– Nie masz się czego wstydzić. Nie jesteś stara, i... – Przestał żartować i dokończył poważnie. – Zanim minie ta noc, przypuszczam, że już nie będziesz dziewicą. To znaczy, jeżeli będziesz chciała się ze mną kochać.

– Tak, chcę spróbować.

Jej oczy były pełne łez, a w głosie brzmiała determinacja. Jed uśmiechnął się, chciał przełamać jej śmiertelnie poważny stosunek do tego wszystkiego.

– Wszystko będzie dobrze.

Zaczął ją całować, najpierw w czoło, na linii włosów, potem coraz niżej, coraz bliżej ust.

– A jeżeli będę złą uczennicą, to co wtedy? – Niepokój w jej głosie był tak szczerzy, że Jed mocniej przyciągnął ją do siebie. – Czy zniszczę wszystko? Czy będziesz uczciwy i powiesz mi, że ocena Nata była słuszna?

Jed potarł policzkiem jej policzek.

– Kwiatuszku, mylisz się – szepnął jej do ucha. – Nie możesz dostać u mnie dwóci, ponieważ nie stawiam stopni. Nie ma żadnych kryteriów oceny. Robisz to, co sprawia ci przyjemność, a to samo sprawia przyjemność mnie.

– To brzmi zbyt prosto – zaprotestowała.

– Spróbuj. Pocałuj mnie. Pocałuj tak, jak masz na to ochotę. Wysil trochę wyobraźnię.

Thena patrzyła na niego niepewnie, zaczerwieniona, z otwartymi ustami. Jego oczy patrzyły na nią szelmowsko.

– Zrób to – prowokował ją. – Chcesz to zrobić. Wiesz, że chcesz.

– Drażnisz się ze mną – zaprotestowała, mocniej przytulając się do niego.

Jego głos brzmiał jak cichy, daleki grzmot.

– Kocham cię. Widzę słodki wyraz twoich oczu i wiem, że ty też mnie kochasz. Nie znamy się długo, ale to nie ma znaczenia, ponieważ jesteśmy jednym, tak jak to powiedziałaś wcześniej. Jesteśmy upartymi samotnikami z niedobrymi wspomnieniami, uparcie szukającymi tej jedynej drugiej osoby, o którą można by się troszczyć. Z tym wszystkim seks, który tak bardzo cię niepokoi, wcale nie jest najważniejszy.

Thena jęknęła z zadowolenia i pocałowała go w kącik ust. Patrzyła na niego spod na wpół przymkniętych powiek.

– Czy mogę robić ci to, co sprawia mi przyjemność, JeAdiah?

– Tak, ale najpierw musisz pocałować drugi kącik – powiedział udając nieśmiałość. –

Inaczej będę krzywy. – Thena pocałowała. – Nie ma górnej granicy pocałunków, jakie jestem gotów przyjąć.

Umieścił się wygodniej na sofie i delikatnie gładził ją po plecach, podczas gdy Thena pokrywała całą jego twarz pocałunkami. Jej oddech był coraz szybszy, pocałunki były coraz gwałtowniejsze i nagle jej ręce powędrowały do jego piersi.

– Nieźle. – Jed zapewnił ją, usiłując udawać nonszalancję.

– Gdzie chcesz, żebym cię dotknęła? – zapytała schrypniętym głosem.

Wskazał środek swojej piersi. Thena wsunęła palce w gąszcz kręconych włosów i dotknęła skóry.

– I tu. – Jed wskazał dołeczek między obojczykami u podstawy szyi. – Wydaje mi się – dodał z uśmiechem – że pocałunek w tym miejscu byłby bardzo przyjemny.

Thena pochyliła głowę i pocałowała go tam. Czuła jak jego puls bije coraz szybciej pod jej ustami. Czuła męski zapach jego skóry. Nie mogła się powstrzymać przed wysunięciem języka i sprawdzeniem, jak smakuje gorąca skóra. Jed jęknął, Thena podniosła szybko głowę i zastygła nieruchomo.

– Czy zrobiłam coś złego?

– Tak. Za szybko skończyłaś. – Uśmiechnął się do niej, a ona dopiero teraz zauważyła, że jest równie czerwony jak ona. – Theno, kochanie, nie ma złego lub dobrego sposobu na robienie tych rzeczy. Słuchaj, nie masz chęci ugryźć mnie albo zrobić coś równie bolesnego? – Thena potrząsnęła przecząco głową. – W takim razie nie martw się i rób to, na co masz ochotę. – Oparł głowę na oparciu sofy. – A ja się przygotuję na rozkoszowanie się tym.

Jego żarty i zapewnienia spowodowały, że przestała się zastanawiać, czy to co robi, robi dobrze czy źle. Wzięła jego twarz w dłonie i mocno pocałowała w usta. Jego usta rozchyliły się i jej język napotkał mocny język Jeda. Thena zupełnie naturalnie, jakby już od dawna wiedziała, co należy robić, zaakceptowała tę pieszczotę. Nagle się odsunęła śmiejąc się. Otoczyła ramionami jego szyję i przytuliła go.

– Tb wspaniałe! PO protu wspaniałe! Nie miałam pojęcia! Jed roześmiał się z zadowoleniem.

– Jeszcze niewiele poznałaś.

– Poczekaj! Chcę to zrobić jeszcze raz!

Tym razem pocałunek trwał minutę. I nagle przestała to być tylko zabawa. Oboje spoważnieli, ramiona Jeda otoczyły jej talię, uczył ją sposobów całowania, o których nigdy nie czytała w książkach. Było w nim coś władczego wyczuwała tajemnicze pożądanie, które mogłoby być przerażające, ale nie było. Thena nie tylko rozumiała to, ale sama odczuwała coś podobnego.

Nie pamiętała, kiedy zmieniła pozycję, ale nagle zdała sobie sprawę, że siedzi mu na kolanach. Jej wargi nie były sztywne z niepewności, wprost przeciwnie, były miękkie i ruchliwe, obejmowały usta Jeda i same dawały się łapać jego wargom.

– A więc gdzie chcesz być całowana? – zapytał, drocząc się i całując jej szyję.

– Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałam... ale... tu! I... to przyjemne... bardzo przyjemne... och, to miejsce też... Jedidiah, czy wszędzie jest takie wspaniałe uczucie?

– Jeszcze niewiele poznałaś – powtórzył.

Obejmowała go mocno, jej głowa opadła do tyłu. Jed udowadniał, że każdy cal jej szyi i ramion umie dawać taką samą przyjemność. Jego usta paliły jej skórę tuż nad wycięciem sukni i ciepło to rozlewało się aż na piersi i brzuch. Thena uniosła głowę i spojrzała na Jeda.

– Wydaje mi się, że powinniśmy się położyć na sofie – szepnęła. – Będzie nam chyba wygodniej.

– O tak, proszę pani! I nie tylko.

Thena nigdy nie przypuszczała, że prosta czynność zmiany pozycji może być tak ekscytująca. Wyciągnęła się na plecach, jej każdy nerw drżał z niecierpliwości. Było to takie naturalne, leżeć i patrzeć na Jeda z zaufaniem. Położył się tuż obok niej, jedną rękę położył na jej brzuchu, drugą wsunął jej pod głowę. Patrzył poważnie i przyciągnął mocno do siebie.

Układała wygodnie udo i nagle napotkała nie pozostawiające wątpliwości wypiętrzenie. Spojrzała szybko na Jeda i jej zaskoczone, pełne namysłu oczy sprowokowały go do uśmiechu. Poczula, że pod wpływem kłębiących się uczuć i jego dłoni gładzącej jej brzuch opuszczają ją całkowicie siły.

Poczula gorącą potrzebę dania mu równie wielkiej przyjemności, co ta, którą odczuwała pod wpływem pieszczot.

– Moje książki nie opisywały dobrze tego wszystkiego – szepnęła. – Nigdy nie wspominały o poczuciu harmonii.

Wyciągnęła rękę i delikatnie zaczęła głaskać silne, napięte mięśnie nagiego brzucha Jeda. Jej palce przesunęły się po spodniach i bardzo ostrożnie dotknęły twardej wypukłości naciskającej jej udo.

– Nie kochaliśmy się jeszcze – mówiła dalej z podziwem w głosie – a mam wrażenie, że jesteś częścią mnie.

– Nie musimy łączyć swoich ciał, aby się kochać – powiedział Jed łagodnie. – Wzajemne pieszczoty, rozmowa, wszystko, co robimy dla drugiej osoby z uczuciem – to właśnie powoduje różnice między opisami w książkach a rzeczywistością.

I między tym, co dotychczas przeżywałem, będąc z kobietą” – dodał w myślach.

Jed położył głowę koło głowy Theny, a ona odwróciła ku niemu twarz, tak że mogli łatwo się całować. Nocne powietrze pachniało słodko, a jedynym dźwiękiem dochodzącym z zewnątrz było cykanie świerszczy. Wydawało się, że poza tym miejscem nic innego nie istnieje, na całym świecie. Nie ma nikogo, oprócz nich, oprócz ich dłoni błędzących wzajemnie po ciałach.

Thena porzuciła swoje wspomnienia i obawy. Dotyk Jeda sprawił, że liczyła się tylko teraźniejszość. Nigdy wcześniej nie była tak ożywiona. Kiedy zsunął z jej ramion suknię i chwycił w dłonie piersi, Thena pomyślała, że nie może być większej rozkoszy, niż ta, którą odczuła. Ale to był dopiero początek.

Dotyk jego ust na sutkach był zbyt przyjemny, by mogła przeżywać go w ciszy. Jego dłonie gwałtownie zsuwały suknię wzdłuż jej ud i błędziły po jej ciele, a ono przyjmowało je. Dotykał intymnych części jej ciała, a ono odpowiadało rozkoszą, która zaskoczyła Thenę. Nie kontrolowała już siebie. Wiedziała tylko, że tej nocy jej życie rozpoczyna się po raz drugi.

W każdych okolicznościach Jed był spokojnym i cichym człowiekiem, teraz wydawał się jeszcze cichszy. Kiedy, drżąc z emocji, trzymał w ramionach jej nagie ciało, ogień płonący w nim odebrał mu mowę. Patrzył tylko na nią, a pożądanie i miłość świeciły w jego oczach.

– Moja sypialnia – powiedziała Thena.

Jed skinął głową. Przeniósł ją na rękach w ciemności i położył na białej narzucie. Thena podłożyła ręce pod głowę i patrzyła, jak chodził wokół łóżka, opuszczając siatkę podwieszoną pod sufitem. Pajęczce fałdy otoczyły ją nagle i wydawało się jej, że się znalazła w chmurach.

Thena łapczywie patrzyła na Jeda, ale on poruszał się niespiesznie, w prowokujący sposób, który wzmagał napięcie. Zapalił małą, naftową lampę stojącą na toaletce koło okna, potem podszedł do łóżka i stanął nieruchomo, przyglądając się jej. Zsunął spodnie ze swoich szczupłych bioder i zdjął je, nie spuszczać z niej wzroku.

Lekkie powstrzymanie oddechu zdradziło podziw, jaki odczuła na widok jego nagiego ciała. Thena przesunęła się i wskazała dłonią miejsce obok siebie. Jed rozsunął siatkę, przyklęknął na łóżku i wyciągnął dłonie jakby w geście prośby o zaproszenie. Z błyszczącymi oczami Thena chwyciła je i przyciągnęła go do siebie.

Jed chwycił ją w ramiona.

– Nie będzie bolało – przyrzekł jej schrypniętym szeptem.

I nie bolało. Chwila połączenia ich ciał była ekstazą, która sprawiła, że oboje znieruchomieli na kilka chwil i, uśmiechając się, szepotali sobie słowa pełne miłości. Potem Jed rozpoczął rytmiczne ruchy, które szybko pograżyły ich w nie zważającej na nic rozkoszy.

Lekka bryza wpadająca do pokoju zabrała ze sobą ich jęki. Thena kochała sposób, w jaki Jed pasował do jej ciała, jak gdyby nie była całością, dopóki on nie połączył się z nią. Poruszał się mocno, ale ostrożnie. Jego ruchy wywoływały w niej oszałamiające uczucia, zacierając świadomość i łączące ich nierozzerwalnie.

Thena uniosła się nieco ku niemu, trzymała go z pożądaniem, które wywoływało jego szczęśliwe jęki i powodowało, że tracił nad sobą kontrolę. W jednym, nagłym paralizującym momencie oboje stanęli na krawędzi nieśmiertelności.

Thena delikatnie wsunęła osłabione palce w jego mokre włosy i przymknęła oczy w bezsilnej szczęśliwości. Dopiero po minucie dotarł do niej schrypnięty, oszołomiony głos Jeda szepczący coś. Mówił już od pewnego czasu.

– Odpowiedz mi, Theno! Dobry Boże, odpowiedz mi, kochanie. Czy dobrze się czujesz?

Teraz to ona nie mogła znaleźć słów. Spojrzała na niego i słabo kiwnęła głową, potem zbliżyła usta i zaczęła scałowywać niepokój z jego twarzy. Uśmiechnęła się do niego z roztargnieniem, a wyraz niepokoju powrócił na jego twarz.

– Nigdy cię takiej nie widziałem – stwierdził.

Kiedy wreszcie przemówiła, głos jej był nabrzmiały zadowoleniem.

– To dlatego, że nigdy wcześniej nie widziałeś mnie szczęśliwej, Jedidiah. – Przerwała, szukając wzrokiem jego oczu. – Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

Jed westchnął z ulgą.

– Czy kochanie się było tym, o czym marzyłaś, że będzie? Gładził dłońmi jej włosy, do końca rozplatając warkocz.

Kiedy odpowiedziała mu, w jej głosie nie było wahania.

– Tak, o tak!

– Należysz do mnie, Theno. A ja należę do ciebie. Wiem, że brzmi to okropnie despotycznie, ale...

Thena przyciągnęła go do siebie i przeciągle pocałowała. Potem powiedziała, powodując łomotanie jego serca:

– Należę do ciebie od dnia naszego pierwszego spotkania. Należałam do ciebie całe moje życie, Jedidiah.

Jed poczuł nagle, choć jego uczucia do dziadka Gregga nie pozwoliły mu tego w pełni przyznać, że całe lata czekał na przyjazd do niej i do tej wyspy, i że jest wreszcie w domu.

– Jedidiah jest bardzo przystojny, czyż nie, *ma petites!* Ma lekko zakrzywiony nos i wszędzie, prawie wszędzie, blizny, ale to tylko dodaje mu uroku, prawda? Chcę być dla niego dobra. Miał ciężkie życie, kiedy dorastał na lądzie.

Budząc się wolno ze snu, Jed słyszał te czułe słowa. Uśmiechając się otworzył oczy i głęboko odetchnął. „To miejsce ma najświeższe, najwspanialsze powietrze na całej ziemi” – pomyślał. Trzeci raz budził się we wspianym, starym łóżku Theny i każdy następny raz był lepszy.

Uniósł nieco głowę i zobaczył Thenę siedzącą na kolorowym, starym dywanie przy parapecie. Naga, z czarnymi włosami spływającymi po plecach, podwiniętymi nogami wyglądała jak wcielenie Tasoneeli płaczącej indiańską daninę gromadzie strzyżyków. Skrzywił się z rozbawieniem. Thena rozmawiała z duchami i ptakami, i Bóg tylko wie z kim jeszcze. A one prawdopodobnie odpowiadały jej w jakiś sposób.

Miała odwróconą głowę, dlatego nie widziała, że Jed przygląda się jej w zadumie, dalej mówiła do małych ptaszków wydziobujących ze świergotem ziarno, które wysypała im na parapet.

– Czy wiecie – pytała ze szczęśliwym westchnieniem – że w Wyoming są takie same strzyżyki jak wy? Jedidiah tak powiedział. Jak myślicie, czy spodobałoby mi się tam? Może kiedyś złożę tam wizytę? – Jej głos był cichy od początku, teraz mówiła coraz ciszej i Jed musiał wyteżać uwagę. – Ale musimy go przekonać do życia tu, na Sancii, prawda? Nie możemy mieszkać na Zachodzie. On należy do tego miejsca. To duża wyspa. Jest tu mnóstwo miejsca, można trzymać tu całe stado koni.

Głowa Jeda opadła z powrotem na poduszkę. „O nie, pani wiedźmo” – przyrzekł w myśli. To miejsce może być lepsze, niż myślał na początku, ale nigdy go nie zatrzyma. Zostanie i nacieszy się nim przez kilka tygodni, ale potem porwie ją na Zachód. Sancja należy teraz do niej i nikt nie skrzywdzi ani wyspy, ani siedziby starego Gregga, kiedy odejdzie. Zawsze będzie należała do niej i on postara się, żeby mogła odwiedzać ją, kiedy tylko będzie miała na to ochotę.

Jed przymknął oczy i udawał, że śpi, kiedy usłyszał bose stopy skradające się na palcach w jego stronę po skrzypiącej podłodze. Była jeszcze ostrożna w stosunku do niego z powodu swojego niedoświadczenia i Jed nie chciał spieszyć jej swoim porannym wzrodem.

Ostatniej nocy obudził się i zobaczył ją opartą na łokciu tuż obok niego, delikatnie bawiła

się włosami na jego piersi. Kiedy zorientowała się, że przerwała mu sen, była zawstydzona. Otwarcie i raczej gwałtownie pokazał jej jak bardzo lubi, żeby mu przeszkadzano. Kiedy skończył, Thena milczała i drżała lekko. Chciał zapytać, czy przestraszył ją, ale nie zrobił tego, bo bał się, że potwierdzi.

Narzuta poruszyła się, materac się zapadł, kiedy Thena wsunęła się do łóżka obok niego. „Uspokój się – przykazywał sobie Jed. – Nie oddychaj tak szybko, do cholery. Nie, twoje ręce nie przysuną się niby przypadkowo w jej stronę. Spokój. To znaczy, oddychaj wolno, nie ruszaj rękami, pozwól jej znów zasnąć... „

– HmMMM – westchnęła Thena.

Jej gorące ciało przytuliło się do niego, piersi przycisnęły się do ramienia, biodra przylgnęły do ud, dłoni spoczęła na jego piersi, po czym wolno przesunęła się w kierunku brzucha. Jed nie umiał powstrzymać się od napięcia mięśni. Kiedy jej palce odnalazły to, co usiłował cały czas zignorować, zacisnęły się mocno.

– Ojej! – szepnęła zaskoczona.

Jego spokój został zburzony.

– Usiłowałem ci pokazać, że nie zawsze jestem dzikim kozłem – zaprotestował patrząc na nią z niesmakiem. – Ostatniej nocy bardzo się zapaliłem i nie chcę, żebyś myślała... Usiłowałem pozwolić ci zasnąć i nie spodziewałem się ataku. – Odwrócił głowę i spojrzał na nią. – Wszystko w porządku. Ta część mojego ciała ma własne pomysły dziś rano i nie musisz czuć się zobowiązana...

– Mam na ciebie ochotę, chłopcze – szepnęła, imitując jego wymowę. – Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Wiem, na co mam ochotę i dostanę to.

Zabrzmiało to tak, jakby powiedziała to Scarlet O’Hara z Luizjany. Jed śmiał się aż do utraty tchu.

– Widzę, że martwiłem się bez powodu – wykrztusił wreszcie. – Wyrastasz ze swoich majtek.

– Nie mam majtek – zaprotestowała.

– Zaraz sprawdzę. Tak. Nie masz majtek.

– Nie mam też cierpliwości. – Jej ręce błądziły po jego ciele z pożądaniem. – Nie mam wstydu. Ta dziewczyna zwariowała.

Mocowali się radośnie przez chwilę, Thena wygrała, unieruchamiając jego uda i chwytając dłońmi za uszy. Jed zanurzył rękę w jej włosach i przyciągnął jej głowę do pocałunku.

– Wydaje mi się, że potrzeba ci trochę ogłady – zamruczał. – Zostanę tu chyba przez pewien czas na tej łasze piachu spróbuję cię wychować.

Thena spojrzała na niego promieniując szczęściem.

– Kocham cię, kowboju.

– Kocham cię.

Trzymał ją w tak mocnym uścisku, że czuł na żebrach bicie jej serca. A może mieli jedno serce. Wszystko było możliwe na tej wyspie, z nią. Wszystko, z wyjątkiem jej planu, aby tu pozostał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dni zamieniły się w tygodnie, tygodnie w miesiące, chłodne wrześnie bryzy obniżyły nieco temperaturę na wyspie. Jed nigdy nie podniósł tematu opuszczenia przez nich wyspy. Próbował to zrobić kilkakrotnie, ale dziwny niepokój zawsze go powstrzymywał. Częścią niepokoju było zadowolenie z tego, co jest.

Nie mógł zaprzeczyć, że lubi powolne mijanie dni, odmierzanych wschodami i zachodami słońca, przyptywami morza. Chciał niedługo wrócić do rzeczywistości, ale póki co spędzał czas, kochając się z Theną, przyglądając się jak maluje, pomagając jej w zrobieniu dokładnego katalogu fauny, flory i klimatu wyspy. Thena była jego całym życiem.

Nocami czytał książki. Na początku czuł się trochę nieswojo, jak gdyby upodobanie dorosłego mężczyzny do wymyślonych historii było zawstydzające. Ale po zachętach Theny, książki stały się jego skarbem. Oboje mogli czytać godzinami w łóżku, dopóki któreś z nich nie wyciągnęło ręki w geście zaproszenia, wtedy czytanie odkładali na następną noc.

Pewnego wietrznego popołudnia Beneba Everett zawiadomiła ich przez radio, że przyplynie do nich na obiad, pojechali więc rozklekotaną ciężarówką Theny na przystań na jej spotkanie. Jed z trudem powstrzymał śmiech, kiedy mała motorówka zbliżała się do brzegu, popychana wiatrem wyglądała jak pijany chrząszcz.

Kiedy chrząszcz dobił wreszcie do mola, Beneba odmówiła przyjęcia pomocy Jeda i wdrapała się na pomost ze zwinnością, która go zaskoczyła. Starsza czarna pani uściskała serdecznie Thenę, a kiedy ta przedstawiła jej Jeda, wymruczała pozdrowienie i wcisnęła mu w rękę koszyk pełen rzeczy i fasolki szparagowej.

Kiedy szła w kierunku ciężarówki, Jed przyglądał się jej. Była zabawna, ale pełno było w jej ruchach wrodzonej godności, a oczy miała jasne i błyszczące. „Najprawdopodobniej miała kataraktę – pomyślał Jed – Tłumaczyłoby to jej rzucane na boki spojrzenia”. Bose stopy energicznie kroczyły po piasku, a siwe włosy były splecione w warkocz. Jej kawowa skóra była pomarszczona, ale jej ramiona i nogi były gibkie, a za duża kolorowa sukienka przyozdobiona była białą gardenią przypiętą na jednym ramieniu.

„Sama Beneba przypomina dziką gardenię” – pomyślał. Miała ten majestatyczny sposób zachowania połączony ze starodawną mądrością.

– Yoda – szepnął Jed kącikiem ust – Co to jest Yoda? – odszepnęła Thena.

– Muszę zabrać cię na najnowsze filmy. – Uśmiechnął się zarzucając kosz na ramię.

Kiedy dotarli do domu, Beneba ukryła twarz za glinianą fajką i cały czas przyglądała się oceniająco Jedowi. Ten narwał ją w duchu Popeye i uśmiechał się do niej.

Usiedli w trójkę na werandzie i obierali fasolkę. Jed, mimo że z natury był milczący, zaskoczony został panującą ciszą. Beneba wydawała się skłonna raczej do obserwowania rycia niż do komentowania go. Zorientował się po pewnym czasie, że mimo jej dziwnych grymasów, raczej ją lubi.

Ze sposobu, w jaki poklepywała, ścisnęła i uśmiechała się widać było, że uwielbia Thenę: Jed zauważył, że uczucie to było wzajemne. Niepokoiło go to, gdyż zaczął się zastanawiać, czy Thena zdecyduje się na opuszczenie starej kobiety, borą traktowała jak babcię. Do diabła,

porwie ją w razie czego do Wyoming i umieści w pobliżu Theny, jeżeli uszczęśliwi to obie.

Thena nastawiła fasolkę do gotowania na obiad. W tym czasie Beneba wyjęła z kosza butelkę i poczęstowała Jeda domowej roboty winem z mniszka. Było tak mocne, że kiedy wziął spory łyk, jego oczy napełniły się łzami.

– Ha – parsknęła, obserwując jak mruga powiekami. – Jego twarz zrobiła się czerwona. Ma ochotę kaszlnąć, ale jest zbyt dumny. To może nie być dobry znak. Za wiele dumy może spowodować zawał serca.

Sprawdzano go i Jed wiedział o tym.

– Próbowałem już alkoholu, ale nie tak mocnego, proszę pani. Ten wypaliłby skórę dorosłego słonia. Duma nie ma nic wspólnego z tym, że nie kaszlę. Po prostu moje płuca skurczyły się.

Beneba roześmiała się, traktując jego słowa jak komplement, a potem wykrzywiła się w jego stronę z wyrazem, jak mu się wydawało, aprobaty. Zjedli obiad składający się z młodych ziemniaków, smażonej ryby, chleba kukurydzianego i świeżo ugotowanej fasolki. Potem znów usiedli na werandzie i patrzyli, jak zmierzch napełnia las tajemniczymi cieniami. Beneba paliła fajkę i wierciła się w największym z czterech bujanych foteli Theny. Thena siedziała obok niej, a Jed umieścił się u jej stóp. Głaskała go czule po włosach, a on opierał się z oddaniem o jej bosc nogi.

Jed był ubrany jedynie w białe spodnie, ale żałował, że w ogóle ma coś na sobie. Gdyby nie to każdy cal jego ciała mógłby napawać się ciepłym powietrzem. Gdyby nie wizyta Beneby on i Thena siedzieliby nago. Nagość była ich ulubionym stanem, zarówno w łóżku, jak i poza nim.

Ale teraz Thena miała na sobie luźne błękitne szorty i kostium kąpielowy matki z 1950 roku. „Jego surowość nie pasowała do Theny” – pomyślał Jed. Uśmiechnął się, szczęście i poczucie spokoju wypełniało mu piersi.

– Ty – powiedziała nagle Beneba – jesteś błogosławionym człowiekiem. Widzę to na twojej twarzy. Słyszę w rytmie twojego oddechu. To miejsce zabrało ci serce.

Jed uniósł głowę i spojrzał w jej surowe, mądre oczy.

– Nie – poprawił ją uprzejmie. Nie chciał ryzykować rzucenia uroków, ale nie zamierzał wysłuchiwać bzdur na temat wyspy. Skinął głową w kierunku Theny. – Ta kobieta zabrała mi serce.

Palce Theny mocniej wsunęły się w jego włosy.

– Thena i wyspa to to samo. Jeżeli kochasz jedną, kochasz i drugą. – Dym z fajki Beneby płynął wolno pomiędzy fotelami. – Jeżeli zostawisz jedną, zostawisz i drugą.

Jed poruszył się niespokojnie.

– Nie zamierzam porzucić Theny.

– Porzucisz Sancię i porzucisz Thenę. Wyśniłam to. Jed zaklął w duchu, kiedy poczuł, jak dłoń Theny znieruchomiała.

– Dlaczego mówisz takie straszne rzeczy babciu? – zapytała Thena.

– Ponieważ to prawda, dziecko. Twój mężczyzna nie chce przyznać, że pokochał to miejsce. Pewnego dnia odejdzie, ponieważ jest uparty i pełen ślepej nienawiści do dziadka.

Modłę się tylko, by był na tyle mądry, by wrócić.

– Nie liczy się pani ze słowami – powiedział Jed surowo. – Pochylił się do przodu i objął ramionami kolana, jego pogodny nastrój minął bez śladu. – Ale nie zna mnie pani na tyle dobrze, by przepowiedzieć mi przyszłość.

– Znam cię. Wiem skąd przyszedłeś, ponieważ byłam piastunką twojej matki.

Thena i Jed spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Nigdy mi nie mówiłaś, babciu – szepnęła Thena. – Dlaczego?

Beneba wzruszyła ramionami.

– Stare wspomnienia najlepiej zachować na odpowiedni moment. To zachowałam na tę chwilę – spojrzała na Jeda. – Widziałam, jak rodziła się twoja matka. Pomagałam w wychowaniu jej. Przez dziesięć lat nie rozstawałyśmy się. Dziesięć lat, aż do chwili, kiedy twoja babka zginęła w czasie huraganu. Wtedy twój dziadek przeklął tę wyspę i zabrał ze sobą twoją matkę.

Jej oczy błyszczały, Jed czuł, jak na ramionach pojawia mu się gęsia skórka.

– A teraz ty zamykasz koło – dodała. – Możesz przynieść nadzieję, możesz zdjąć przekleństwo. – Przerwała, wydawało się, że zahipnotyzowała cały świat. – Chciałabym zobaczyć tu wnuki twojej matki. Twoje dzieci. Twoje i Theny.

Jed poczuł złość.

– Ta wyspa nie jest żadną świętością, nie mogę już dłużej tego słuchać. Żadne dziecko moje i Theny nie będzie wyrastać w cieniu marzeń starego Gregga. Nie zasłużył sobie na taki honor.

– Jedidiah? – szepnęła Thena, zaskoczona i zraniona.

– Czy Beneba ma rację? Czy chcesz odjechać?

Jed odwrócił się i chwycił jej dłoń w swoje ręce. Nawet w ciemności dostrzegł strach w jej srebrnych oczach. Jed próbował nadać swojemu głosowi uspokajające brzmienie.

– Czy naprawdę myślisz, że ta wyspa to dobre miejsce na ranczo koni wyścigowych?

Thena patrzyła na niego z rozpaczą.

– Jest tu dużo miejsca dla koni, Jedidiah. Pamiętaj, że Sancja ma sześć mil długości. Jest ogromna. I...

– I jest piękna. Wiem. Zawsze będzie piękna i będziemy mogli się cieszyć jej urokiem przy każdej wizycie.

– Wizycie? Czy chcesz powiedzieć, że będziemy mieszkać gdzie indziej?

– Chciałabym, żebyśmy mieszkali w Wyoming. Zabierzemy psy i Cenrdillon, i te konie, które będziesz chciała.

Jej zimne ręce drżały. Ścisnął je mocniej. Starał się, by to co mówi, brzmiało beztrąsko.

– Kochanie, wszystkie duchy, w które wierzysz tutaj, są twoimi duchami, a nie moimi.

– Twój dziadek kochał twoją babkę – wtrąciła Beneba.

– Kochał cię. Nigdy nie robił czegoś w sposób połowiczny – kochał całą swoją duszą. Widziałam to wielokrotnie, przez lata, i wiem, że oceniasz go zbyt surowo. Był bardzo upartym człowiekiem, to prawda. Robił błędy. Ale nigdy nie pozwoliłby na to, aby jego dziecko, jego mała Amanda, umarła. Gdyby wiedział, że potrzebuje pomocy...

– Odepchnął ją, nie zapytał, jak sobie radzi, nie chciał wiedzieć, pozwolił jej umrzeć – powiedział Jed. – Potem chciał odebrać mnie ojcu, który, Bóg jeden wie, nie miał nikogo, oprócz mnie.

Thena nerwowo pogładziła rękę Jeda. Jej głos był proszący i pełen łez.

– Czy nie widzisz, Jedidiah, że dla dziadka Gregga byłeś również jedyną osobą, która mu pozostała? Chciał odzyskać wnuka, który był żyjącą częścią Amandy i Sarah. Kochał cię.

Jed wysunął dłoń z dłoni Theny i wstał. Zapadł już zmierzch, tak czarny jak jego złość. Jed nerwowo spacerował po werandzie z zaciśniętymi pięściami.

– A kiedy nie udało mu się zdobyć mnie na jego warunkach, nigdy już o nim nie usłyszeliśmy. To obrazuje, jak bardzo mu na mnie zależało.

Głos Beneby był niski i spokojny.

– Towarzystwo Rodeo Stanu Wyoming, nagroda w klasie juniorów, 1974 – wyrecytowała.

Jed przestał spacerować i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Thena, również zaskoczona, patrzyła na nią w milczeniu.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Jed.

Powoli mrugała powiekami, zanim odpowiedziała, wypuściła dym z fajki.

– Twój dziadek nie zapomniał niańki swojego dziecka. Zostawił mi trochę pieniędzy i trochę swoich skarbów: albumy ze zdjęciami i wycinkami o Amandzie. I o jej synu. – Przerwała i bujała się przez chwilę. – Jeżeli tylko twoje nazwisko pojawiło się gdzieś w gazecie, twój dziadek o tym wiedział. Jechałeś do Texasu na rodeo, pisali o tym, on zdobył egzemplarz gazety. Jechałeś do Kanady, znów pisali o tym, on znów miał egzemplarz gazety. Myślę, że opłacał kogoś, kto śledził, co się z tobą dzieje. – Pociągnęła fajkę i spojrzała na niego. – Możesz do mnie przyjść kiedy zechcesz. Pokażę ci albumy.

Jed patrzył na nią bez słowa, jego szczęka drżała.

– Nie wiedziałam – powiedziała Thena. – Babciu, powinnaś mi była powiedzieć.

– Czekałam, aby najpierw powiedzieć Jedowi. Wiem, kiedy nadchodzi właściwy czas.

Jed starał się opanować. Podeszedł do skraju werandy i stał tam tyłem, oparty jednym ramieniem o kolumnę podtrzymującą dach.

Thena wstała i podeszła do niego, współczuła mu. Uważnie patrzyła na jego twarz, starając się odczytać w ciemności jej wyraz.

Za nimi Beneba recytowała wydarzenia z kariery rodeo Jeda, może nie oszałamiającej, ale jego nazwisko pojawiała się w wielu lokalnych gazetach w zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

Thena dotknęła ramienia Jeda.

– Powinniśmy obejrzeć te wycinki – powiedziała delikatnie. – Spowodują, że zmienisz zdanie o dziadku. Musiał cię kochać.

Wieczność minęła, zanim spojrzał na nią.

– Nic – powiedział jej wolno drewnianym głosem – nie jest w stanie zmienić tego, co stało się z moją matką. Zbyt długo czekał, aby móc to wszystko naprawić. Ona już nie żyła.

Thena starała się, by to, co powie, nie zabrzmiało buntowniczo.

– Była zbyt dumna, by prosić o pomoc, Jedidiah. Sam tak powiedziałaś.

– To dlatego, że dziadek był przeciwny jej małżeństwu z moim ojcem. Czy możesz mieć do niej pretensję, że nie wróciła pokornie do niego, po tym, jak się zachował?

– Ale on z pewnością byłby jej pomógł, Jedidiah. Pomimo wszystko pomógłby jej. Nie zasłużył na taką nienawiść.

Jed westchnął i delikatnie położył dłoń na jej policzku. Jego kciuk czule pieścił jej skórę.

– Dałem ci tę wyspę, Theno. Uwierz mi, musiałem zapomnieć o nienawiści, kiedy to robiłem.

– Wiem i jestem dumna z ciebie. Ale teraz musisz zapomnieć o niej na dobre.

– Słyszałem, co mówiłaś o starym Greggu, że naprawdę żałował tego, co się stało. Może tak było, a może nie. – Przerwał. – Bardziej przejmuję się twoimi uczuciami do tej wyspy niż tajemniczą odmianą miłości, jakakolwiek by ona była, jaką dziadek odczuwał do mnie i do mojej matki.

– Nie musisz się tym przejmować, Jedidiah. Po prostu zostań tu i...

– Kochanie, nie mogę tu żyć. Nie umiem kochać tego miejsca tak jak ty. Czuję się tak, jakbym wdzierał się do posiadłości Greggów.

– Ale ty jesteś Gregg – powiedziała Thena błagalnym tonem.

– Nie, nie jestem. Mam trochę ich krwi, ale to wszystko. Nie należę do tego miejsca.

– Ależ tak. Jedidiah, wiesz, że ja należę do tego miejsca. Jak możesz chcieć, żebym je opuściła?

– Dziewczyno, nigdy nie zobaczyłaś innego kawałka świata. Nie wiesz, co jest na lądzie. Jest wiele miejsc, które mogłabyś pokochać tak jak to.

– Nie. – Jej głos drżał ze smutku. – Moi rodzice i Nate zginęli, gdyż udali się na ląd. Mam uszkodzone kolano, gdyż udałam się na ląd. Ludzie tam za bardzo się spieszą, interesuje ich zbyt wiele nieważnych rzeczy...

– Rzeczy, które dla ciebie są nieważne. – Jego dłoń ciągle gładziła jej twarz, starając się ją uspokoić. – Musisz odwiedzić mój świat, kochanie. Czy nie sądzisz, że to będzie uczciwe? Po prostu zobaczyć, jak wygląda naprawdę, a nie tylko jak wygląda w National Geographic. Thena czuła się jak schwytyany ptak. Jej serce łomotało.

– Boję się, Jedidiah – wyszeptwała.

– Wiem, piękna pani, ale nie pozwolę, żeby coś złego ci się stało. Czy pojedziesz chociaż odwiedzić ten inny świat?

Beneba przerwała mu.

– Tasoneela pojechała z Gablem, a on odwiózł ją z powrotem, kiedy była nieszczęśliwa. Czy uczynisz to samo dla Theny?

Jed spojrzął na Thenę.

– Tak – przyrzekł.

– Jak długo będziemy musieli zostać w Wyoming? – zapytała Thena.

– Kochanie, nie pojedziemy tylko do Wyoming. Będziemy podróżować po różnych miejscach. Tam, gdzie będziesz chciała. Pojedziemy do miejsc, o których marzyłaś.

– Jedź, dziecko! – rozkazała Beneba. – Zajmę się twoimi zwierzętami. Powinnaś

zobaczyć świat, ponieważ kiedy wrócisz będziesz jeszcze bardziej kochać swoją wyspę. I może, jeżeli twój przyjaciel jest mądry, wróci z tobą. Mam taką nadzieję.

Thena zacisnęła powieki. Zachwiała się i Jed musiał ją podtrzymać.

– Będziesz się tak dobrze bawiła, że będziesz się dziwić, dlaczego nie chciałaś wcześniej podróżować – zapewnił ją.

– Nie znam wielu rzeczy, Jedidiah. Nigdy nie leciałam samolotem. Nigdy nie byłam w eleganckiej restauracji. Nigdy nie byłam w dużym mieście...

– No cóż, nie jestem Cary Grantem, ale potrafię zająć się wszystkim. Nie denerwuj się.

Thena oparła obie dłonie na jego nagiej piersi, odchyliła głowę i uważnie, z niepokojem patrzyła na Jeda.

– Powiedz mi teraz, dokąd zawsze chciałaś pojechać – zachęcił ją.

Nieśmiała radość zabrzmiała w jej głosie.

– Disneyland? '

– Dobrze. Co jeszcze? – Roześmiał się.

– Hollywood? – Jej oczy otworzyły się szeroko.

– Dobrze. – Westchnął z ulgą. – Bałem się, że wymienisz jakieś niesamowite miejsce.

– Czytuję National Enquirer. Hollywood to niesamowite miejsce – powiedziała sucho Beneba.

Jed potrząsnął ze zdziwieniem głową. „Ciekawska Yoda” – mruknął pod nosem.

– Wynajmiemy duży, stary samochód – powiedział do Theny. – Pojedziemy do Atlanty, a stamtąd samolotem polecimy do Kalifornii. Po kilku dniach pojedziemy na tydzień do Wyoming. – Jego oczy błyszczały. – Wyjedźmy jutro. Nie chcę siedzieć tu i dyskutować o podróży. Im wcześniej wyjedziemy tym lepiej.

– Jutro? – Thena zaczęła drżeć.

Jed chwycił ją mocno w ramiona i przytulił do siebie.

– Spodoba ci się – zamruczał.

– Robię to, ponieważ cię kocham, Jedidiah. Inaczej nigdy nie opuściłabym Sancii.

– Nawet na dwa tygodnie? Dwa króciutkie tygodnie?

– Wiem, że chcesz, abym opuściła Sancięna zawsze. Usiłowałam zignorować poczucie winy, które pojawiło się nagle.

– Nigdy tak nie powiedziałem. Za bardzo cię kocham, aby o to prosić. Po prostu chcę, żebyś poznała mój świat, zanim zdecydujesz się, gdzie chcesz żyć.

Jed przytulił policzek do jej czoła, przymknął oczy, wdychał znany drogi mu zapach jej ciała, rozkoszował się jej dotykiem i biciem jej serca, które czuł na piersi. Troska o nią napawała go uczuciem, którego nie potrafił zdefiniować.

Duszące napięcie zatrzymało jego oddech. To uczucie nie miało sensu. Usiłował przełknąć, ucisk w jego piersi rósł, kiedy próbował zrozumieć skąd... przychodzi takie dziwne...

ostrzeżenie. „Och, Boże, nie” – pomyślał ze strachem. To nie było ostrzeżenie. Nie wierzy w ostrzeżenia.

To dziwne uczucie to wariactwo. Wpływ tego bajkowego miejsca, opowieści Theny o

duchach, niesamowitych oczu Beneby. Co się stało z jej praktycznym rozsądkiem? Dziwne uczucie strachu minęło i Jed otrząsnął się, tak jakby mijała mu gorączka. Odprężył się, znów mógł oddychać. Czuł się lepiej. Co się z nim nagle stało?

– Jedidiah? Kochanie? – Przestraszony głos Theny dotarł wreszcie do niego, z trudem łapała powietrze. – Za mocno mnie ściskasz. Nie będę mogła podróżować z połamanymi żebrami.

Jed stwierdził, że pokazywanie Thenie świata będzie wyjątkowym doświadczeniem. W czasie jazdy do Atlanty bawiła się każdym guzikiem, przełącznikiem i dźwignią w starym Oldsmobilu, który wypożyczył. Kiedy zatrzymali się na obiad w przydrożnej restauracji, Thena zobaczyła wystawiony na sprzedaż rząd marnych orzechów kokosowych. Spodobały się jej. Jed był zdumiony, ale chciał jej sprawić przyjemność i kupił dwie sztuki. Skrzywił się tylko, kiedy kasjer radośnie oznajmił mu, że są pierwszymi osobami kupującymi orzechy kokosowe od czasu, kiedy przejeżdżał autobus pełen turystów, a było to pół roku wcześniej.

Na następnym postoju przy autostradzie kupiła całe naręczce kolorowych czasopism kobiecych o nazwie Lovers. Zagłębiła się w nich i czytała z zainteresowaniem.

Jed poczuł nagle jej zwinne palce na wewnętrznej stronie swoich ud. Thena ciągle czytała, a jej twarz była skoncentrowana. Jed zerkał na nią, starając się ignorować jej poczynania, ale po pięciu minutach poczuł, jak od jej pieszczot ogarnia go gorący płomień.

– Boże, dziewczyno, co ty chcesz zrobić?

– Piszą tu, że powinienesz to lubić.

– Lubię, ale nie przy prędkości sześćdziesięciu mil na godzinę.

– Piszą tu, że ludzie robią to wszędzie i w każdych okolicznościach.

Ciągle czytając, z powagą na twarzy, rozpięła mu dzinsy i wsunęła dłoń do środka.

– Och, jak tylko... och nie muszę już niczego robić, prawda?

Czasopismo spadło na podłogę. Patrzyła na jego biodra, a palce pieściły wspaniały rezultat jej zabiegów.

– Jedidiah – szepnęła schrypniętym głosem. – Jedidiah, to czasopismo przynosi wiele interesujących wiadomości.

Jed z trudem oddychał, oczy miał na wpół przymknięte.

– Czy piszą tam, co następuje potem, pani czarownico?

– Uhm, nie, nie doszłam jeszcze do tej części. Mogę jednak... wydedukować.

Jed skręcił w najbliższy wyjazd z autostrady i znalazł zaniedbaną drogę prowadzącą do nikąd. Wyłączył silnik i przysunął się do niej, oczy mu błyszczały, a ręce sięgały do jej nóg. Thena uśmiechała się na widok niecierpliwego pożądania, z jakim chwycił ją w ramiona. Zsunął jej z ramion sukienkę i pieścił nagie piersi, uda, brzuch, fale rozkoszy przebiegały jej przez skórę.

– Chciałbym kontynuować – wymruczał Jed. – Ale może lepiej nie. Nie tutaj.

Thena przesunęła dłońmi po jego włosach i jęknęła.

– Kocham cię, Jedidiah. Chcę cię.

– Ja też cię kocham... nie rób tak... nie przymilaj się tak do mnie... och, wygrałaś.

Kiedy wreszcie wrócili na Autostradę, Jed prowadził samochód jedną ręką, a drugą obejmował ramiona Theny. Oboje uśmiechali się w ciszy. W końcu Jed odezwał się z przekorą w głosie.

– Theno, kupię ci prenumeratę tego czasopisma.

Widok ogromnego, supernowoczesnego lotniska międzynarodowego w Atlancie odebrał Thenie mowę. Czekał na oddanie samochodu przy jednym z okienek, Jed obserwował, jak Thena stoi przy jednym ze stoisk z czasopismami. Jego wzrok łagodniał za każdym razem, kiedy na nią patrzył. Ubrana była w letnią sukienkę, sandały i biały sweter, który podkreślał czerń jej warkocza spływającego po plecach. Mężczyźni obserwowali ją z zainteresowaniem i Jeda zaskoczyło to nieco. Zdawał sobie wprawdzie sprawę z tego, że Thena jest zbyt piękna i egzotyczna, by nie przyciągać uwagi mężczyzn, ale nie miał do czynienia z tym problemem na Sancii. Poruszył się niespokojnie, chciał jak najszybciej oddać samochód i znaleźć się przy niej.

Jed zobaczył, jak Thena podskoczyła na ostrzegawczy dźwięk dzwonka z małego wózka bagażowego i obróciła się w jego kierunku. Kiedy wózek mijał ją, pomachała ręką kierowcy. Ten uśmiechnął się i kiwnął głową. Thena również uśmiechnęła się do niego.

Jed potrząsnął głową ze zdziwieniem. Przypomniało mu to film, „Krokodyl Dundee”, o naiwnej Australijce, odwiedzającej Nowy Jork. Przy oddawaniu bagaży Thena uprzejmie spytała urzędnika, kiedy przejrzy jej walizki w poszukiwaniu bomb i narkotyków. Ten spojrzał na nią przeciągle z aprobatą, powiedział „Noooo” i wręczył jej kwit bagażowy. Jed szybko ją odprowadził. Zainteresowała się potem mężczyzną korzystającym z automatu bankowego i była ciekawa, czy na lotnisku zainstalowano automaty do gry. Spytała Jeda, czy mogliby się pospieszyć, tak aby być pierwszymi, którzy wejdą na pokład samolotu. Chciała zająć najlepsze miejsca.

Urzędnik przy okienku wypożyczalni samochodów zajął się wreszcie Jedem i odwrócił jego uwagę. Kiedy skończyli załatwiać sprawy i Jed spojrzał w kierunku stoiska z czasopismami, nie dostrzegł tam Theny. Zdenerwowany zaczął rozglądać się po holu. Z ulgą zauważył ją przy ruchomych schodach. Rozmawiała przyjaźnie z ubranym w pomarańczową suknię mężczyzną z ogoloną głową, który miał rozanielony wyraz twarzy.

Jed szybko podszedł do niej. Thena spojrzała na niego podekscytowana.

– To wyznawca Kriszny, Jedidiah. Rozmawiamy o Bhagavad Gicie. Podoba mi się. To fascynujący sanskrycki poemat – Spojrzała na nieznajomego. – Co za niezwykły pomysł szukać nowych wyznawców na lotnisku. Co za oddanie wierze.

Z wyrazem rezygnacji Jed wyjął z kieszeni banknot dwudziestodolarowy i wcisnął go w wyciągniętą dłoń.

– Hare Kriszna – powiedział mężczyzna z podziękowaniem.

– Mmmm...

Jed wziął Thenę za ramię i odprowadził. Pomachała dłonią do nowego przyjaciela, potem spojrzała ze zdziwieniem na Jeda.

– Dlaczego dałeś mu pieniądze?

– Ponieważ właśnie na to czekał, kochanie. Dlatego rozmawia z ludźmi. Ponieważ

spodobała ci się poezja, którą recytowałem, postanowiłem go wesprzeć.

Milczała, rozważając to, co jej powiedział.

– Mój Boże! – szepnęła ze zdziwieniem. – Rozmowa nie jest tania na łądzie, prawda?

Jed roześmiał się.

– Już dobrze, panno Dundee. Mam dużo pieniędzy, możesz ich używać tak, jak masz na to ochotę. – Przerwał. – Chyba, że masz znów zamiar kupić orzechy kokosowe.

– Panno Dundee? Objął ją ramieniem.

– To nie ma znaczenia. Chcę, żebyś się dobrze bawiła. Nie chcę, żebyś choć przez minutę żałowała porzucenia wyspy.

Jed nigdy nie cieszył się specjalnie ze swojego niespodziewanego bogactwa, aż do tej chwili. Teraz mógł użyć pieniędzy dziadka do uszczęśliwienia Theny. Była w końcu dobrym duchem wyspy, którą stary Gregg kiedyś kochał. Thena zasługiwała na takie luksusy, jak: wynajmowane dobre samochody, bilety lotnicze pierwszej klasy, zakupy w Kalifornii, i Jed chciał jej to zapewnić.

Kiedy siedzieli na pluszowych siedzeniach w samolocie i czekali na start, Thena chwyciła silną, ciepłą dłoń Jeda i wyjrzała przez okno, walcząc ze łzami. Kochała go i chciała poznać jego świat. Potem, tak jak Gabel i Tasoneela, wrócić do miejsca, do którego należą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hałas. Zamieszanie. Tłumy. Myszka Miki. Thena wpatrywała się w ogromnego bohatera filmów rysunkowych, usiłując uspokoić rozdygotane nerwy. Miki machał do tłumów i uśmiechał się filmowym uśmiechem, krocząc malowniczą ulicą Disneylandu.

Ludzie wpadali na Thenę, chcąc lepiej go zobaczyć, aparaty filmowe objęły jej ramiona, napoje chlupotały niebezpiecznie tuż koło jej nowego ubrania, różowych szortów z białym paskiem, niebieskiej koszuli polo i białych adidasów Reebok. Nigdy nie interesowała się strojami, ale sprzedawczyni powiedziała jej i Jedowi, że będzie to odpowiedni ubiór do Disneylandu. Nowy stanik, niezbędny pod obcisłą koszulkę, uwierał ją boleśnie. Poruszyła się niespokojnie.

Różnego rodzaju ograniczenia były cechą charakterystyczną życia na lądzie. Nigdy nie widziała tak wielu budynków stłoczonych na małej powierzchni. Ludzie chętnie przebywali tu w pomieszczeniach, woleli klimatyzację od świeżego powietrza. Thena musiała jednak przyznać, że powietrze tu brzydko pachniało. Gdyby zapachy miały kolory, to powietrze kalifornijskie byłoby brązowe.

Luksusowy apartament, który wynajął Jed, nie miał otwieranych okien i po kilku godzinach spędzonych w nim, Thena tęskniła za świeżym powietrzem, wołałaby już to brązowe, niż suche i zimne.

Zwierzęta podlegały tu takim samym ograniczeniom jak ich właściciele i to bardzo ją rozstrajało. Poprzedniego dnia, kiedy przechodzili ulicą koło hotelu, zauważyła dużego psa, podobnego do Godivy, siedzącego samotnie w samochodzie zaparkowanym przy krawężniku. Zaniepokojona Thena pukała w szybę i patrzyła na więźnia, Jed nie mógł jej przekonać, że pies nie jest nieszczęśliwy.

Na swój spokojny sposób Jed był zły na nią za jej upór. Thena wyczula, że jej uwagi na temat zwierząt irytują go i z trudem ukryła swoje rozczarowanie. Z pewnością lubił i szanował zwierzęta – nie był okrutnikiem. Ale po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że Jed nie podziela w pełni jej uczuć wobec nich. Przyzwyczał się zarabiać na życie, korzystając ze służby zwierząt Stanowiły jego warsztat pracy.

Odkrycie, że nie zna Jeda tak dobrze, jak myślała, pogłębiło jej melancholię. Ogromny ruch na drogach Kalifornii nie pomógł jej. Wszyscy tu poruszali się samochodami i wszyscy jeździli szybko. Ruch na ulicach wokół ich hotelu napawał ją przerażeniem, ale nigdy nie powiedziała o tym Jedowi.

Podczas pierwszej nocy poza Sancią męczył ją koszmarny sen, pierwszy od czasu wypadku, w którym zginęli Nate i jej rodzice. Obudziła się, drżąc, we łzach i wysunęła się cicho z łóżka żeby nie obudzić Jeda. Następną godzinę spędziła skulona przy oknie, wpatrując się w nocne niebo. Nauczy się lubić ląd, ale tylko ze względu na Jeda.

Disneyland okazał się, ku zaskoczeniu Theny, najbardziej nieprzyjemnym miejscem. „Czy ludzie z lądu lubią wystawać po wszystko w kolejkach?” – zastanawiała się. Czekali cierpliwie, ale stojąc przyciskali kurczowo do siebie aparaty fotograficzne, parasolki i torby z

zachłannością, której nie rozumiała. Chyba nikt nie kradnie w Disneylandzie? Wielbiciele Myszki Miki ścieśnili się wokół niej, zasłaniając widok. Zapachy perfum, wód kolońskich i olejków do opalania tworzyły duszącą kombinację. Nagle poczuła ogromną tęsknotę za domem i strach przed tłumem. Nie mogła jednak opuścić tego miejsca, ponieważ Jed, który poszedł po coś do picia dla nich obojga, mógłby jej nie odnaleźć a zgubienie go w tym zwariowanym, przerażającym świecie baśni napawało ją lękiem.

Nie mogła już tego wytrzymać i kiedy wysoki, gruby, młody mężczyzna nachylił się do niej i powiedział: „Hej, złotko, jeżeli masz czas, ja mam chatę”, uciekła.

Przepychała się przez tłum, dopóki nie dotarła do fontanny. Chwyciła się jej, aż zbielały jej kostki palców, jak gdyby ten martwy przedmiot był jedynym przyjacielem, jakiego miała.

– Theno!

Rozejrzała się szybko i zobaczyła Jeda zmierzającego przez tłum w jej stronę. „Nawet on wygląda obco” – pomyślała z rozpaczą. Ciemne okulary zasłaniały jego oczy, ubrany był na białą, w szorty i koszulkę. Szczupły, bogaty, przystojny, wyglądał wspaniale, ale Thena zatęskniła do zaniedbanego kowboja.

Kiedy dotarł do fontanny, zaniepokoił się.

– Nie jest to właściwy moment na włączenie.

Thena opanowała się nieco na dźwięk jego niskiego głosu. Jed zawsze będzie Jedem, kochającym, drogim i dbającym o nią.

– Och! – odpowiedziała, udając, że nic się nie stało. – Po prostu mi za gorąco. Chciałam się napić wody.

– Wszystko w porządku, kwiatuszku?

Wręczył jej wysoki papierowy kubek z pićm i lodem, potem objął ją ramieniem.

– Oczywiście.

Skinęła głową, udając radosne potwierdzenie.

– Czy dobrze sobie obejrzałaś tę sztuczną mysz? „Nigdy nie chciał się przyznać, że fascynuje go ta mysz z filmów rysunkowych” – pomyślała z rozbawieniem.

– Tak. Jest bardzo ładna.

– Może pójdziemy coś zjeść?

– Czy... jest tu jakieś spokojne miejsce...

– Jesteś blada. Czy źle się czujesz?

Czuła się źle, była zdenerwowana i przerażona.

– Wszystko w porządku.

– Theno. – Jego głos był surowy. – Czy wszystko tu już zobaczyłaś? Powiedz prawdę. – Skinęła głową, wyglądała na pokonaną. – Chodźmy.

Sterował poprzez tłum, tworząc dla niej ścieżkę. Thena czuła dla niego wdzięczność pomieszana z czułością.

– Kocham cię, Jedidiah. – powiedziała żarliwie. – Tak bardzo dbasz o mnie.

– Czy dobrze się bawisz, kochanie?

– Tak. Ale chyba mam ochotę na wcześniejszą, niż to planowaliśmy, wizytę w Hollywood. Czy możemy wyjechać dziś po południu?

Potrzebowała odrobiny romantyzmu, wiedziała, że poczuje się lepiej, kiedy odwiedzi miejsce, w którym powstawały jej ukochane stare filmy.

– Co tylko zechcesz, kochanie. Spakujemy się tylko i wyruszamy do Hollywood.

Thena uśmiechnęła się i westchnęła z ulgą.

– Kierunek, marsz.

Nazwiska Greera Garsona i Barbary Stanwyck błyszczały, ale prawie wszystkie inne, w tym jej idola, Judy Garland, były brudne. Thena ze smutkiem przyglądała się nazwiskom gwiazd na tabliczkach umieszczonych w chodniku, potem z jeszcze większym przygnębieniem podniosła wzrok i patrzyła na słynne skrzyżowanie. Hollywood i Vine, miejsce jej marzeń, było zaniedbane i mamę. Ludzie, którzy pojawili się tu, nie byli filmowymi gwiazdami, chyba że grywali podejrzane typy i guzdrzące się młode kobiety, zaglądające w okna zatrzymujących się samochodów. Zapytała wcześniej Jeda, dlaczego te kobiety zachowują się tak nieładnie. Potrząsnął głową, zdziwiony jej naiwnością i przyglądał się jej ze zdumieniem.

– Zajmują się mężczyznami – powiedział łagodnie. – Rozumiesz, co mam na myśli?

– Ach. Ach, tak! – Jej oczy zwęziły się z zastanowieniem.

– Nie przyglądaj się im tak, jakbyś odkryła nową odmianę żółwia morskiego i chciała go poznać – ostrzegł ją zabawnie. – Jeżeli podejdziesz do któregoś z nich i zaczniesz rozmawiać, nie zapłacę jej dwudziestu kawalków, nawet gdyby była wyznawczynią Kriszny.

Potrząsnęła głową. Nie zamierzała poznawać z bliska nieszczęść ładu, jeżeli nie było to konieczne.

– Poszukam Rudolfa Valentino – oznajmiła i oddaliła się w dół chodnika.

– Nie zaglądaj do okien samochodów w poszukiwaniu go.

Broszura Theny mówiła, że znajdowało się tu 1844 tabliczek z nazwiskami gwiazd. Jed oddalił się w przeciwnym kierunku w poszukiwaniu Johna Wayne. Znalazła Rudolfa i oglądała jego gwiazdę. Jakiś szum zwrócił jej uwagę i podniosła wzrok.

Westchnęła na widok nędznej kobiety klęczącej na chodniku i szorującej mydłem jedną z tabliczek. Jej poplamione, nylonowe ubranie wyglądało jak łachman. Miała krótko obcięte włosy i pomarszczoną twarz. Wyglądała równie brzydko i biednie jak otaczające ją budynki. Podeszła do niej i przyklękła, pełna sympatii do nieznajomej.

– Czy mogę pani pomóc w myciu? – zapytała uprzejmie.

Złe i podejrzliwe oczy spojrzały na nią.

– Odczep się.

Thena zamrugnęła powiekami i zaczerwieniła się.

– Nie chcę pieniędzy. Chcę pomóc.

– Clark Gable to wszystko co mi zostało i nikt nie będzie mył jego tabliczki, oprócz mnie!

– krzyknęła stara kobieta. – A zwłaszcza cudzoziemka!

Thena, zaskoczona, wstała. Cudzoziemka? Czy nawet jej akcent południowca, lekko francuski, czynił ją jeszcze bardziej obcą? Usłyszała za sobą pospieszne kroki.

– O co chodzi? – zapytał Jed, ustawiając się pomiędzy Theną a starą kobietą.

Thena rozejrzała się ze smutkiem. Parę osób przyglądało się jej, kilku nastolatków z włosami sterczącymi na boki jak druty chichotało mijając ją. Thena szepnęła niecierpliwie:

– Daj mi trochę pieniędzy, Jedidiah, proszę.

Jed podniósł jedną brew ze zdziwieniem, ale wręczył jej dwadzieścia dolarów. Thena dała je kobiecie.

– Czy umyje pani dla mnie tabliczkę Judy Garland? Jed zrozumiał, o co chodziło Thenie i szybko wyciągnął następną dwudziestkę.

– I Johna Wayne też – powiedział. Koścista ręka szybko wyrwała banknoty.

– Dobra. Księcia i Judy. Załatwione. – Głos był niechętny.

– Dziękuję – mruknęła Thena. Zachwiała się i chwyciła Jeda za ramię, w jej oczach błyszczały łzy. – Czy możemy wrócić do hotelu?

Jed przez chwilę obserwował rozczarowanie widoczne w jej oczach, współczuł jej. Wiedział, że pierwsze dni wycieczki były dla niej nieprzyjemnym, denerwującym doświadczeniem.

– Będzie lepiej, kochanie – powiedział z desperacką pewnością.

Jej palce wpiły mu się w ramię.

– Proszę. Proszę, czy możemy wrócić do hotelu?

– Tb nieuczciwe. Theno...

– Jeżeli mnie tam nie zabierzesz – powiedziała z naciskiem – pójdę sama.

W jego oczach pojawił się wyraz bezsilności i niepokoju, a także zniecierpliwienie. Jego głos był pełen napięcia.

– Dobrze. Ukryjemy się, jeżeli o to ci chodzi. Zabolało ją to i posłała mu oskarżające, pełne wyrzutu spojrzenie. Odwrócili się w milczeniu i nie dotykając się poszli do samochodu.

Mieszkali w okazałym hotelu niedaleko Beverly Hills. Przybyli tam późnym popołudniem i promienie nisko stojącego słońca wpadały przez okienne żaluzje, układając się we wzory na ogromnym łóżku.

– Mam zamiar uciąć sobie drzemkę – mruknęła Thena. Położyła się na grubej, jedwabnej kapie i spojrzała przez ramię na Jeda; była nieszczęśliwa. Nie licząc obojętnych słów, nie rozmawiali ze sobą podczas jazdy samochodem. W powietrzu wisiała gorycz i pretensje. Jed usiadł w ogromnym, współczesnym fotelu i otworzył „Przygody Tomka Sawyera”, które dostał kiedyś od Theny.

Zmęczona i nieszczęśliwa wyciągnęła rękę do słońca padającego na łóżko, myśląc o tym, jak popołudniowe słońce zamieniało zachodnie brzegi Sancier w feerię kolorów. Przyciągnęła do siebie dłoń, jak gdyby przytulając do siebie słońce i nadzieję i, pokrzepiona, zasnęła.

Jed siedział nieruchomo, zauważył jej gest. „Cierpi – pomyślał ze smutkiem. – Chcę wrócić do domu. Co ja mam do diabła zrobić?” Po chwili podszedł do łóżka, położył się koło Theny i przytulił do niej. Objął ramieniem jej talię i ukrył twarz w jej włosach. Westchnęła i przycisnęła się do niego; jego wcześniejsza złość zniknęła.

– Kocham cię – szepnął.

Musiała go usłyszeć przez sen, ponieważ jej dłoń poszukała jego dłoni i objęła ją. Jed zasypiając przy niej w słońcu, uśmiechnął się.

Obudziła się godzinę później. Pogłaskała Jeda po włosach i czule pocałowała go w usta. Zamruczał.

– Jedidiah, schodzę na dół do sklepu z pamiątkami i po czasopiśmie. Zaraz wracam.

– Hmm – przytaknął Jed sennie.

Thena przechadzała się wolno przed wejściami do ekskluzywnych butików, oglądając kolorowe, dziwaczne ubrania na wystawowych manekinach.

– *Sacrebleu!* – powiedziała głośno. – *Dispendiewc et comme un crapaud!*

Wysoki, męski śmiech przestraszył ją. Obejrzała się. Kilka drzwi dalej stał wysoki, chudy mężczyzna w dżinsach i kanarkowożółtej, wyglądającej na damską, koszuli i uśmiechał się do niej ciepło.

– Drogie i brzydkie jak grzech! – powtórzył po angielsku. – Moja droga, podoba mi się pani opis tych niegustownych szmat.

Zaintrygowana niezwykle wyglądem mężczyzny, również uśmiechnęła się. Wejście do sklepu było nowoczesne, czarno-złote. Ponad głową nieznanego kolorowy neon głosił: „Fryzjer”. Ponownie spojrzała na uśmiechniętego mężczyznę.

– Och! – westchnął ten przeciągle. – Ma pani wspaniałe, nieuformowane włosy. Jakie cuda można by z nich zrobić.

Z wnętrza wyjrzał drugi, równie zniewieściały mężczyzna i zaczął przyglądać się Thenie. W rękę trzymał wytwornie długiego papierosa.

– Wspaniałe – potwierdził. – Co za struktura. Co za grubość. Przypomina Kathleen Turner w stanie naturalnym, czyż nie?

Dotknęła swoich ciemnych włosów. Dlaczego to, co obaj mówili, zabrzmiało tak krytycznie? Chciała uszczęśliwić Jeda. Chciała pasować do ludzi na łądzie. Być może gdy zmieni fryzurę, lepiej jej się to uda.

– Obcinacie włosy? – zapytała uprzejmie.

Obaj mężczyźni roześmieli się. Patrzyła na nich zdezorientowana, ale spodobał się jej. Byli niezwykli. Ona też była niezwykła, wydawało się, że doceniają to. Wysoki chudzielec skłonił się przed nią nisko.

– *Monsieur Marcus*, właściciel, do pani usług.

– *Merci* – odpowiedziała i dygnęła. Znów zabrzmiał śmiech.

– Jak pani powiedziała, obcinam włosy. Ale proszę tego nie mówić nikomu. Moi klienci oczekują „zaprojektowania fryzury”, a nie obcięcia włosów.

Thena weszła do salonu.

– Czy zaprojektuje mi pan fryzurę? Mieszkam w tym hotelu – szybko dodała. – Koszty nie mają znaczenia.

„Jedidiah będzie bardzo zadowolony z mojego nowego wyglądu” – pomyślała z radością.

Monsieur Markus ssął dolną wargę i skrobał się po brodzie, przyglądając się jej włosom. Potem skinął głową.

– Wejźdź do mojego salonu, powiedział pajak do muchy. Skrzywił się zabawnie i wskazał ręką wewnątrz. Weszła do środka, drżąc z podniecenia.

Kiedy Jed się obudził słońce zastąpiły długie cienie popołudnia. Duży, hotelowy pokój był ciemny, z wyjątkiem smug światła wydostających się spod drzwi łazienki. Usłyszał stłumiony płacz i zrozumiał powód swojego przebudzenia. Płacz Theny. Jed wyskoczył z łóżka, rzucił się do drzwi łazienki i otworzył je.

Na brzegu wpuszczonej w podłogę wanny, z głową owiniętą ogromnym beżowym ręcznikiem siedziała Thena. Na dźwięk otwieranych drzwi z przestachem uniosła głowę. Próbowała się uśmiechnąć.

– Och... cześć, Jedidiah! Właśnie skończyłam czytać okropnie smutną historię i...

Jed przyklęknął przy niej i wziął jej splakaną twarz w obie dłonie. Thena zacisnęła ręcznik pod brodą i Jed zaniepokoił się tym dziwnym zachowaniem.

– Kochanie, co się stało? Co za historia tak cię zasmuciła, że chowasz się w łazience z ręcznikiem na głowie?

– Och... to było o... Madonnie i Seanie Penn! Ona jest piosenkarką, a on aktorem, są małżeństwem. On ciągle rozrabia, to wszystko jest takie romantyczne i...

– Theno – powiedział Jed ostrzegawczo.

Usiłował zdjąć ręcznik z jej głowy, ale uchyliła się. Ze szlochem schowała twarz na jego ramieniu, ciągle mając owiniętą głowę.

– Powiedz prawdę! – rozkazał.

– Kazałam zmienić sobie fryzurę, Jedidiah! Zeszłam na dół... był tam salon z napisem: „Fryzjer”, właściciel mówił po francusku...

– Czy chcesz powiedzieć, że obcięłaś włosy? Przerazenie w jego głosie wywołało nową falę szlochu i mokra plama zaczęła rozlewać mu się po koszulce. Thena nie tylko była zrozpaczona tym, co zrobiła, ale przerażona, że Jedidiah nie był zadowolony z pomysłu obcięcia włosów.

– Kochanie, kochanie, ciii. – Usiłował uspokoić ją – Co zrobiłaś? Obcięłaś się na rekruta?

Z niepokojem wyciągnął rękę i ściągnął jej ręcznik z głowy. Wykrzywiona twarz Jeda powiedziała jej wszystko.

– Przykro mi, Jedidiah! Nie wiedziałam, że będą takie krótkie! – Wyrwała mu ręcznik i ukryła w nim twarz, jej ramiona drżały.

Po chwili Jed spokojnie podniósł jej twarz i wziął ją w obie, kochające dłonie. Jej niegdyś wspaniałe włosy kończyły się teraz na wysokości uszu, nadając jej twarzy niezwykle, żywy wyraz. Ale on kochał jej długie włosy.

– Dlaczego? – jęknął. – Dlaczego to zrobiłaś? Myślałem, że lubisz swoje włosy?

– Lubiałam, ale myślałam, że obcięcie ich... sprawi ci przyjemność. Chciałam wynagrodzić ci wcześniejsze zachowanie dzisiaj.

Zadrzała i przygryzła wargę, chcąc stłumić szloch. Jed objął ją i mocno przytulił.

– Moje biedactwo. Co ja najlepszego zrobiłem, przywlekając cię do tego przekłętego miejsca. Ciii, kochanie. Kocham cię. Lubię twoje włosy. – Skłamał. – Są rzeczywiście krótkie, ale ładne.

– Wyglądam jak klacz z obcięty ogonem.

– Uspokój się, kochanie.

Jed zaniósł Thenę do łóżka, rozebrał i nakrył. Potem moką serwetką wytarł jej zapłakaną twarz. Uspokoila się i ucichła, jej duże, srebrne oczy śledziły wszystkie jego ruchy. Jed zamówił na obiad homara i szampana i włączył telewizor na „Jane Eyre” z Orsonem Wellesem.

Thena zainteresowała się programem i wyglądała na nieco szczęśliwszą. Kiedy przyniesiono obiad, Jed także się rozebrał i położył obok niej. Obiad zjedli z tac. Szampan pocieszył ją nieco, a kiedy skończyła deser, była już nawet w stanie patrzeć na siebie w lustrze toaletki stojącej naprzeciwko łóżka.

„Jane Eyre” wywołała jej łzy i Jed był zadowolony, kiedy się skończyła. Łzy Theny doprowadziły go do wniosku, że nic się nie będzie układać, dopóki ona nie wróci na Sancię. Wyłączył telewizor i światło, i wsunął się z powrotem do łóżka, zdenerwowany i zmartwiony. Thena przysunęła się do niego w ciemności, jej ciepłe ramiona przynosiły mu ukojenie, zachowywała się tak, jakby wiedziała, że te ostatnie dni również dla niego były ciężkie.

– Kochanie – szepnęła. – Jesteś kochający i czuły. Leż spokojnie i pozwól mi być teraz czułą dla ciebie.

Zsunęła z niego przykrycie, odkrywając jego nagie ciało. Leżąc na plecach, Jed pojękiwał cicho z rozkoszy. Thena otaczała go jak ciemność: pieściła każdy cal jego skóry, całowała z oddaniem każdą bliznę i każde zgrubienie.

Wydawało się, że pieszczota trwa przez godziny, ale jej dłonie nie męczyły się dotykiem jego brzucha i ud, potem ramion, szyi i piersi, gdzie zatrzymywały się, aby pobawić włosami i śledzić szybki ruch jego klatki piersiowej.

Kiedy jej pieszczoty stały się bardzo intymne, Jed wcisnął głowę w poduszkę i zaczął szeptać jej imię jak modlitwę. Jego duże, spokojne ręce utraciły nagle swój spokój i zaczęły gładzić jej włosy.

Thena była częścią jego duszy, byli nierozzerwalni jak noc i dzień. Wiedział, że tak bliski związek był niebezpieczny. Ale w porównaniu ze szczęściem, którego od niej doznawał, przestawało to być ważne.

Poczuł nagły skurcz żołądka. Przyszłość była niewiadomą, ponieważ wiedział, że Thena należy do Sancii, a on nie. Przez wiele lat nienawidził dziadka i teraz nie potrafił się zmienić, to uczucie będzie mu zawsze towarzyszyć, psując harmonię życia na wyspie, jeżeli zdecydowali by się tam mieszkać.

Zamknął oczy i zacisnął szczęki, nagle krzyknął i opadł ciężko na łóżko, z trudem łapiąc powietrze.

Thena szybko przytuliła się do niego, przycisnęła głowę Jeda do piersi. Z niepokojem głaskała jego włosy.

– Jedidiah, wszystko w porządku – uspokajała go. – Nie opuszczę cię.

– Co... dlaczego to mówisz? – zapytał chrapliwie. Wiedział, że powiedział coś chwilę wcześniej, ale nie mógł przypomnieć sobie słów.

– Powiedziałeś... nie odchodź – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie zrobię tego, Jedidiah.

– Musisz – powiedział z udręką. – Jesteś tu nieszczęśliwa.

– Nie! Jestem szczęśliwa tam, gdzie ty jesteś!

– Będziemy się nawzajem odwiedzać.

Thena wyciągnęła rękę i zakryła mu usta, uciszając go. Przytuliła go z desperacją do siebie, pochylona nad nim, z ustami przyciśniętymi do jego włosów.

– Nie rozmawiajmy już – poprosiła cichutkim głosem. – Nie chcę o tym rozmawiać. Chcę pojechać jutro rano do Wyoming.

Potał policzkiem jej twarz i pocałował ją.

– Żadnych rozmów – przyrzekł.

Nie było takiej potrzeby. Temat został już poruszony i oboje o tym wiedzieli.

Konie stały spokojnie z opuszczonymi uszami, zimny wrześnieowy wiatr napływał z gór i hulał przez prerię, docierając aż do wysokiego, trawiastego pagórka, na którym odpoczywali. Thena wyciągnęła rękę i poklepała ciepły kark klaczy.

– Wyoming to piękne miejsce – powiedziała szczerze. – Powietrze ma wspaniały zapach. Taki... niebieski.

Siedzący na wysokim dereszcu Jed uśmiechnął się ze zmęczeniem. Thena mówiła teraz tylko na tematy obojętne. Od dwóch dni, od pamiętnej nocy w Kalifornii, oboje udawali, że jest wspaniale.

– Tysiąc akrów – powiedział Jed, zataczając koło przed sobą. – I wszystko to może być moje, wystarczy tylko, żebym podpisał kawałek papieru. – Przerwał na chwilę. – Całe życie marzyłem o posiadaniu takiej ziemi.

– Wiem kochanie. Twoje ranczo. Twoje marzenie. Rozumiem.

Poczuł nagły przypływ smutku. Zamknął na chwilę oczy, zbierał siły. Kiedy otworzył je, wpatrzył się w widoczne na horyzoncie góry.

– Wybuduję ci dom, jaki tylko będziesz chciała – powiedział opanowanym głosem. – Kiedy tu będziesz, będziesz się czuć jak u siebie. Będziesz mogła kupić wszystko, co uczyni cię szczęśliwą.

Thena pochylała się i mocno chwyciła go za rękę. Jed wolno odwrócił głowę i spojrzał na nią z bólem. Patrzyła na niego z miłością i niepokojem.

– A ja zrobię wszystko, co chcesz, z domem na Sancii – powiedziała. – Tak, abyś się tam dobrze czuł.

Jed przytaknął.

– Chodź tu, kwiatuszku.

Szybkim i mocnym ruchem chwycił ją pod ramiona, podniósł z grzbietu konia i posadził przed sobą. Deresz poruszył się wolno pod zwiększonym ciężarem. Jed odchylił się do tyłu, aby łatwiej wziąć ją w ramiona. Z błyszczącymi oczami Thena położyła mu dłoń na ogorzałym policzku i przyciągnęła go do siebie, żeby pocałować delikatnie.

– Czas na oficjalną deklarację – szepnął Jed. – Czy wyjdiesz za mnie?

Thena uśmiechnęła się z czułością i odpowiedziała tak, jak się tego spodziewał, bez wahania.

– Tak.

Całowali się niekoniecznie długo. Jed bez słowa chwycił wodze konia Theny i

poprowadził go za swoim, gdy zjeżdżali z pagórka. Thena oparła głowę na ramieniu Jeda i zamknęła oczy.

Ujechali milę, zanim dotarli do dwupasmowej autostrady, gdzie Jed zostawił wypożyczoną ciężarówkę i przyczepę. Załadowali konie i zawrócili do rancza Circle Ten. Starzy przyjaciele Jeda, Mac i Barbara, pożyczili im konie, pojazdy, a także udostępnili duży pokój gościnny.

Tej nocy kochali się bardzo długo, a potem długo rozmawiali, aż wreszcie usnęli, trzymając się w ramionach. Następnego ranka Jed wraz z Macem Bullockiem i tuzinem innych kowbojów wdrapał się na ciężarówkę. Mieli udać się do oddalonej części rancza obejrzeć bydło. Otulona marynarką Thena stała przy ciężarówce i uśmiechała się do niego.

– Wrócę w nocy – przyrzekł Jed, czuł się trochę winny. – Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– Musisz mieć trochę rozrywki, Jedidiah. Wiem, że dzień spędzony na prerii sprawi ci przyjemność. Jedź.

Jed zeskoczył z ciężarówki i pocałował ją, co wywołało aplauz Maca i jego pomocników. Ignorując ich, Jed powiedział:

– Baw się dobrze w towarzystwie Barbary.

– Zostałyśmy już przyjaciółkami. Będzie wspaniale. Uspokojony Jed wrócił na ciężarówkę. Thena patrzyła, jak odjeżdżają. Jed stał z tyłu i powiewał kapeluszem. Był to stary Stetson. Widok Jeda w tym kapeluszu, tak bardzo pasował do tego świata prerii, zdecydował o tym, że zrobiła to, nad czym już wcześniej się zastanawiała. Wróciła do domu Bullocków, gdzie czekała na nią Barbara. Jej pulchna twarz była zaniepokojona.

– Jesteś pewna? – zapytała Thenę.

– Będę gotowa do odjazdu za pięć minut.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy wiele godzin później dotarła na Sancię, podjęła żmudny wysiłek uzyskania telefonicznego połączenia. Gdy udało się jej skontaktować z ranczem Circel Ten, była czwarta trzydzieści po południu jej czasu i druga trzydzieści czasu Wyoming. Thena umówiła się z Barbarą, że zatelefonuje do Jeda o ósmej wieczorem czasu Wyoming, ponieważ połączenie było możliwie tylko w jedną stronę.

Psy w dalszym ciągu były pod opieką Beneby, a Cendrillon, po przywitaniu Theny na przystani, wróciła do lasu. Thena, samotna i nieszczęśliwa, spacerowała przez kilka godzin po plaży i wpatrywała się w horyzont. Przed nią były lata życia w oddaleniu od Jeda. Zastanawiała się czy rozstania zawsze będą tak bolesne.

O dziesiątej trzęsącymi się rękami po raz drugi wykręciła numer rancza Cirle Ten. Telefon odebrał Mac i szybko przekazał słuchawkę Jedowi, który musiał czekać obok. Thena wzięła głęboki oddech i usiłowała nie zwracać uwagi na łzy płynące jej po twarzy.

– Dlaczego? – Było to wszystko, co powiedział, ale usłyszała w tym jednym słowie morze bólu i złości.

– Jedidiah, doszłam do wniosku, że będzie najlepiej, jeżeli odejdę, nie mówiąc ci o tym, przynajmniej tym razem. Nigdy nie pozwoliłbyś mi wrócić samej... a przecież muszę nauczyć się podróżować sama, prawda? I... to mnie boli w ten sposób.

– Nie wiesz, jak się czułem, kiedy wróciłem wieczorem i okazało się, że sama podróżujesz taki szmat drogi – mówił twardo Jed. – Przeraziłem się.

– Muszę się tego nauczyć, kochanie. Wiesz o tym.

– Czy tak będzie po ślubie? Będziesz uciekać na tę cholerną wyspę za każdym razem, kiedy zrobię coś nie po twojej myśli?

– Nie!

– Wsiadam do pierwszego samolotu do Atlanty. Theno, postępujesz nieuczciwie.

– Zgodziliśmy się, że jest to jedyny sposób na wspólne życie, Jedidiah. Tak właśnie... będzie wyglądało nasze życie. Musimy się do tego przyzwyczaić.

– Nie chcę się do tego przyzwyczaić! Chcę ciebie... tutaj. – Przerwał i usiłował się uspokoić. – Zobaczmy się rano.

– Nie. – W jej głosie po raz pierwszy zabrzmiały łzy. – Tak będzie wyglądać nasze życie, Jedidiah. Będzie cudowne, przyrzekam. Ale musimy... nauczyć się... być osobno. Nie możesz... przyjechać. Musisz kupić... swoje ranczo.

– Jak mogę zajmować się ranczem, denerwując się o ciebie, kiedy jesteś na drugim końcu kraju?

– Moje duchy troszczą się o mnie, Jedidiah. Nie martw się.

– Do cholery, Theno, nie mów mi o duchach. Wierz w co chcesz, ale jeżeli będziesz potrzebować pomocy, to ja ci pomogę a nie one. Ponieważ łączy nas miłość, a to jest najsilniejszy związek.

– Mój uparty Jedidiah. – Przycisnęła dłoń do gardła, usiłując nadać głosowi spokojne

brzmienie. – Zadzwoń do ciebie jutro.

– Powiedziałem ci już, że przylecę samolotem...

– Po co? Żeby tu zostać? Na stałe?

Długie milczenie przerwał w końcu potok przekleństw na sytuację bez wyjścia, w jakiej się znaleźli.

– Nie, Jedidiah, będziesz mieszkał w Wyoming i odwiedzał Sancię. Ja będę mieszkać w Sancii i odwiedzała Wyoming. Tak musi być. Myślę, że powinieneś... powinieneś tu wrócić... za miesiąc.

– Za miesiąc? – zapytał z rozpaczą.

– Będę do ciebie telefonować. – Usłyszała brzęczenie, sygnalizujące, że inny krótkofalowiec chce skorzystać z połączenia telefonicznego. – Muszę już kończyć. Przrzeknij, że nie przyjedziesz tu jutro. Przysięgnij.

Przez chwilę myślała, że nie usłyszy już od niego odpowiedzi. Potem z oddali doszedł ją jego niski głos.

– Przysięgam.

– Kocham cię, Jedidiah.

– Dbaj o siebie, bardzo dbaj.

– Ty też, kochanie.

Oboje nie mogli się rozstać ze sobą. Znow usłyszeli brzęczenie.

– Dobranoc, kowboju!

– Theno, dobry Boże, Theno.

– Dobranoc, moje serce!

Thena szybko odłożyła słuchawkę. Potem chwiejnie podeszła do okna w sypialni i opadła przy nim na podłogę. Patrzyła na nocne niebo, w kierunku zachodu.

– Czy jest poważnie ranny?

Poprzez oszołomienie bólem doszedł Jeda głęboki głos Maca i usłyszał odgłos kroków idących do niego przez paddok.

– Wsiadanie po raz drugi na tego ogiera to czyste wariactwo!

Jed czuł, jak trener Maca, Tony Redman, obmacuje mu żebra. Drgnął, kiedy poczuł przeszywający ból w piersi, ale usiłował usiąść.

– Nie, nie jest poważnie ranny – odpowiedział Jed sam za siebie. Nie zwracał uwagi na protesty Toniego i uśmiechnął się na widok niepokoju na szerokiej twarzy Maca.

– Zamierzam ponownie wsiąść na tego ogiera.

Po drugiej stronie paddoku stał, parszając i potrząsając głową, ogromny szary ogier.

– Do diabła! – powiedział Mac. – Jeżeli chcesz tu jeszcze zostać jako mój gość, musisz się uspokoić i przestać ryzykować.

Jed wstał z pomocą Maca i Toniego, zaczął otrzepywać spodnie.

– Zrzucały mnie ostrzejsze ogiery niż ten – mruknął. – Tak, kiedy byłeś o parę lat młodszy i dużo zwinniejszy – odparł Mac. – Kiedy nie czułeś się samotny i nie denerwowałeś się. Od kiedy Thena wyjechała, nie nadajesz się do niczego. Praca przez dwadzieścia godzin na dobę, picie po nocach, lekceważenie ryzyka. Nie jesteś sobą, przyjacielu. Musisz z tym

skończyć.

Jed strząsnął dłoń Maca z ramienia.

– Jeżeli mnie tu nie chcesz, odejdę.

– Tak? Dokąd? Z powrotem na wyspę Theny? Jest to jedyne miejsce, gdzie będziesz szczęśliwy. Przestań się oszukiwać, ty twardogłowy byku.

Jed chwycił dłoń przyjaciela i spojrzał na niego z grymasem bólu na twarzy.

– Przepraszam cię.

– Wracaj do niej, głupi kowboju. Żyj na wyspie. Jed wyprostował się ostrożnie.

– Nie mogę tego zrobić. To nie jest miejsce dla mnie. To jak... – Wyciągnął przed siebie rękę, szukał słów. – Nie jestem tam chciany... tylko Thena mnie akceptuje.

Mac zmarszczył brwi w konsternacji.

– Kto cię tam nie chce? Kto tam jeszcze mieszka?

Jed potrząsnął głową i skończył rozmowę machnięciem ręki. Gdyby powiedział Macowi, że nie akceptują go duchy wyspy, Mac z pewnością dałby mu kielicha i wezwał lekarza.

– Wracam na wyspę za dwa tygodnie – powiedział. – A na razie ujeżdżę tego ogiera.

Podszedł do niesfornego konia, bolały go zębra. Nagle usłyszał znajomy grzechot, zastygł w miejscu i zaczął uważnie rozglądać się dookoła.

– Jest tu gdzieś grzechotnik! – krzyknął przez ramię. – Słyszę go.

Dźwięk nagle urwał się, ale wszyscy trzej, Jed, Mac i Tony, przeszukali uważnie cały paddok, jak również okoliczne krzaki i mały staw.

– Za bardzo przygrzało ci słońce – powiedział jowialnie Mac. – Nie ma żadnego węża w całej okolicy rancza. Nic nie słyszałem. – Spojrzał na Toniego, niskiego, pomarszczonego mężczyznę o siwiejących włosach. – A ty?

– Ja też nie, szefie.

Obaj spojrzeli uważnie na Jeda. Jed przesunął ręką po czole, był zdenerwowany. Słyszał tego przekłętego grzechotnika.

– Myślę, że dobrze mi zrobi, jak się na chwilę położę – powiedział wolno. – Jestem trochę oszołomiony.

Odwrócił się i poszedł w kierunku bramy. Nagle znów rozległ się grzechot. Jed zadrżał.

– Znów! Czy teraz słyszycie? – zapytał, obracając się, aby spojrzeć na obu mężczyzn.

Po chwili zmieszania obaj potrząsnęli przecząco głowami. Jed poczuł zawrót głowy. Grzechot ścichł, po chwili zupełnie umilkł. Co się dzieje?

– Zawołaj lekarza – powiedział Macowi ze sztucznym spokojem. – Musiałem potłuc się mocniej, niż mi się początkowo zdawało.

Odwrócił się i skierował w stronę bramy, usiłował pokonać nagłą panikę. „To nie może być prawda” – pomyślał po chwili. Strach nadszedł ze wschodu. Chwycił bramę trzęsącymi rękami.

– Jadę na lotnisko – powiedział Macowi i Toniemu. – Coś się stało Thenie.

Mac chwycił go mocno za ramię.

– Jesteś poduczony. Uspokój się, to tylko oszołomienie. Zabierzemy cię szybko do lekarza.

Jed oparł głowę o słupek przy bramie i głęboko oddychał. Dziwne uczucie, które go opanowało, zaczęło znikać. „To głupota – pomyślał. – Mac ma rację”. Jest poduczony, zmęczony niedospaniem i ciężką pracą.

– Wszystko w porządku – powiedział Macowi. – Położę się. – Słabo potrząsnął głową, podniósł ją. – Chyba się starzeję.

– Wszyscy się starzejemy. – Śmiejąc się z wysiłkiem, Mac poprowadził Jeda w stronę domu.

Thena czuła, jak zimny pot oblewa jej twarz i szyję. Oddychała krótkimi, wymuszonymi haustami: opierała się o omszały pień ogromnego dębu i oglądała opuchniętą prawą stopę. Wydawała się jej dziwnie odległa, jakby oddzielona od ciała. Skomlące Godiva i Rasputin obwąchiwały brzydkie ślady ukąszenia tuż nad kostką. Właśnie skończyły zagryzanie węża, który był odpowiedzialny za tę ranę.

Thena zastosowała jedyną możliwą pierwszą pomoc. Oderwała od dołu sukienki szeroki pas materiału i ciasno obwiązała nim nogę tuż nad ukąszeniem. Wiedziała, że był to kiepski substytut opaski uciskowej, ale miała nadzieję, że opóźni to działanie trucizny, co umożliwi jej dotarcie do domu i wezwanie pomocy przez radio.

Thena miała zawroty głowy. Usiłowała wstać, opierając się o dąb, ale wszystko zawyroło i osunęła się z jękiem na ziemię. Jej dom leżał po przeciwnej stronie wyspy. Szła najkrótszą drogą na północną plażę, znajdującą się koło SalHaven.

Poczuła dreszcze. Zamknęła oczy i starała się nie tracić poczucia rzeczywistości. Miała szansę przeżycia ukąszenia grzechotnika bez pomocy medycznej, ale było to mało prawdopodobne. Musiała dotrzeć do domu, do radia. Wydawało się jej, że otaczające drzewa cicho szepczą. Nagle przykłusowała Cendrillon, wąchała zapach węża wciąż unoszący się w powietrzu.

– Dziękuję... wam... duchy – szepnęła Thena. Usiłowała wdrapać się na Cedriilon, ale poczuła ogromne osłabienie. Udało się jej przewiesić przez grzbiet klaczy, ale straciła przytomność i leżała nieruchomo. Klacz zaczęła iść powoli i ostrożnie.

Minuty, godziny a może lata później Thena usłyszała stukot kopyt Cendrillon o skały. Otworzyła oczy i spojrzała na ziemię – nie, nie ziemię, marmur, gładki marmur głównego holu SalHavea Thena zdziwiła się.

– Dlaczego tutaj? – zapytała głośno.

Jej ręce zwiślały bezwładnie wzdłuż szyi Cendrillon, kiedy klacz szła przez pokoje. W chwilę później Thena zorientowała się, że marmur oświetlony jest teraz słońcem, a powietrze jest świeże i chłodne, a nie zatechłe. Były w majestatycznym pawilonie o zniszczonym dachu.

Thena krzyknęła z radością – przybycie tu było najlepszym rozwiązaniem. Nie miałyby siły, aby utrzymać się na grzbiecie Cendrillon przez całą drogę do domu, nie miałyby jej również, aby po przybyciu tam użyć radia. Thena zsunęła się z konia i upadła na chłodną, gładką podłogę pawilonu. Obróciła się na plecy, jej ramiona leżały bezwładnie wzdłuż ciała.

Znów usłyszała szepty. Słabo poruszyła głowę. Jedidiah miał rację. Duchy nie istnieją, nie pozwoliłyby na to, co się stało, gdyby istniały poza jej wyobraźnią. Obecność, którą

wyczuwała wokół siebie była tylko wytworem jej wyobraźni.

, Jeżeli nadchodzi śmierć – pomyślała spokojnie – to SalHaven jest dobrym miejscem na spotkanie jej”. Posmutniała – nie chciała umrzeć, chciała znów chwycić Jedidiaha w objęcia. Chciała wychować jego dzieci i zestarzeć się u jego boku.

– Jedidiah, potrzebuję cię – prosiła głośno.

Jej głos odbił się echem po pustym domu, straciła przytomność zanim echo ucichło.

Jed poczuł słaby zapach lasów Sancii, był bardziej wspomnieniem niż rzeczywistą wonią. Leżał na szerokim łóżku w gościnnym pokoju Bullocków, tym samym, które dzielił z Theną. Obudził się nagle, kiedy uświadomił sobie, że zapach wyspy nie jest snem.

Usiadł na łóżku, rozbudzony, i zaczął rozglądać się po pokoju. Światło słoneczne padało przez okno na lewą stronę łóżka, zorientował się po tym, że od wypadku na paddoku spał około godziny. Oddychał głęboko, aż czuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Zapach Sancii nie był częścią snu. Poczul ogarniające go przerażenie. Coś złego stało się Thenie i nikt nie przekona go, że jest inaczej.

Wyskoczył z łóżka, ignorując ból żeber, chwycił portfel i buty, i pobiegł w stronę drzwi. Po drodze minął duży gabinet. Siedziała w nim Barbara pochylona nad papierami.

– Jadę na wyspę! – krzyknął w przelocie.

– Mój Boże, Jed, nie! Poczekaj!

Zanim Barbara zdążyła wybiec, Jed już uruchomił swoje czarne Ferrari. Zawrócił na podjeździe i zanim dotarł do głównej drogi, już znacznie przekroczył dozwoloną prędkość.

Thena była cała mokra, było jej zimno, miała wysoką temperaturę i dreszcze, zwłaszcza teraz, późnym popołudniem. W krótkich chwilach, kiedy wracała jej przytomność słyszała w pobliżu parskanie Cendrillon. Godiva i Rasputin leżały przytulone do niej, czuła ich pyski na ramionach.

Była sama, umierała samotnie, nie licząc tych starych przyjaciół. Jedidiah... biedny Jedidiah. Tak bardzo go kochała i cierpiała na myśl, jak bardzo będzie się czuł samotny bez niej. Usiłowała sobie przypomnieć jego twarz... nagle zdała sobie sprawę, że Jed jest przy niej. Nie było żadnych duchów. Był tylko Jedidiah i miłość między nimi. Nawet w tych ostatnich minutach myślała tylko o nim. Odwróciła twarz w stronę cienia.

Jed nie czekał, aż łódź Farla dobije do przystani Sancii i przeskoczył na moło nad wodą.

– Zaczekam, tak jak przyrzekłem! – krzyknął stary rybak za nim. – Pospiesz się, bo słońce zaraz zajdzie! Nie lubię tego miejsca po ciemku!

Przebiegł plażę i wpadł na leśną ścieżkę wiodącą do domu Theny, czuł strach. To jest tak daleko. Biegł tak szybko, jak tylko mógł...

Usłyszał szczekanie Godivy i Rasputina na kilka sekund przed pojawieniem się psów na ścieżce. Zatrzymał się i patrzył na nie przez chwilę. Psy kręciły się, poszczekiwały coraz głośniejsze i natarczywiej, wreszcie pobiegły kawałek ścieżką, zatrzymały się i patrzyły na niego wyczekująco.

– Och mój Boże, gdzie ona jest? – powiedział Jed chrapliwie. – Szukajcie! Szukajcie Theny!

Psy zaczęły biec, Jed ruszył za nimi.

Kiedy wybiegły z lasu i zaczęły galopować w stronę SalHaven, zatrzymał się niepewnie. Tutaj? To niemożliwe! Jeżeli Theny nie ma w tym przeklętym miejscu, jeżeli straci tu czas na szukanie jej, wróci tu i zniszczy tę rezydencję gołymi rękami, kamień po kamieniu.

Przebiegł wzdłuż rzędów młodych sosen znaczących główną aleję. Kiedy dotarł do schodów przy wejściu do SalHaven, w drzwiach pojawiły się psy. Nagle usłyszał stukot kopyt po marmurze. Z zaskoczeniem zobaczył Cendrillon.

A zatem Thena tu jest. Wbiegł na schody, zwierzęta znikły w ciemnym wnętrzu domu. Przeszedł przez ciemny hol.

– Theno! Theno, gdzie jesteś? – krzyknął ze wszystkich sił.

Serce stanęło mu, gdy zobaczył ją leżącą w pawilonie, była zupełnie nieruchoma. Podbiegł do niej i opadł na kolana.

– Dobry Boże, dobry Boże, nie! – Modlił się, kiedy zobaczył jej opuchniętą nogę.

Chwyił jej rękę i nerwowo szukał pulsu, wyczuł go wreszcie. Łzy wdzięczności płynęły mu po twarzy, gdy wziął ją na ręce i podniósł.

– Jedidiah. – Thena nie otwierała oczu, uśmiech na jej twarzy i dźwięk jej głosu wywołały jego szloch. – Tak bardzo... cię kocham. Zostań ze mną... dopóki nie umrę.

– Kochanie... jeżeli umrzesz, pójdę za tobą. Odwrócił się i przeszedł przez hol, podszedł do Cendrillon, która zanieś ich oboje do łodzi Farla. Idąc uniósł głowę i rozejrzał się po cichej rezydencji.

– Zajmę się nią – powiedział. – Dziękuję, że uratowaliście ją dla mnie. Usłyszałem was.

Thena obudziła się na dźwięk głosu Jeda. Podniosła głowę i spojrzała przez umocowaną nad łóżkiem siatkę, uśmiechnęła się. Jed siedział na podłodze przy otwartym oknie, ubrany był jedynie w obcięte u dołu spodnie. Rozmawiał przyjaźnie ze strzyżykami. Thena, zaskoczona, przechyliła głowę na jedno ramię; nigdy w czasie wcześniejszych wizyt na wyspie nie mówił do ptaków. W ciągu ostatnich kilku dni, coś stawiającego opór i cynicznego zmieniło się w nim, a ona nie wiedziała dlaczego.

– Jedidiah, jesteś dziś wyjątkowo słodki i uwodzicielski.

Szybko odwrócił głowę na dźwięk jej głosu. Wstał i podszedł do brzegu łóżka, pochylił się nad nią i z czułością wziął ją za rękę. Jego ciemne oczy były pełne miłości.

– Dobrze spałaś? – zapytał, a ona potwierdziła. – Jak się czujesz po powrocie do domu?

Thena poruszyła stopą, wysuniętą spod przykrycia i ułożoną na poduszce. Westchnęła z zadowolenia.

– Cudownie, chód jestem trochę obolała. Powrót na Sancię z tobą przywraca mi siły. – Poruszyła nosem. – Powietrze szpitalne jest... białe.

Jed roześmiał się. Thena spoglądała na jego nagą pierś i brzuch. Dotknęła palcami dłoni ust, a potem przesunęła nimi po jego ciele. Westchnął z zadowoleniem, ale i z niepokojem.

– Ooooh! – powiedział. – Nie czujesz się jeszcze dobrze.

– Prawie zupełnie dobrze. – Jej oczy błyszczały. – Jeżeli będziesz stawiał opór, zapoluję na ciebie.

– Myślę, że nie mogę do tego dopuścić. – Zsunął spodnie i nagi położył się koło Theny. – Musimy być ostrożni.

– O, tak!

Jed zsunął z niej przykrycie i zdjął przez głowę jej krótką nocną koszulkę, którą nosiła od czasu choroby. Wzięli się nawzajem w ramiona, całując i pieszcząc, szepcząc czułe słowa. Tygodnie oddalenia i choroba Theny sprawiły, że bardzo siebie pragnęli.

Po długich pieszczotach Jed ostrożnie wszedł w nią. Oczy Theny błyszczały, nie mógł oderwać od nich wzroku i uważnie obserwował zmiany, jakie w nich zachodziły w czasie pieszczot.

Później założył z powrotem spodnie, otulił Thenę kocem i zaniósł na fotel w salonie. Posadził ją sobie na kolanach, oboje wsłuchiwali się w brzęczenie owadów i szum dębów. Thena gładziła go po karku.

– Jedidiah, wiedziałeś, że cię potrzebuję i wróciłeś. Miałeś rację, nie ma duchów na Sancii. Tylko to, co jest między nami ma znaczenie. Myślę... myślę, że mogę pojechać z tobą do Wyoming. Nie miałam racji, wierząc w duchy.

– Ciii, nie – szepnął Jed. – Chcesz, aby cię usłyszały i poczuły się urażone?

– Co? Jedidiah?

Jed oparł policzek o jej krótkie, ciemne włosy, był zamyślony. Musiał wreszcie powiedzieć, co czuł wtedy, kiedy jej szukał. Mówił wolno, relacjonując wydarzenia, które tak nagle spowodowały jego powrót.

– Wezwały mnie tutaj, Theno – zakończył. – Wierzę w uczucie między nami, ale wierzę również w twoje duchy. Mój... dziadek... był razem z nimi i pilnował ciebie i.... mnie.

Thena odchyliła się do tyłu i przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

– Należysz do tego miejsca. Wiesz o tym – szepnęła wreszcie.

Przytaknął, wyglądał na zakłopotanego.

– Czy to nie dziwne? Czuję się tu jak w domu. Thena, podekscytowana, wskazała dłonią starą toaletkę.

Jed pomógł jej wstać i podtrzymywał ją, gdy przeszukiwała szuflady, wyciągnęła wreszcie starą, spłowiata fotografię. Jed wziął ją na ręce i usiadł z powrotem na fotelu. Pokazała mu zdjęcie.

– SalHaven, Jedidiah. Przed huraganem. – Przerwała. – Wiedziałam, że kiedyś będziesz chciał zobaczyć to zdjęcie.

Jed przyglądał się wspaniałej rezydencji otoczonej trawnikami, którą było SalHaven w dniach swojej świetności. Odchrząknął z podziwem.

– Co byś powiedziała na odbudowanie tego miejsca? Czy możesz wyobrazić sobie konie wścigowe pasące się przed frontem? Czy jest to głupi pomysł?

Przez chwilę Thena patrzyła na niego z niedowierzaniem. Potem objęła go ramionami za szyję i ucałowała.

– Tak, tak! Napelnimy SalHaven miłością, czekało na to tyle lat, Jedidiah.

Serce Jeda łomotało mocno, tak jakby chciało z niego wyskoczyć.

– Chcę, aby gościło tam szczęście – powiedział. – To będzie dom nasz i naszych dzieci, a

kiedy odejdziemy, pozostawimy po sobie tyle miłości, że już nigdy nie będzie pusty.

Oboje uśmiechnęli się do siebie pełni niewypowiedzianego szczęścia. Z głębi wody doleciał do nich podmuch wiatru przypominający głębokie westchnienie.